

DANUTA NOSZCZYŃSKA
HARPIA
KOMEDIA KRYMINALNA



DANUTA NOSZCZYŃSKA
HARPIA
KOMEDIA KRYMINALNA



Projekt okładki: XAUDIO

Copyright © Danuta Noszczyńska

Copyright © for the Polish ebook edition by XAUDIO Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN 978-83-67048-91-0

Wydanie II

Warszawa 2022

Wydawca:

XAUDIO Sp. z o.o.

e-mail: kontakt@xaudio.pl

www.xaudio.pl

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Wstęp

ROZDZIAŁ I

Kolejny facet z przypadku czyli optymalny
początek stanu rzeczy.

ROZDZIAŁ II

Ia, Adela Dobrochna bez herbu

ROZDZIAŁ III

Pozornie niewinny wątek kryminalny.

ROZDZIAŁ IV

Jedno wesele i... wystarczy.

ROZDZIAŁ V

Lucyfer, kac i koneser żółtego koguta

ROZDZIAŁ VI

Pierwsza rysa na fasadzie świętego spokoju

ROZDZIAŁ VII

Coraz większy tłok dookoła.

ROZDZIAŁ VIII

Chryja

ROZDZIAŁ IX

W gąszczu domysłów i domniemań

ROZDZIAŁ X

Kolejna rysa na fasadzie (świętego?) spokoju

ROZDZIAŁ XI

Zwyrodnialec

ROZDZIAŁ XII

Po drugiej stronie medalu

ROZDZIAŁ XIII

Pogarda

ROZDZIAŁ XIV

Jest dziwnie

ROZDZIAŁ XV

Skarb

ROZDZIAŁ XVI

Żądna krwi teściowa

ROZDZIAŁ XVII

Godzina zero

ROZDZIAŁ XVIII

Mgła

ROZDZIAŁ XIX

Królestwo Czesława

ROZDZIAŁ XX

Faceci i mamlasy

ROZDZIAŁ XXI

Czy to jawa, czy sen?

ROZDZIAŁ XXII

Koło fortuny.

ROZDZIAŁ XXIII

Oraz że cię nie opuszczę, czy tego chcesz czy
nie...

ROZDZIAŁ XXIV

Domek na Kopytku

Wstęp

Opowiem Ci moją historię. I ta historia Cię nie urzeknie... Nie wiem, co Ci się w niej najbardziej nie spodoba. Może ja, bohaterka niesympatyczna, z którą na pewno nie chciałabyś się utożsamiać? Może mój sposób na życie? Moje zadufanie w sobie? Arogancja? Pycha? Próżność? A może... po prostu, tylko jej zakończenie? Może wyda ci się zbyt ckliwe? Zbyt... żałosne? Ale życie bywa też i ckliwe, cokolwiek to oznacza. Jeśli już, to bardziej ja wydam ci się pod koniec tej historii żałosna. I ckliwa...

Tak czy inaczej opowiem Ci coś, co powinno Cię przerazić, zniechęcić, co każe Ci zwątpić w to, w co wierzysz. Bez znaczenia, czy wierzysz z pułapu ateizmu, czy przez pryzmat religii. Bo tak czy inaczej, wierzysz: wierzysz w siebie, w swój dobry los, wierzysz, że „nie ma tego złego...”, wierzysz w jakąś ogólną, odgórną sprawiedliwość, co to „każdemu jego miarką...”, albo w Tego, który za dobre wynagradza, a za złe karze. I choćbyś nie wiem, jak była cyniczna, sterana życiem i zgorzkniała, wierzysz. Bo tak, jak jedzenie nieodzowne jest do życia ciała, tak wiara potrzebna jest do funkcjonowania umysłu. Lub duszy, jak wolisz. Wiara jako wiara, sama w sobie, bez względu na przedmiot wiary, wiara jako środek do celu, a nie cel.

Ja właśnie... zwątpiłam w swój przedmiot wiary. W latami budowane przekonanie, że to do mnie należy ostatnie słowo. A to, o czym nie jest mi dane decydować, wystarczy omijać szerokim łukiem. Tworzona przez lata idea, spajana najtwardszym betonem, okuwana żelaznym pancerzem, runęła w jednym mgnieniu oka - jest bowiem w świecie taki żywioł, na który nie ma mocnych - który, jak woda, ogień i wiatr może być

błogosławieństwem lub przekleństwem. Dramatem staje się wtedy, gdy jest równocześnie jednym i drugim, nie dając innych możliwości. Ten żywioł to miłość...

Ale po kolei.

ROZDZIAŁ I

Kolejny facet z przypadku czyli optymalny początek stanu rzeczy.

Grzegorz stał na środku salonu, w ręce trzymał zaproszenie na ślub Estery. Po prostu stał. Po prostu trzymał to cholerne zaproszenie przed oczami i wpatrywał się w nie z zaciętym wyrazem twarzy. Po prostu...

Tak by to mogło wyglądać – po prostu. Ale to był mój salon, na kopercie było moje imię i nazwisko, a zaproszenie dotyczyło wyłącznie mnie. W tej sytuacji ja stałam też i patrzyłam na Grzegorza. Wymownie. Czekałam. Dopóki nic nie powiedział, ciągle jeszcze miał szansę. Wszystko zależało od jego pierwszych słów. Czekałam w napięciu i dłużyło mi się to czekanie. Jeszcze parę sekund temu miałam jakieś pozytywne oczekiwania, teraz już nie. Było mi wszystko jedno.

- Nie pojedziesz na ten ślub – odezwał się w końcu, prawie nie otwierając ust.

Wreszcie – pomyślałam i nagle całe napięcie znikło. Mogłabym zapytać dlaczego, albo konkretniej: co ma przeciw temu, ale żaden dialog nie miał tu najmniejszego sensu.

- Pojadę – odpowiedziałam zamiast tego.

- Jeśli... jeśli to zrobisz, to...

Grzegorz szukał odpowiednich słów i nie szło mu najlepiej. Postanowiłam mu pomóc.

- ...to z nami koniec. W porządku – wyjęłam mu z ręki zaproszenie. – Jak sobie chcesz.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Naprawdę??? Ten ślub jest dla ciebie ważniejszy od nas? Ode... mnie?

- Pieprzysz, Grześ – westchnęłam znużona. – Powinieneś słuchać uważniej, kiedy coś do mnie mówisz.

- Nie wierzę - mruknął pod nosem. – No nie wierzę...

- W co nie wierzysz? Może sprecyzuj to jakoś – odparłam o wiele głośniej. – Że nie zamierzam trwać w żadnym u w a r u n k o w a n y m związku? Czyli „będę z tobą pod warunkiem”? Nie, Grzesiek. To ja nie wierzę. Nie pozwalasz mi pojechać ślub Estery, bo... Bo co? N i e p o z w a l a s z! Słyszysz, jak to brzmi? I właściwie guzik mnie twoje powody obchodzą, ale chcę zobaczyć, jak się miotasz, usiłując nadać bezsensowni pozory sensu. No więc?

- Bo nie widzę powodu, dla którego miałabyś być na tym ślubie. W jakim charakterze? Jako kto? – Grzegorz wyraźnie się rozkręcał.

- A ja nie widzę powodu, dla którego miałoby mnie na nim nie być.

- Nie chcę, żebyś spotykała się z j e g o rodziną.

- Aha! Czyli, reasumując: nie mogę pojechać na ślub Estery, bo TY tego nie chcesz. Czy tak? Uważasz, że to jest sensowny, logiczny i wystarczający powód?

- Odwracasz kota ogonem – prychnął Grzesiek. – Nie, to nie o to chodzi. Chodzi o to, że powinnaś uszanować moją... moje uczucia.

- Twoją wolę, zamierzałaś powiedzieć? Ale dobrze, niech będą uczucia. Twoje. A co z moimi?

- Skoro jesteś ze mną, twoje uczucia powinny być ukierunkowane na mnie, a nie na... inne osoby.

- Jakie „inne osoby”?

- Czepiasz się.

- Masz na myśli Esterę?

- Teraz to już zwyczajnie się czepiasz.

- Odpowiedz.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! – Grzesiek w końcu nie wytrzymał. – Tak, jestem zazdrosny! I powiedziałem przecież: nie chcę, żebyś się spotykała z jego rodziną. Nie rozumiesz tego, Ada?

– Nie, nie rozumiem. Ponadto – gdybyś zapomniał, to przypominam – on nie żyje. Od dobrego roku spoczywa w grobie. Więc mnie oświeć, o kogo czy raczej... o co ci chodzi. Estera jest jego siostrą. Może myślisz, że na mój widok jej narzeczony bryknie sprzed ołtarza, by ożenić się ze mną? A może obawiasz się, że polecę na małżonka byłej teściowej? Estera to... niegdyś mała dziewczynka, w której dorastaniu byłam bardzo istotnie obecna. I widać jestem w jakiś sposób do dziś, skoro mnie zaprosiła na swój ślub!

Teraz już niemal krzyczałam. Bo postawa Grzeška była dla mnie tak idiotyczna i tak niepojęta, że trudno było mi nadal opanowywać irytację. Grzesiek wsadził ręce w kieszenie i zaczął przechadzać się w tę i nazad. Kalkulował.

– Okej, no trudno, postawiłaś mnie pod ścianą – rozłożył ręce w geście kapitulacji – jedź!

Przysiadłam na brzegu stołu i wpatrzyłam się w Grzeška z uwagą. Nagle ujrzałam całą tę scenę z perspektywy widza jedynie, tak jakoś z boku, bez najmniejszego osobistego zaangażowania, bez żadnych subiektywnych uczuć. - De ja vu – pomyślałam. – To już przecież było...

– No, jedź! – powtórzył Grzesiek, biorąc mój bezruch za osłupienie spowodowane gwałtownym napadem szczęśliwości.

– A, nie wiem.... – odpowiedziałam zamyślona.

– Jak to... nie wiesz...

– Pojadę oczywiście – poprawiłam się natychmiast.

– No! – ucieszył się Grzegorz. – Bo już pomyślałem, że cała ta awantura była po prostu ot tak sobie, dla treningu. A skoro jest jak jest, to znaczy, że możemy wrócić do planów na dziś: obiad na mieście, potem koncert, a potem kolacja, u mnie. Hej, pamiętasz? Taki był plan!

Grzegorz pomachał mi ręką przed oczami.

– Owszem, był – przyznałam całkiem rzeczowo. – Ale uległ zmianie. Nigdzie nie idę. Zostaję w domu. Sama.

– Na miłość boską, Ada, co cię ugryzło? – przestraszył się w sposób widoczny.

– Nic mnie nie ugryzło. Daj mi spokój. Odechciało mi się po prostu. Ciebie też mi się odechciało. Idź już, proszę, chcę zostać sama.

– Tego się właśnie obawiałem – wysapał Grzesiek i spąsował na twarzy. Oczywiście! Moja niezależna terytorialnie i uczuciowo dziewczyna mnie rzuca. W końcu mogłem się tego spodziewać.

– Skoro mogłeś, to po co urządziłeś tę awanturę?

– Ja? Ja urządziłem? – zdziwił się całkiem szczerze.

– Tak, ty właśnie.

– A czy ty masz świadomość, że jak tylko ON się pojawia na horyzoncie, i nieważne, osobiście, czy ktoś z jego rodziny, żywy, czy nieżywy – zawsze zaczynają się między nami problemy. Rozumiesz mnie?

– Nie. Tym bardziej, że się nie pojawia. Ani on, ani nikt z jego rodziny.

– Nie?! No przecież sama widzisz! Masz to teraz czarno na białym!

Nabrałam głęboko powietrza w płuca.

– Nie, nadal nie rozumiem. Nie rozumiem ciebie, a ty nie rozumiesz mnie. Dlatego nie możemy być razem. Tak się nie da, Grześ.

– Ada...

Podeszłam do drzwi, dając mu do zrozumienia, że wszelkie dalsze dysputy uważam za zbędne.

– Idź już – powtórzyłam, gdyż ten mój gest okazał się niewystarczający.

– Nie mówisz tego poważnie? – Grzegorz spojrział na mnie niepewnie.

– Jak najbardziej. Poważnie, stanowczo oraz nieodwołalnie.

– Ale... co ja takiego...

– Nic.

Otworzyłam drzwi na całą szerokość. Grzegorz wyszedł z ociąganiem, ale nie oglądając się za siebie. Gdyby nie usiłował mi zabronić wyjazdu na ten ślub, pewnie nawet przez myśl by mi nie przyszło, by się tam wybrać. Dziś Estera była... nikim ważnym w moim życiu. Cieniem przeszłości,

której pogrzebanie zajęło mi sporo czasu i wysiłku. Ciągłe jeszcze miałam wybór: albo nie pojawić się na tym ślubie i sprzeniewierzyć się żelaznej, życiowej zasadzie, czyli postępowania na przekór każdej próbie ograniczenia mojej woli, albo – pojechać na ten ślub z narażeniem spotkania się oko w oko z przeszłością. Ale chyba czułam się już wystarczająco silna na takie doświadczenie.

Zamknęłam drzwi i wróciłam do salonu. Po drodze nalałam sobie lampkę wina i tak zaopatrzona usiadłam w moim ogromnym, miękkim fotelu, zwanym przeze mnie potworem. Ten fotel był ze mną od zawsze, był jedyną rzeczą, jaką taskałam z sobą na każde kolejne mieszkanie, a wywodził się jeszcze z mojego rodzinnego domu. Niegdyś zielony, dziś oliwkowy z odcieniem szarego, miejscami wyliniały, miejscami wytarty, ogółem – raczej szpetny.

Gdyby to była prawda, że każde zdarzenie, każda ludzka myśl pozostaje na zawsze zapisana w czasoprzestrzeni, i gdyby ktoś w przyszłości wymyślił czytnik takich „zarchiwizowanych” myśli, mój fotel byłby niezwykle bogatym źródłem historycznym, śmiem nawet twierdzić, że czerpać mogłoby z niego obficie wiele gałęzi nauk społecznych, oczywiście w kontekście poznawczym. Bo to tu rodziły się moje plany, tu dokonywałam analiz wydarzeń bieżących i minionych, radowałam się, smuciłam, upijałam się, trzeźwiałam i leczyłam kaca. I właśnie teraz doznałam silnej potrzeby wtulenia się w mojego potwora, który jak nikt inny umiał mnie objąć i trzymać w swoich przyjaznych ramionach, dokładnie tyle, ile było mi potrzeba. Chciałam uporać się z nowym stanem rzeczy, czyli wyrzuceniem Grzeška z mojego życia, ale najpierw musiałam uzmysłowić sobie, co właściwie teraz czuję. I gdyby się okazało, że czuję się z tym źle, będę musiała przeanalizować naszą znajomość pod odpowiednim kątem, odpowiednio umniejszyć jego zalety i wyolbrzymić przywary, nadać wszystkiemu, co nas łączyło nowy kontekst. Taki, który pozwoli mi czuć się dobrze.

Ludzie z reguły nie potrafią panować nad swoimi uczuciami, emocjami i dlatego cierpią. Ja potrafiłam. Znalazłam sposób, opracowałam metodę i opanowałam ją do perfekcji. Wymagało to nie

tylko doraźnej pracy nad faktami, które, miały miejsce w moim życiu niezależnie ode mnie i mogły stanowić źródło nieprzyjemnych odczuć, ale także znaczącej korekty potrzeb, celów, a przede wszystkim: nauki panowania nad sobą. Swoistej cenzury emocji, uczuć, szybkiej oceny sytuacji i wynikających z niej zagrożeń. Tak. To był mój sposób na życie, doskonały, bo dzięki niemu od bardzo dawna nie poczułam się nieszczęśliwa, zawiedziona, samotna. Panowałam nad wszystkim i o ile dość często bywałam sama, samotna nie byłam na pewno. Bo wszystko, co się w moim życiu działo, było wynikiem m o i c h wyborów. Ta świadomość dawała mi satysfakcję i siłę.

ROZDZIAŁ II

Ja, Adela Dobrochna bez herbu

W mojej galerii staroci o pozornie zwyczajnej nazwie: „Strych”, (zwyczajnej, a jednak trochę magicznej, nieco mrocznej, nęcącej tajemniczością) było absolutnie wszystko. Bardzo rzadko się zdarzało, aby jakiś klient wyszedł z niej z pustymi rękami. Ani taki, który od początku wie czego chce, ani ten, który raczej nie ma pojęcia. Ani nawet ten, który przyszedł się wyłącznie pogapić... Bo naprawdę miałam tu wszystko i na każdą kieszeń, a magia tego miejsca, jego wieloletnia renoma oraz obsługa o najwyższych kompetencjach robiły swoje. Przypuszczam, że ja, czyli konkretnie Adela Dobrochna Topor, jako właścicielka tego interesu również byłam czynnikiem sprzyjającym dokonywaniu zakupów. Samo nazwisko pracowało na siebie. Ktoś kiedyś, w sprzyjających plotkom warunkach bąknął, iż jestem najprawdziwszą wnuczką t e g o Topora. Albo bratanicą może, w każdym razie t e g o Topora na pewno. Rzecz przez lata obrastała legendą, czyniąc ze mnie i mojego „Strychu” jedną z większych (obok muzeum bieliźniarstwa, zabytkowej stajni i żydowskiego cmentarza) atrakcji miasta. I właściwie, o czym przekonałam się kiedyś, ludziom w większości nic nie mówiło moje nadzwyczajne nazwisko, dlatego nie sędzę, aby zbyt wiele osób kojarzyło mnie zgodnie z intencją pomysłodawcy tejsze (bzdurnej zresztą) sensacyjki, a mianowicie z Rolandem Toporem. Zwłaszcza, iż kiedyś usłyszałam, jw. Jaki sposób pewna starsza pani rekomenduje moją galerię swojej kuzynce z Torunia:

– „Tutaj moja droga musisz kupić choćby drobiazg. Właścicielką jest najczystszej krwi szlachcianka herbu t o p ó r, a rzeczy wystawione na sprzedaż to najprawdziwsze pamiątki rodzinne”.

Domyślałam się więc, że raczej w ten sposób interpretowano sobie moje godne uwagi koligacje. W każdym razie mnie nikt o nie bezpośrednio o nie pytał, a skoro tak, ja nie zabiegałam o zdementowanie krążących plotek.

– I jak koncert? Naprawdę wart tytu pieniędzy? – zapytała Olga, gdy tylko przekroczyłam próg galerii.

– Nie wiem, nie byłam – mruknęłam zrzucając z siebie wilgotny płaszcz.

– Jak to: nie byłaś?

Moja wieloletnia pracownica natychmiast porzuciła metkowanie nowego towaru i wybiegła zza lady.

– Normalnie, nie byłam. O, co tam masz ładnego? – zainteresowałam się wycenianymi przez nią drobiazgami.

– Parę sztuk biżuterii, tabakiera... Taka jedna babka wczoraj przyniosła. W notesie masz jej dane.

– Naprawdę, nie byłaś na koncercie? A przecież Grzegorz tak bardzo...

– Nie jesteście już razem – przerwałam jej. – To by było na tyle.

– Niech zgadnę – Olga ciągnęła niezrażona. – To ty z nim zerwałaś, przez jakieś duperele. Jak zwykle.

– Olga! Wróc może do swojego zajęcia, za dziesięć minut otwieramy!

– O co tym razem poszło? Odkryłaś, że ma grube palce, czy że zwykł mawiać o kobietach „facetki”? Czy że chodzi drugi rok w tych samych kapiach? Wiesz? Żal mi tych twoich... kolejnych straceniów.

Gdyby na tego rodzaju dywagacje pozwolił sobie ktokolwiek inny, pewnie dość szybko by ich zaprzestał, żałując, że w ogóle wtrącił swoje trzy grosze. Oldze jednak wolno było znacznie więcej niż komukolwiek innemu. Pracowała u mnie od samego początku istnienia galerii, była uczciwa, sumienna i oddana. Świetnie znała się na rzeczy, umiała kupować i sprzedawać. Lubiłam ją i szanowałam. Przyjaźń – to zbyt

naciągane słowo w naszym przypadku. Może... dość zażyła, wieloletnia znajomość? Tak, to było właściwe określenie naszych relacji.

- Olga - oparłam dłonie o marmurowy blat lady i wzięłam głęboki oddech. - Wyjaśnij mi proszę, dlaczego twoim zdaniem powinnam się trzymać pazurami mężczyzny tylko dlatego, że to ON jest mną zainteresowany? Bo co? Z wdzięczności za to zainteresowanie? Albo z obawy, że jak go puszczę kantem, to już mi się inny nie nawinie? Czy twoim zdaniem świat naprawdę jest tak skonstruowany, że należy po nim chadzać parami i inaczej się nie da?

- Nie. Ale uważam, że ludzi należy traktować poważnie. I... i jeśli komuś bardzo na tobie zależy, powinnaś się liczyć z jego uczuciami. Nie można go skreślać ze względu na jakąś... drobną niedogodność. Liczy się całokształt.

- Taak? - niemal zobaczyłam szatański błysk we własnym oku. - A pamiętasz, jak mierzyłaś tę szmaragdową suknię w zeszłym miesiącu? Była cudna. W rozsądnej cenie, z bardzo dobrego materiału. Leżała na tobie doskonale, wyglądałaś w niej jak księżna. Ale z niej zrezygnowałaś, bo cię t r o s k ę uwierał suwak pod pachą. A przecież miałaś nóż na gardle, wesele bratanka za trzy dni! I jak się wobec tego ma u ciebie całokształt do drobiazgu?

- Na miłość Boską! Ada! Jesteś... cyniczna do granic możliwości. Facet to nie suknia! Jak ty w ogóle możesz porównywać żywego człowieka do... kawałka garderoby?!

Och, jak ja lubiłam u niej tego rodzaju napady irytacji, to Święte Oburzenie, wyrażane tak emocjonalne, że często brakowało jej słów. Postanowiłam dolać jeszcze ciut oliwy do ognia.

- Niestety - westchnęłam. - Dlatego nie da się go popruć i uszyć na nowo. Ani wyprać, wyprasować, a nawet doszyć najmniejszej falbanki dla dodania urody. Jedyne co można z nim zrobić, to wywalić za drzwi.

Olga przysiadła na brzeżku stylowego fotela i tak już została. W tej chwili wolałam jej już nie ruszać, bo pod drzwiami galerii, czekając na otwarcie, przystanęła jakaś para. Odwróciłam tabliczkę z napisem *zamknięte*, stronę *otwarte* do zewnątrz i wpuściłam klientów do środka.

Zamierzałam poprosić Olgę, aby ich obsłużyła, ale uznałam, że całkiem dobrze się komponuje tam gdzie jest i weszłam za ladę. Para szukała czegoś oryginalnego z biżuterii, dla niej. Zwróciłam ich uwagę na srebrną bransoletę z ametystami, łańcuszek z zawieszka w kształcie wiotkiej baletnicy oraz na kilka pierścionków z różnych kruszców – od metalu po białe złoto. Niezdecydowani, naradzali się półgłosem, a ja raczyłam ich uśmiechami zgodnymi z pierwszym przykazaniem biznesowym, pt. *kochaj klienta swego jak siebie samego*. W międzyczasie Olgę Święte Oburzenie puściło na tyle, że pozwoliło jej wstać, a także wróciło jej mowę.

– Jeśli mogę coś poradzić, proszę zwrócić uwagę na ten pierścionek – podała dziewczynie pierścionek z oksydowanego srebra z wielkim, krwistym rubinem.

– O... powiedziała dziewczyna, rzuciła okiem na Olgę, potem na fotel, a następnie na pierścionek. – Przepraszam... myślałam... że pani jest sztuczna.

Olga zmieszała się na niedostrzegalny dla obcych ułamek sekundy, po czym uśmiechnęła się szeroko.

– Nic nie szkodzi. Moja szefowa też tak czasem uważa...

Spojrzałam na nią znacząco.

– Uważam, że skoro zdecydowali się państwo na szlachetny drobiazg z historią, niechże więc to będzie jakaś piękna historia – przeszła do rzeczy.

Para wyraźnie się zainteresowała.

– Tak? A on taką posiada? – spytała dziewczyna.

– Och, niewątpliwie... Ten pierścionek ofiarował pewnej pannie zakochany młodzieniec, deklarując, że dopóki będzie go nosiła na palcu, dopóty on będzie przy niej, zawsze i wszędzie, zakochany tak samo, jak dziś. Panna nie była przesądna, ale była równie zakochana jak on i na wszelki wypadek nie rozstawała się pierścionkiem. Nie będę państwa zanudzała szczegółami, dość powiedzieć, że młodzi za jakiś czas się pobrali i przeżyli z sobą szczęśliwie ponad pół wieku. Kobieta Opatrzność zabrała pierwszą, on dołączył do niej jeszcze tej samej nocy...

- Ojej, niesamowite... Słyszysz, Marku? - Opowieść najwyraźniej zrobiła na dziewczynie wrażenie. - Ten weźmy! Ja też bym tak chciała, na zawsze z tobą.

Złapała go za ramię, spoglądając mu zalotnie w oczy.

- Przymierz, czy nie będzie pasował na twój palec.

- To nie ma znaczenia. Oddam go złotnika, on mi go dopasuje. O ile... nie okaże się zbyt drogi, oczywiście.

- Tym się nie martw, kochanie - chłopak spojrzał na swoją towarzyszkę z tkliwością. I wyjął z kieszeni portfel, celem uregulowania maleźności.

- A czy to nie jest z twojej strony cyniczne? - zaczęłam Olę po wyjściu klientów.

- Co takiego? - Olga uniosła brwi w najwyższym zdumieniu.

- No jak to co, takie wciskanie kitu młodym ludziom.

- To nie jest żaden kit, moja droga. To... zaklinanie rzeczywistości. Oni uwierzyli w magię pierścionka, a skoro tak, on naprawdę zacznie spełniać w ich życiu magiczną rolę. Bo to my nadajemy rangę i znaczenie przedmiotom, te zaś rewanżują się nam, przynosząc szczęście lub pecha.

- Zaklinanie rzeczywistości, powiadasz?

- Tak. Słyszałaś może kiedyś o tym, że to myśl kształtuje naszą rzeczywistość? - spytała Olga prowokacyjnie. A ja dałam jej kolejny powód do zdumienia.

- Owszem. Moją kształtuje - mruknęłam ponuro i bardziej zgodnie z prawdą, niż mogłaby przypuszczać.

Olga spojrzała na mnie zdumiona, potem poboczyła się jeszcze chwilę, a raczej chwileńkę, bo kiedy tylko wróciła do metkowania nowo nabytych precjozów, jej twarz natychmiast przybrała typowy dla niej wyraz spokoju i błogiego zadowolenia.

Taka właśnie była: zawsze zadowolona, wyważona, życzliwa i kochająca cały świat. Niezrażona optymistka. Wszędzie i we wszystkich widząca dobro, a jeśli już nawinął się jej jakiś obiekt, w którym, mimo

wszelkich starań go nie dostrzegła, ze wszystkich sił starała się je w nim zaszcześcić. Jak na przykład we mnie, od paru dobrych lat.

* * *

Z galerii wyszłam na tyle późno, by nie natknąć się gdzieś po drodze na Grzeska lub jego mocno zaangażowaną w nasz związek, nadopiekuńczą siostrę. Nie, żeby Grzesiek był jakimś niedojrzałym młokosem, bo nie był ani niedojrzały, ani zbyt młody. Po prostu, na świecie istnieje też taki rodzaj opieki, której o wiele bardziej od podopiecznego potrzebuje opiekun. Tak właśnie było w tym przypadku: Jolanta, pomiędzy kolejnymi, nieudanymi związkami przerzucała swoje nieprzebrane pokłady czułości na młodszego brata. Nawiasem mówiąc, do pewnego czasu intrygował mnie ten rodzaj kobiet – całkiem niebrzydkich, zadbanych, wykształconych, obytych w życiu i świecie – a jednak notorycznie porzucanych przez kolejnych facetów. Intrygował mnie do czasu, kiedy zapytałam o to Marcina, byłego Jolanty. O, tak sobie, zwyczajnie, przy jakiejś okazji spytałam, czemu nie są już razem.

– Bo Jola to nie kobieta – szepnął tajemniczo.

– Nie??? – aż się zachłysnęłam tą nowiną.

Oczyrna duszy zobaczyłam bowiem Jolantę gołą, posiadającą oprócz tego wszystkiego, co posiada na co dzień, dorodne męskie przyrodzenie.

– Ej, ja nie o tym – Marcin zachnął się na widok mojej miny. – Płci Jolanta jest żeńskiej, jak najbardziej. Ale to nie kobieta. To herszt w spódnicy! Tyranka, pani i władczyni.

– Biedny Grzesiek... – westchnęłam.

– Biedny? Czy ja wiem? – Marcin uśmiechnął się wymownie.

Fakt... – uświadomiłam sobie wówczas, na czym jej problem polega. I jeszcze to, że Jolanta stracona jest dla świata. Dla tego świata, o którym jak sądziłam, od zawsze marzy i do którego tak uparcie zmierza: rodzinnego grajdołu z nieumiejącym się bez niej obejść mężem i ubezwłasnowolnioną gromadą dzieci. Taaak... uświadomiłam sobie, ale

w żadnym wypadku nie zrozumiałam. Podobnie, jak Jolanta nie umiała pojąć mnie. Przypomniałam sobie bowiem taką oto scenkę:

Niedziela rano, czyli jakaś jedenasta z minutami. Siedzimy z Grzegorzem u niego, przed telewizorem, w piżamach i wcinamy niedzielne śniadanko: kanapki z piątkowego pieczywa z żółtym serem, bez masła, bo akurat nie było. A ponieważ poprzedni wieczór graniczył bezpośrednio z porankiem, uporządkowanie mieszkania zostawiliśmy sobie na jakiś lepszy moment.

Na to wszystko wkracza Jolanta, omiata wzrokiem Grzesia oraz panujący w tle, dość wyszukany nieład, następnie rzuca okiem na nasze śniadanie, i, na końcu na mnie.

– Boże mój, Grześ... Biedaku – użala się nad nim. – Na całe szczęście przyniosłam ci rosółu z makaronem i kotlecika z ziemniaczkami. Zostaw to, teraz jest raczej pora obiadu, niż śniadania...

Jednocześnie porządkuje mieszkanie i nakrywa do stołu. Później, kiedy Grzegorz wyszedł do łazienki, Jola zapytała mnie, kręcąc głową ze zdumienia:

– Powiedz mi Ada, jakim cudem udaje ci się trzymać mojego brata przy sobie już rok? Bo ja mam wrażenie, że jemu n a p r a w d ę na tobie zależy.

– Nie wiem... Ja go nie trzymam, sam się trzyma – odparłam coś w tym rodzaju.

– Ale... jak? Nie gotujesz mu, nie pierzesz, nie sprzątasz, i, sorry że to powiem, ale piękność też z ciebie... kontrowersyjna.

– O! No widzisz! – klasnęłam w ręce. – Do tej pory sama nie wiedziałam, jak to robię, ale chyba właśnie odpowiedziałas na swoje i moje pytanie.

– To znaczy?

– Mniejsza o urodę – szepnęłam. – Chodzi o to, żeby jak najmniej sprzątać i jeszcze mniej prasować...

Dalszą wymianę zdań przerwał nam Grzesiek, wkraczając do salonu. Wówczas właśnie uznałam, że Joli nic już nie pomoże. No bo co?

Miałabym jej powiedzieć, w najlepszej wierze, żeby przestała dbać o wszystkich dookoła i zajęła się sobą? Trochę zdrowego egocentryzmu, jak sama nazwa sugeruje, zdecydowanie służy zdrowiu. I psychicznemu i fizycznemu...

* * *

Ani Grześka, ani Jolanty w drodze do domu nie spotkałam. Odkryłam za to mnóstwo wiadomości na automatycznej sekretarce telefonu stacjonarnego, tyleż SMS-ów i połączeń nieodebranych na komórce. W pracy bowiem zwykłam nie używać tego małego, upierdliwego urządzonek. Wszelki kontakt świata ze mną i vice versa mógł odbywać się za pomocą telefonu stacjonarnego galerii, bądź osobiście. Mam na myśli oczywiście świat biznesu, bo ten prywatny z kolei tutaj nie miał wstępu. Podział ten stosowany był przeze mnie od zawsze i bardzo restrykcyjnie przestrzegany.

Wracając do rzeczy, autorem wszystkich wiadomości, oraz inicjatorem nieudanych kontaktów był rzecz jasna Grzegorz. Domagał się spotkania oraz wyjaśnienia zaistniałej sytuacji. Nie miałam w zwyczaju niczego byłym facetom wyjaśniać, zwłaszcza, że głównym powodem naszych rozstań było wzajemne niezrozumienie. Tłumaczenie im więc czegokolwiek miałooby sens porównywalny z gadaniem do obrazu. Nie reagowałam zatem w ogóle. I kiedy otrzymałam wiadomość od jego siostry, że jestem zimna, bez serca oraz niewarta Grzegorzowi rzemienia u markowych, oryginalnych adidasów za cztery stowy wiązać, wiedziałam, że oto właśnie nastąpił epilog i od tej pory jestem wolna. I tak, jak przewidziałam, telefony i SMS-y się skończyły.

ROZDZIAŁ III

Pozornie niewinny wątek kryminalny

Noc, w przededniu pewnych istotnych wydarzeń miałam paskudną. Wyjątkowo. Prawie zawsze spałam dobrze, nie miałam problemów z zasypianiem, ani z wieczora, ani z powtórnyim zaśnięciem, gdy na przykład trzeba było pójść w nocy do toalety. Po prostu – przykładając głowę do poduszki i już. Na to też miałam swój patent: nie wolno mi było przed zaśnięciem myśleć o niczym realnym, ani o dalszej przeszłości, ani o minionym dniu, ani też nie planować niczego na przyszłość, nawet tę najbliższą. Po prostu, przed snem nie wolno angażować mózgu w żadne analityczne, koncepcyjne, ani też krytyczne myślenie. Najlepiej postawić przed nim jakieś zupełnie neutralne zadanie, może nie tyle liczenie baranów, co na przykład wyliczanie znanych mi ras kotów wraz z cechami charakterystycznymi. Lubię koty. Bardzo, bardzo lubię koty. Uważam je za stworzenia pod każdym względem doskonale: idealne z urody, uczuciowe, taktowne, inteligentne, i, w co nikt nie chce mi uwierzyć, ze sporym poczuciem humoru.

Czasem też przed snem wyobrażałam sobie jakiś sielski zakątek i siebie w nim: na przykład ogromny ogród, kipiący bujnością zieleni, kwitnących krzewów, malw, słoneczników i mnóstwa innego jeszcze, beładnie rosnącego kwiecica. W takim ogrodzie, w którym można się zaszyć i napawać się zapachami i głosami czystego, całkiem jeszcze niewinnego świata... Ta cudowna harmonia i beztraska sprawiała, że zaraz robiłam się senna. Bo ja po prostu nauczyłam się sterować swoimi myślami, panować nad pracą moich szarych komórek. Tym sposobem

dość mozolnie, ale konsekwentnie, osiągałam to, co w życiu najświętsze, czyli święty spokój. A kiedy opanowałam ów mechanizm sprawniej, skazałam na niebyt wiele wspomnień z przeszłości. Wcześniej świadomie dokonywałam ich selekcji, a potem robił to już całkiem automatycznie mój wytrenowany umysł. Chociaż... zdarzyło mi się czasem zastanawiać, jakimi kryteriami się posługuję, bo na przykład bywało, że kasował mi coś, co nie miało moim zdaniem żadnego negatywnego znaczenia. I tak, kilka się autentycznie zdziwiłam w trakcie rozmowy ze znajomymi, czy choćby oglądając zdjęcia, że coś tam miało kiedyś miejsce... Wtenczas owszem, przypominałam je sobie w całej rozciągłości, ale potrzebny do tego był wyraźny bodziec, jak zdjęcie, czy też czyjaś wyraźna sugestia.

A zatem przyczyną dyskomfortu minionej nocy nie były żadne niedobre emocje, nie były nią również złe sny. Snami nie umiałam sterować, choć swego czasu naczytałam się na temat L.D (świadomego śnienia). Nie podjęłam jednak żadnych treningów w tym kierunku, bo nie były mi one potrzebne. Lubiłam śnić i lubię swoje sny, nawet te koszmarne, które bardzo rzadko co prawda, ale też mi się zdarzały. I lubiłam pamiętać swoje sny, dlatego zaraz po przebudzeniu starałam się je sobie przypomnieć w najdrobniejszych szczegółach. Taka retrospekcja sprawiała, że zostawały one w mojej pamięci na długo. Nazajutrz zawsze sprawdzałam w senniku internetowym znaczenie mojego snu. Ta czynność również należała do sposobów kreowania mojej rzeczywistości. Bo w mojej rzeczywistości musiało być fajnie, miło, spokojnie i na luzie – codziennie i niezmiennie. Dlatego, gdyby sennikowa interpretacja danego snu była niezbyt optymistyczna, dotąd wynajdywałam synonimy kluczowych wyrazów, aż znalazłam satysfakcjonujące mnie tłumaczenie. Na przykład, jeśli śnił mi się pożar, a sennik uznawał go za zły omen, sprawdzałam wówczas znaczenie wyrazu „ogień”, następnie wyrazu „płomień”, później jeszcze „palenisko”, i.t.p. I nie ma siły - któryś w końcu musiał stanowić dobrą wróżbę. W taką wierzyłam. Wcześniej jednak, ba, zaraz po przebudzeniu łykałam garsteczkę witamin na witalność, młodość i urodę. Wszystkie te zabiegi, psychologiczne i farmaceutyczne pozwalały mi na życie w niemal idealnej harmonii z samą sobą i z naturą. Tak,

dokładnie tak: z samą sobą, bo czy jest coś dla nas ważniejszego na świecie, niż my sami? Od kiedy odkryłam tę prostą prawdę, wszystko w moim życiu stało się znacznie łatwiejsze.

Jedynym więc powodem, który mógł sprawić, abym nie spała danej nocy zbyt dobrze były dolegliwości fizyczne. I tak też było tym razem: bolała mnie głowa. Nie była to częsta dolegliwość, ale jeśli już się zdarzyła, wkurzała mnie niepomrotnie. Bo nie mogłam jej ani przewidzieć, ani też zapobiec zawczasu. Nie dało się. A wszystko, co się nie dało, było moim wrogiem... Zażyłam zaraz, rzecz jasna, tabletkę od bólu głowy, a nawet dwie i po krótkiej chwili ból ustał, ale irytacja pozostała. I to ona nie pozwoliła mi przespać całej nocy jak lubię: mocno i beztrąsko.

Zaraz, ale czemu ja tak... o tej nocy? Aha. Oczywiście, w kontekście dnia następnego. Bo do pracy przyszłam w nieco gorszej formie, niż zwykle. Niż zwykle, czyli: wypoczęta, wymuskana, z planem na cały dzień – w kwestiach, które się dało zaplanować i czujna na to, czego się nie dało. Nie cierpiałam mieć gorszej formy niż zwykle. Bo nie cierpiałam nie panować nad czymkolwiek w moim życiu, a już na pewno nie nad własnym organizmem. A tu akurat, ten właśnie dzień przyniósł z sobą rzeczy nieprzewidziane, takie, których nie można zaplanować. Otóż, jak tylko weszłam do galerii, zadzwoniono z komendy policji i zaproszono mnie na okazanie. Tu muszę się nieco cofnąć w czasie i wrócić do dnia, (a raczej nocy), kiedy w mojej galerii miało miejsce pierwsze włamanie. Zdarzyło się to jakiś rok temu z okładem. Straciłam wówczas sporo cennych drobiazgów. Obrazy, meble i inne, większe przedmioty zostały na miejscu, przypuszczalnie ze względu na gabaryty. Sprawą zajął się potężny ciałem, i, miałam nadzieję iż równie wielki umysłem funkcjonariusz, Czesław Król. A właściwie Król Czesław, bo tak zwykł się przedstawiać. Niestety, sprawa kręciła się w kółko, a zatem, w sposób właściwy toczeniu się po okręgu, ciągle wracała do punktu wyjścia. A ściślej: wejścia, bo problem dotyczył sposobu dostania się oprycha do środka przy zamkniętych drzwiach wejściowych i zamkniętych drzwiach od zaplecza. Że niby banał straszliwy, bo: oprych mógł drzwi otworzyć

wytrychem. Albo mógł doprowadzić na chwilę klucz któregoś z nas, bądź zrobić odcisk z plasteliny i dorobić własny. Teoretycznie mógł, ale praktycznie absolutnie nie. Po prostu nie miał żadnej możliwości zabrania kluczy ani mnie, ani Oli. Żadnej, bez wdawania się w szczegóły. Wytrych też nie wchodził w grę, nie przy tych zamkach, które były w drzwiach galerii. To jednak jeszcze wszystko drobiazg, podstawowe pytanie brzmiało bowiem: jak dokonano włamania i rabunku, przy załączonym, całkowicie sprawnym i wysoce profesjonalnym systemie alarmowym? No właśnie... Wobec powyższego punktem wyjścia, do którego każdorazowo wracał Król Czesław, była hipoteza, że okradliśmy się same. Tylko że... po co? Dla nas łup nie był aż tak wartościowy, byśmy miały zawracać nim sobie głowy w sposób kryminalny, a ubezpieczenie... No cóż. Takie rzeczy to w Ameryce. U nas to ubezpieczyciel łupi ubezpieczonego i odwrotny przekręt w ogóle nie wchodzi w grę. Każdy normalny człowiek o tym wie. A zatem okradliśmy się same, z powodu... No, powiedzmy, dla kawału. Albo dla urozmaicenia swoich monotonnych żywotów. Tak rozumował i konkludował nasz Król.

Dlatego też dzisiejszy telefon z komendy z prośbą o wizytę celem okazania kandydatów na podejrzanych niezmiernie mnie zaskoczył. I zdegustował, rzecz jasna, ze względu na niższą niż zwykle formę. Może, gdyby zdarzyła się jakaś inna, równie zaskakująca rzecz, nie związana z Królem Czesławem, moja irytacja nie byłaby aż tak znaczna. Bo wizyta na komendzie, kontakt z panami funkcjonariuszami, a już w szczególności z rzeczonym policyjnym monarchą, wymagała formy najwyższej.

* * *

Zaprowadzono mnie - tak, jak się spodziewałam, bo widywałam podobne pomieszczenia w filmach - do niewielkiego pokoiku z oknem, które podobno od drugiej strony było lustrem. Okno było, jak się również spodziewałam, z widokiem. A konkretnie z widokiem na kilku nieciekawych facetów.

– A kogóż to ja mam tutaj rozpoznać, proszę funkcjonariusza, skoro nawet przez sekundę nie widziałam włamywacza? I nikt nie widział? – spytałam faceta, siedzącego za moimi plecami, w zacienionym kącie pomieszczenia.

– Nie był nim z pewnością (i na szczęście) spodziewany Król. Nie tytułowałam go na wszelki wypadek żadnym stopniem, żeby mu czego nie zaniżyć, a półmrok w którym tkwił, uniemożliwił mi dokładne przyjrzenie się jego pagonom.

– Wspominała pani w czasie dochodzenia, że jakiś młody mężczyzna na kilka dni przed włamaniem był w galerii codziennie, ale niczego nie kupił.

– Aaaaa – przypomniałam sobie mgliście. – Był taki! Interesowała go chyba jakoś tak... nieodparcie, stara szafa po moich dziadkach. Ciągłe do niej wracał.

– Czy będzie pani zatem uprzejma wytypować go spośród tych kilku... dżentelmenów?

– O Chryste... – jęknęłam mimo woli.

– Nie pamięta go pani? – zaniepokoił się policjant.

– Nie, no, pamiętam, tylko...

– Tak?

– Dżen-tel-me-nów? – nie wytrzymałam i wybuchłam niekontrolowanym śmiechem (niższa forma, niż zwykle). Dżentelmenami bowiem okazało się być pięciu chłopca o fizjonomiach tak bardzo przeczących powyższemu określeniu, jak to tylko było możliwe.

– Być może... echm... faktycznie, określiłem ich nieco... nieadekwatnie – chrząknął policjant. – Tak czy inaczej, czy rozpoznaje pani któregoś z nich?

– Nieadekwatnie? – uczepliłam się. – Gdyby pan powiedział: meneli, oprychów, lub degeneratów, byłoby, jak pan to ujął, adekwatniej – znów się roześmiałam (oh, ta zaniżona forma).

– Ja bym tu zalecał pewną ostrożność, proszę pani – rzekł ze spokojem funkcjonariusz. – Między tymi panami znajdują się również policjanci z

naszej komendy.

– Czy... oni... czy oni są.... jakoś ucharakteryzowani? – spytałam dławiąc się i krztusząc.

– Nie.

– Wobec tego... gratuluję wyboru - załkałam cicho.

O dziwo, policjant teraz śmiał się już razem ze mną.

- Ten mój oprych trzyma tabliczkę z numerem cztery. – A pańscy? – wyszeptałam przez łyzy.

– Jeden i pięć... – odparł i dodał lekko zduszonym głosem. - Dziękuję pani, wobec tego, będziemy w kontakcie.

Wyłuskałam z torebki chusteczkę i wytarłam oczy oraz nos. Myślałam, że facet odprowadzi mnie do wyjścia, ale ponieważ nie ruszył się z miejsca, wyszłam sama. Teraz już sprawa włamania wyjaśniła się nadszpodziejanie szybko. Okazało się, że złodziejasek tuż przed zamknięciem galerii, w czasie, gdy ubierałyśmy się na zapleczu, opróżnił stojącą na ladzie gablotkę z najcenniejszych drobiazgów, po czym wraz z łupem wlaźł do sporej, dwudrzwiowej szafy i w niej przeczekał do rana. Nic dziwnego, że czujniki ruchu nie reagowały, skoro wszelki ruch, jaki odbywał się w galerii, miał miejsce w szafie...

Rabuś opuścił miejsce zbrodni dokładnie w ten sam sposób, czyli w momencie, gdy po przyjsciu do pracy i rozbrojeniu alarmu pozbywałyśmy się okryć wierzchnich na zapleczu. Udało nam się odzyskać wszystkie skradzione przedmioty, bo ten maestro oszukiwania alarmów nie poradził sobie z ich upłynnieniem...

Chciałam nawet podziękować za to policjantowi, który przejął śledztwo po Czesławie, ale nie wiedziałam, jak się nazywał. Dałam więc spokój dochodząc do wniosku, że facet po prostu zrobił co do niego należało i w związku z tym nic mu nie jestem winna. Olga oczywiście była innego zdania. Uszczęśliwiona powrotem precjozów, gotowa była zakupić policjantowi specjalne podziękowania w śląskim koncercie życzeń. Zabroniłam jej tego. Jako jej szefowa miałam prawo, zwłaszcza, iż włamanie nie było Olgi prywatne. Inna sprawa, że żadna z nas nie znała nazwiska policjanta.

– Powiedz chociaż jak wyglądał – poprosiła po krótkiej wymianie zdań na powyższy temat.

– Nie wiem, bo siedział – odparłam zdawkowo.

– To znaczy że co? Że nie widziałaś... czego właściwie?

– To znaczy, że widziałam, jakiego był wzrostu – sprecyzowałam. – Ani w ogóle, co jakie miał, bo siedział w cieniu.

– W cieniu czego? – czepiała się Olga.

– Niczego. W cieniu ogólnym. No, powiedzmy, w półmroku.

– Aha. Nie, to nie – bąknęła, nie do końca przekonana.

– Ale był taki... doprecyzowany – dodałam po namyśle. – Taki... wyważony.

Olga spojrzała na mnie spode łba i wzruszyła ramionami.

– Nie, to nie – powtórzyła i prychnęła z dezaprobatą.

* * *

Było mi bardzo na rękę, że sprawa kradzieży została rozwiązana, a łupy zwrócone. Dzięki temu Olga jeszcze bardziej umocniła swoją wiarę w ludzi, a także w organ policji jako sumiennych i skutecznych stróżów prawa. Mogłam zatem pojechać na ślub Estery, zostawiając interes pod okiem pracownicy spokojnej o bezpieczeństwo swoje i galerii.

Estery nie widziałam jakieg... tak, ponad siedem lat i kompletnie nie spodziewałam się jej takiej. W mojej pamięci nadal tkwiła jako chuda, blada dziewczyszyna z wadliwym zgryzem. Ta, która objawiła się moim oczom (objawiła i tylko takie słowo tutaj pasuje) była absolutną pięknoscią: wysoką, zgrabną, naturalną blondynką o nieskazitelnym uśmiechu. Milusią i ciepłą.

– Ciociu! – Estera przyłgnęła do mnie w mocnym uścisku. – Tęskniłam za tobą, wiesz? I tak strasznie, strasznie chciałam, żebyś była ze mną w tym dniu...

Do Krakowa przyjechałam na dzień przed ceremonią i ulokowałam się hotelu. Takie wydarzenie, jak ślub i wesele wymagało bowiem

odpowiedniego wejścia, odpowiednie wejście wymagało odpowiednich przygotowań, te zaś – czasu. A w szczególności, gdy chodziło o ślub w rodzinie mojego byłego męża...

Już z hotelu wysłałam Esterze SMS-a, że jestem, nie sądziłam jednak, że ta zechce się pofatygować na drugi koniec miasta, żeby się ze mną przywitać.

– Miło cię widzieć, Esterko – jęknęłam nieco zduszonym głosem. – Ależ ty śliczna się zrobiłaś...

– Naprawdę? Naprawdę tak sądzisz ciociu? – dopytywała się, jakby nie wiedziała.

– Tak. Bardzo śliczna.

Przez moment zapanowała cisza.

– Wiesz, już dawno chciałam cię odszukać, nie raz bardzo mi ciebie brakowało. Naszych długich rozmów, twoich prostych i skutecznych rad...

Szczerze mówiąc nie bardzo pamiętałam o czym były te rozmowy, ani czego dotyczyły owe rady, ale widać były dla niej na tyle znaczące, że wspominała je do dziś. Dlatego też (między innymi), nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– A... twoi rodzice? – spytałam więc nieco pokrętnie.

– No cóż.... Wiedzą, że zaprosiłam cię na mój ślub i uszanują to.

– Moja wdzięczność dla nich nie zazna granic – wymusknęło mi się nieco cynicznie.

ROZDZIAŁ IV

Jedno wesele i... wystarczy

Estera wyglądała zjawiskowo. Taka... katalogowa panna młoda: precudna suknia (oczywiście tradycyjna „beza”), idealna fryzura, świetnie komponująca się ze zwiewnym jak mgielka, pięknie udrapowanym welonem, doskonały makijaż. Tyle oprawa. Jej własne przymioty natomiast, uroda, wzrost, figura, sprawiły, że doskonała była ona cała. Od stóp do głów, a szczęście, jakim emanowała przydawało jej jakiegoś nieziemskiego blasku.

– Ciociu – szepnęła na mój widok, wyciągając przed siebie obie dłonie.
– Cudownie, że jesteś...

Wzruszenie, jakie teraz odmalowało się na jej twarzy, wyraźnie przytłumiło jej głos. Nie wiem, czemu moja obecność była dla niej w tym dniu taka ważna, czemu ja byłam ważna.

– Pięknie wyglądasz, ciociu – uprzedziła mnie komplementem.

– O, mają droga... Przy tobie gaśnie każdy blask, a już na pewno próżnymi stają wysiłki dojrzałej kobiety.

– Co ty mówisz, ciociu! – Estera spojrzała na mnie z powagą. – Zawsze byłaś dla mnie wzorem piękna i elegancji. I do dziś taka jesteś! Aaaa... chciałabym ci kogoś przedstawić. Mogę?

– No pewnie – podążyłam oczami za jej wzrokiem, w dość liczny tłumek gości płaczących się po salonie krakowskiego domu rodziców Estery.

– Armand! – pomachała ręką do kogoś w tym tłumku.

Wszyscy teraz zwrócili na nas uwagę. Rzecz jasna, na czele z jej rodzicami.

O, witaj, Adelo - Filippa, matka Estery podeszła do mnie krokiem majestatycznym i podobnym gestem wyciągnęła dłoń w moją stronę. – Nie spodziewałam się, że n a p r a w d ę przyjedziesz...

– Mamusi! Mówiłam ci przecież, że ciocia Ada będzie na moim ślubie – rzuciła niecierpliwie Estera.

– A ja ci mówiłam, córeczko, że Adelajda nie jest żadną twoją ciocią! – odparła wręcz przeciwnie, czyli bardzo cierpliwie Filippa.

– Adela – poprawiłam ją i w tym momencie podszedł do nas mężczyzna nazwany przez Esterę Armandem. I był to moment bardzo dobry.

– O, właśnie – odetchnęła z ulgą Estera. – Poznajcie się. To jest Armand, kuzyn...

– ... twojej mamy – nie darowałam sobie i weszłam jej w słowo.

– Znacie się? Ale... jak? Armand dopiero co wrócił...

– Nie, nie znamy się – przerwałam jej po raz drugi. – Domyśliłam się.

Nie było to trudne. Po prostu, w rodzinie Filippy (przez dwa pe) wszyscy nosili równie durnowate imiona. Włącznie z moim byłym mężem, bratem Estery, Eneaszem.

– A ja jestem Ada – wyręczyłam zmieszaną nieco pannę młodą.

Armand był śliczny. Bez przekąsu, w dosłownym znaczeniu. Śliczny, jak tylko może być ś l i c z n y mężczyzna po trzydziestce: wysoki, smukły, wystrojony i ufryzowany. I wystudiowany. Uśmiech, gesty, ton głosu, a przede wszystkim forma wypowiedzi, sprawiały wrażenie porządnie wytrenowanych przed lustrem.

– Esterka wspomniała mi, że ma piękną ciocię, którą będę miał przyjemność dzisiaj poznać, jednak żadne z jej słów nie oddało pani rzeczywistego wyglądu.

Armand pochylił się i pocałował mnie w rękę. Od tego momentu nie opuszczał mnie już ani na chwilę.

Przyjechał pan młody w towarzystwie dwóch druhen w czerwonych sukienkach. Był wysoki jak Estera razem z obcasem, dość pulchny i mocno przejęty.

– Piękna para, prawda? – spytał półgłosem Armand i westchnął.

Nie odpowiedziałam. Bo para nie była piękna. Estera była piękna. On wyglądał całkiem pospolicie, by nie rzec: nieciekawie. Ale cóż, kryteria doboru w pary znane są wyłącznie osobom zainteresowanym. I szczerze mówiąc, jakie by nie były, mają niewielkie znaczenie. Bo cechy charakteru, na jakie się załapaliśmy wkrótce okazują się fikcją, cechy fizyczne zaś, równie szybko się dezaktualizują...

Patrzyłam na tych młodych, wpatrzonych w siebie jak w siódme cuda świata bez emocji. Ale z żywą ciekawością. Próbowałam sobie przypomnieć, co się czuje w takiej chwili, jednak mój zdyscyplinowany umysł wyselekcjonował mi wspomnienia z tego dnia. Zostało tylko parę, że tak powiem.... technicznych. Na przykład, że po wyjściu z kościoła zaplątała mi się w welon pszczoła. I że przebiegł nam drogę czarny kot. I że oddałam kościelnemu razem z kwiatami od gości swój ślubny bukiet. Na ołtarz. I że się wróciłam po niego wbrew zakazowi przesadnej babci, która uznała, że to nam przyniesie pecha. To tyle...

* * *

W kościele było zimno, przydługo i z pompą. Pewnie „co łaska” rodziców Estery było hojne. Dla urozmaicenia sobie czasu spoglądałam kątem oka na Armanda. Chyba to czuł, gdyż starał się mieć wyraz twarzy zawsze adekwatny do chwili: a to uduchowiony, to rozmodlony ekstatycznie, to znów zachwycony, bądź wzruszony. Z prawdziwymi łzami w podejrzenie błękitnych oczach.

– Czy pan jest artystą jakimś? Albo poetą? – wymusnęło mi się podczas kazania.

Armand spojrzął na mnie całą głębią przepastnego błękitu i odparł:

– O, tak, eh, oh! Jak najbardziej!

Później okazało się, że był zawodowym kierowcą. Jeździł tirem po Europie i przewoził różne towary. Co nie przeszkadzało mu, rzecz jasna, w byciu artystą i poetą. Tak bywa...

Podczas wesela Armand roztaczał przede mną najpiękniejsze, najbardziej liryczne, takie wręcz... powiedziałabym barokowe przymioty, duszy i ciała. Być może obiecał to Esterze, a może rzeczywiście wpadłam mu w oko, w każdym razie zaszczycał mnie swoim towarzystwem bardziej, niż intensywnie. Od czasu do czasu napotykałam jej wzrok, pytający: jak się bawisz? Odpowiadałam jej wzrokiem: och, szampańsko! Czy coś w tym stylu. A tak naprawdę byłam zwyczajnie poirytowana. Jak zawsze, gdy traciłam kontrolę nad tym, co się dzieje. Nie musiałoby tak być, gdyby nie ta cała Estera. Gdyby to nie było jej wesele, albo by mnie tu wcale nie było, albo już by mnie tu nie było. Albo... skłębym tego durnowatego Armanda na czym świat stoi i bawiła się po swojemu. Nienawidzę tak zwanego szantażu uczuciowego, to znaczy, gdy szantażują mnie moje uczucia. Jeszcze od czasu do czasu niestety zdarzało im się to, w sytuacjach nieprzygotowania. Taką sytuacją była właśnie Estera, która zjawiła się w moim życiu po latach, podczas gdy możliwość tego spotkania nie była nawet brana przeze mnie pod uwagę. Wiedziałam, że będę musiała coś z tym zrobić i to również mnie irytowało, bo było trudne. Układanie sobie przeze mnie życia polegało co prawda na eliminowaniu, omijaniu i wypieraniu, ale wymanewrowanie z mojego życia Estery mogło być... raczej niesympatyczne. Było jednak absolutnie konieczne.

Tak sobie myślałam podczas biesiadowania, podczas tańczenia i podczas udawania, że słucham kwietnych oracji Armanda. Myślałam, i każdą głębszą myśl popijałam głębszym haustem pysznego, czerwonego wina.

– Jak się czujesz, moja miła? – spytał Armand w okolicach świtu.

– Ujdzie – odparłam.

– Być może... jeśli jesteś zmęczona, oczywiście... odwiozę cię do hotelu? – drażył z coraz bardziej błękitnym błyskiem w oku.

– A błyskaj sobie do woli – mruknęłam, zaaferowana tymi jego błyskami. – Tylko wieszsz...

– Taak?

Armand pochylił się nade mną zdecydowanie za bardzo.

– Sama się odwiozę.

– Wobec tego poinformuję kierowcę – wstał i udał się w stronę stolika dwóch dyżurujących na imprezie kierowców, jakby całkiem nic nie zrozumiał.

Pożegnałam się z Esterą oraz jej świeżym nabytkiem i krokiem, nie tyle chwiejnym, co, hmm... dość nonszalanckim, udałam się w stronę kierowcy osaczonego przez Armanda.

– A mogłaś być moja synową – stwierdziła wyniosłe Filippa, która nagle znalazła się na mojej trasie.

– I byłam.

– Nie. Gdybyś była, dotrwałabyś, jak ślubowałaś: w nieszczęściu i chorobie...

– W chorobie bym dotrwała. W nieszczęściu też – odparłam, usiłując patrzeć jej w oczy.

– Eneasz nie żyje! – złapała mnie za ramię.

– Wiem – oswobodziłam się z jej szponów i ruszyłam ku wyjściu.

Pożałowałam zaraz, że może jednak powinnam była podjąć temat, być może Filipa załatwiłaby wówczas mój najbardziej aktualny problem i zabroniła Esterze kontaktowania się ze mną?

– A, tam. Nie uciecze się – mruknęłam pod nosem.

– Słucham? – spytał kierowca.

– Przecież mogę jej nabluzgać przez telefon – objaśniłam.

– No jasne, przez telefon się bluzga znacznie swobodniej – zgodził się kierowca, a Armand, nie widomo po co, wsiadł z nami do samochodu.

Na hotelowym podjeździe, mój chcąc nie chcąc opiekun, wyskoczył z limuzyny gibki jak sarenka i bardzo ozdobnym gestem otworzył mi drzwi.

– Nie musisz mnie odprowadzać – zaproponowałam. – Kierowca ma z pewnością lepsze rzeczy do roboty, niż czekanie na ciebie.

– Nie liczę na to, że będzie czekał – odrzekł radośnie.

Spojrzałam na niego skonsternowana. Bo czy zamierzał wrócić na wesele później, inną taryfą, czy też nie zamierzał wracać wcale, obie koncepcje były do chrzanu.

– Tak czy inaczej, dobranoc. I dzięki za towarzystwo - uśmiechnęłam się przy pomocy resztek panowania nad formą i treścią.

– A, nie! To jeszcze nie teraz – Armand jedną ręką ujął mnie pod ramię, drugą otworzył drzwi, a następnie sprytną postawą reszty ciała spowodował, iż przez nie przeszłam. On za mną.

– Które piętro? - zapytał.

Bez słowa ruszyłam w stronę windy. Nie chciało mi się użerać z nim przy recepcjonistce. Postanowiłam załatwić sprawę kategorycznie i bez świadków przed drzwiami mojego pokoju. Niestety. Armand, nie pozwolił się odprawić, i jeszcze bardziej giętki niż dotychczas, po prostu wmanewrował jakoś do wewnątrz. Gdyby nie ta niezliczona ilość lampek pysznego czerwonego wina, uporałabym się z nim znacznie skuteczniej.

– Okej, Armand. Jeszcze raz ci dziękuję i żegnam zarazem – wyciągnęłam do niego rękę, póki co, po przyjacielsku.

Armand ucałował ją z namaszczeniem, po czym powiódł ustami dalej, poprzez nadgarstek, łokieć, ramię – by namiętym pocałunkiem zatrzymać się na mojej szyi. Zaskoczył mnie tym jak cholera. Domyślałam się co prawda na co się zanosí, spodziewałam się jednak jakiegoś wstępnego tokowania. Długiego i ozdobnego. Jedyne, na co było mnie więc teraz stać, to gwałtowny uskok w tył.

– Hej? Co jest, słonko? – zaniepokoił się Armand.

– Nic. Widocznie nie wyraziłam się zbyt konkretnie, ale już to czynię. Otóż, zamierzam się tu i teraz z tobą pożegnać, a po twoim wyjściu wziąć prysznic i zasnąć jak kamień. Jutro przed południem wracam do domu i do tego czasu chcę odparować promile.

– A ja – szepnął aksamitnie – mam plany bardzo podobne. Otóż, zamierzam tu i teraz wziąć z tobą prysznic, i... jutro przed południem wrócić do domu.

– Idź już! – wyraziłam się znacznie bardziej wprost.

– Estera mi mówiła, że jesteś kobietą samotną. Od wielu lat. Ja wiem, że taka samotność czyni duże spustoszenie w hierarchii potrzeb, ale ja pomogę ci się odnaleźć na nowo, jako kobiecie. Jesteś... taka piękna, taka subtelna, pociągająca! Pewnie w to już nie wierzysz, ale zapewniam cię, że...

– A ja cię zapewniam – przerwałam mu – że... wcale nie jestem subtelna! Jestem sama z własnego wyboru i nie zamierzam tego zmieniać. A zatem – żegnam!!!

– O nie, miła moja. Zainwestowałem w ciebie emocjonalnie. I materialnie. Nie odejdę teraz z pustką w duszy i raną w sercu!

Armand złapał mnie w ramiona i usiłował przyssać się do moich ust, a ponieważ stawiałam opór, do czegokolwiek innego w obrębie twarzy i szyi.

– Jeżeli wolisz odejść... z raną... na innym organie, proszę cię bardzo – wysapałam i przywaliłam mu z łokcia w żołądek.

Armand zastygł w osłupieniu. Wykorzystałam moment i wypchnęłam go za drzwi. Na szczęście włączając tu ze mną nie zamknął ich całkiem.

– Jak to? Nie chcesz... kochać się ze mną??? – najwyraźniej dopiero teraz zaczęła docierać do niego ta niepojęta prawda.

– Masz facet jakiś problem? – z pokoju z naprzeciwka wyłonił się wysoki, solidnie zbudowany mężczyzna i podszedł wolno do Armanda.

– Proszę się nie wtrącać – zaprotestował Armand.

– A pani, jak uważa? – zapytał facet.

– Jeśli o mnie chodzi, proszę się wtrącić – oznajmiłam i zatrzasnęłam drzwi.

Chrzanić promile – warknęłam pod nosem i sięgnęłam do hotelowych zapasów. Winka nie było. Był winiak. Zrzuciłam z nóg strasznie niemiłosierne szpilki, umościłam się w fotelu i oddałam nogom należyty hołd, układając je na niewielkiej, stylowej ławie. Na serwecie, po obu stronach wazonu z kwiatami. Dysonans smaków pomiędzy winem i winiakiem spowodował chwilowy szok, objawiający się krótkim

i gwałtownym kaszlem. Upiłam kilka łyków i wtenczas rozległo się pukanie do drzwi.

Niewielka praktyka w spożywaniu tego typu napojów, albo miszung, jaki sobie właśnie zafundowałam błyskawicznie sprawił, iż rzeczywistość stała się jakby... o wiele mniej realna. Prawa fizyki i przyrody natomiast, znacznie bardziej restrykcyjne. Wstałam z fotela, w przekonaniu, że moje nogi uczynią to samo, te jednak jakby nigdy nic, nadal zostały na ławie.

– Sio! – krzyknęłam, nie mogąc tymczasem zrobić nic innego.

Byłam przekonana, że to Armand wrócił, nie pamiętałam jednak, czy aby na pewno zamknęłam drzwi na klucz. Pukanie rozległo się znowu. Z pewnym trudem skłoniłam moje nogi do współpracy z resztą ciała, wstałam i ruszyłam ku drzwiom. Gdy byłam już całkiem blisko, te zaczęły się powoli uchylać. Nie mogąc temu zapobiec (a raczej dosięgnąć klamki, gdyż uniemożliwiał mi to kąt odchylenia mojego ciała), zgasiałam światło. Wówczas przekonana byłam, że to świetny pomysł. Równie skuteczny w zatrzymaniu napastnika, co zamknięcie drzwi na klucz. Niestety, fakty były zgoła inne. Ktoś, kto (mimo zgaszonego światła?!) wlaźł do mojego pokoju, spowodował tak gwałtowny podmuch powietrza (???), że rymnęłam na podłogę. Na gruby, miękki dywan, na szczęście. Chciałam coś powiedzieć, ale nie umiałam znaleźć właściwych słów. Nawet tych... najbardziej... elementarnych. Intruz podniósł mnie z podłogi, wywinął mną zamasyście, jakby zamierzając posadzić w fotelu, potem wywinął mną raz jeszcze i rzucił na łóżko.

– Świnio – powiedziałam gwoli komentarza, jako że łóżko kojarzyło mi się tylko z jednym rodzajem przemocy.

– Świnio, do wybawcy? – spytał intruz i nie był to głos Armanda.

– Sorry – odparłam. – Myślałam, że to ty i że mnie będziesz gwałcił.

– Rozumując pani tokiem, powiem tak: nie, to nie ja i nie będę gwałcił.

Tak powiedział intruz, i, jak to intruz, zamiast wyjść, usiadł w fotelu i zapalił lampkę. Dawłała nikłe, seledynowe światło.

– A, to dobrze. To idź już teraz, ale zamknij mi drzwi na klucz.

– Od zewnątrz? – spytał intruz.

– No jak? – spytałam zgorzozona. – Od wewnątrz oczywiście.

– Wobec tego jedno wyklucza drugie – zaśmiał się intruz.

Uniosłam głowę i spróbowałam dostrzec, z kim rozmawiam. Mężczyzna był wysoki i barczysty. Jego twarz, oświetlona mizernym światłem nocnej lampki była... była... O, mój Boże! Na przeciw mnie siedział najprawdziwszy potwór! Diabeł lub upiór... Jego twarz była tak przerażająco ohydna, tak straszliwa, że na moment zaparło mi dech. Jednocześnie docierała do mnie mglista ewentualność, iż jest to tylko pijacki omam.

– Kurde, idź mi stąd! – zażądałam, zacisnąwszy powieki. – Pijana jestem mało mi znanym rodzajem alkoholu, dlatego mam dziwii... dziw... ne objawy.

Ukradkiem rzuciłam okiem w jego stronę, ale on nadal był i w dalszym ciągu taki straszny.

– Wyjdź!!! Proszę... pana... – załkałam.

– Skoro nie mogę zamknąć drzwi od zewnątrz, nie jestem w stanie zagwarantować, że ten co miał panią gwałcić już nie wróci. Zostanę i popilnuję. Proszę odpoczywać spokojnie.

– Akurat... Nie ma bezinteresownych diabłów. Tak samo, jak facetów, bo to raczej jedna cholera – dodałam, czując wbrew sobie coraz większą senność.

– A jacy są? – spytał diabeł. – To znaczy... faceci.

– Głównie wredni. Jeśli nie widać od razu, że są wredni, to znaczy, że są podstępni. Jeśli nie są ani tacy, ani tacy, to znaczy, że są mamlasy oraz dupki i nie mogą być ani wredni, ani podstępni, mimo, iż by chcieli.

– O? – zdziwił się. – A... ci męscy, rycerscy, ci opiekuńczy i czuli?

– Ci męscy to mięśniaki bez zwojów na mózgu, ich męskość polega wyłącznie na nieustannej gotowości nakładzenia komuś po ryju. Czasem pretekstem do ryjobicia bywa kobieta, a to się kojarzy z rycerskością właśnie... Ci opiekuńczy i czuli to nikt inny, jak ci podstęp... niiii...

Odpowiadałam coraz wolniej, z zamkniętymi oczami, bardzo, ale to bardzo potrzebując zasnąć. Diabeł jednak drażył. Byłam zła, bo nie dość,

że nie dawał mi spać, to jeszcze wyciągał ze mnie co chciał, wbrew mojej woli, jak to diabeł.

– Czyli... nie ma na świecie porządných facetów?

– To oczywiste. I udowodnione naukowo.

– O? A według jakiego naukowca, jeśli można spytać?

– Mnie.

– No tak... A kobiety? Jakie są?

– Takie same. Tylko że chłop to strona nacierająca, a baba to strona nacierana. Ale mechanizmy są identyczne.

– Czyli?

– Czyli, czyli – irytowałam się, już teraz niemal szeptem. – Czyli że wszystko to jedna, durna gra pozorów, jedna wielka ściema. I tyle. Ciiiicho... bądź już...

– Dobrze, ale jeszcze tylko jedno. A... miłość?

– Nie ma takiego numeru.

– No jak to... Czyli że... wszyscy twoim zdaniem się mylą? Cała ludzka populacja od pokoleń, poeci, malarze, kompozytorzy, pisarze... nauka?

– Bzdura. Żadna nauka żadnej miłości nigdy nie widziała. Tak samo, jak duszy. Dlatego figa z makiem, próżny twój trud!!! Ale pęd do podtrzymania gatunku, owszem, da się namacać.

– Cyniczna jesteś...

– Nie. Już ci mówiłam, życie mi tego dowiodło. Empirycznie. I nie będę cię tu zaszszsz... zaszczzcz... zaszczycać wynikami moich wieloletnich... badań i odkryć. Śpię.

– Okej. A... miłość fizyczna? Te wszystkie uniesienia, motyle, jak wy to nazywacie, to spełnienie, zespolenie... jeśli nie dusz, to choćby ciał?

– Phi! – prychnęłam, zła do granic moich aktualnych możliwości i otworzyłam oczy, czując, że trzeźwieję. – Masz na myśli te kilka sekund szczytowania? A czy to nie głupie, samo w sobie? No, pomyśl! Tyle starania, czasem długie miesiące lub nawet lata zabiegów, kosztownych rzecz jasna, bo im lepsze opakowanie, bryka tym skuteczniejsze toki. Po co? Żeby zdobyć JA. Lub JEGO. A po co? Odpowiedział sobie ktoś kiedyś na

to pytanie? Ba! Zadał je sobie ktoś w ogóle? Nie! Bo gdyby sobie zadał i odpowiedział, życie byłoby prostsze.

– No więc?

– Przecież mówię! Po to właśnie. Aby przeżyć raptem te idiotyczne kilka sekund! To chore. A można przecież pozbyć się tego typu chuci i cały ambaras z głowy. A jak się poczuje potrzebę rozmnożenia, stawia się sprawę jasno i uczciwie: słuchaj no facet, chcę mieć potomka, może ty też akurat chcesz, więc sobie, owszem, zrobmy. Wysiłki i koszty manipulacyjne po połowie, bachor wspólny, nazwisko twoje. Jej uczucia egomacierzyńskie zostają zaspokojone, jego egojcowskie też, a jeśli będzie syn, nazwą go Samiec Junior i tatuś znajdzie się w siódmym niebie. Nie prostsze?

– I ty się ich pozbyłaś? Tak?

– Czeeee... go? Idź już wreszcie!!!

– Tych chuci.

– Jasne.

– To... to przerażające. Bo wiesz co? Ty jesteś... nie, to prawie niemożliwe, ale... Ty jesteś jeszcze gorsza ode mnie!

– Gorsza niż sam diabeł, znaczy się? Guzik! Przeciwnie: jestem po prostu otwarta, szczerza i uczciwa. A inni ludzie muszą sobie wszystko komplikować, taka już ich natura. Nie, nawet nie natura, bo to nie jest wrodzone, tylko nabyte. Żegnam!

Już nie chciało mi się spać. Nic mi się nie chciało, jednak odwróciłam się na bok, tyłem do intruza i leżąc tak i udając, że śpię, w końcu chyba jednak zasnęłam.

ROZDZIAŁ V

Lucyfer, kac i koneser żółtego koguta

Na całe szczęście w pociągu nie było tłoku. Może pora taka, a może najzwyczajniej po prostu mi się udało. Już w pierwszym podejściu trafiłam na prawie cały wolny przedział, nie licząc jednej, jedynej babiny. Sprawdziłam nawet, czy to nie jest jakoś grubymi nićmi szyte, bo na przykład babina śmierdzi, albo przewozi coś paskudnego, bądź też w inny sposób odstrasza współpasażerów, ale nie. Wszystko było okej. Usiadłam więc sobie przy oknie, racząc się obficie mineralną bez gazu. Pewnie jeszcze dotąd odsypiałabym wesele Estery w hotelu, gdyby nie zadzwoniła ona sama, pytając, czy u mnie wszystko w porządku.

- Bo Armand wspomniał, że przyczepił się do ciebie, ciociu, jakiś intruz - wyznała z niepokojem.

- A, tak... - odparłam jeszcze nie całkiem dzisiaj. - Owszem, przyczepił się Armand, ale intruz go przegonił! Więc teraz śpię sobie.

Estera przeprosiła i rozłączyła się. Ja zaś, chcąc nie chcąc, zaczęłam uświadamiać sobie powoli ostatnie zajścia wczorajszego dnia, czy też dzisiejszego ranka. Fakty zastane były następujące: obudziłam się w łóżku, szczerlnie okryta narzutą. Upewniłam się, czy aby w ubraniu, ale jak najbardziej, w kompletnej, weselnej kreacji. Prawie, bo bez butów. Fotel był pusty. Wylazłam z łóżka i przyjrzałam mu się z bliska. Nie nosił śladów czyjejkolwiek obecności, może... poza zapachem. I nie był to zapach Armanda, więc mi się nie ubzdurało, zwłaszcza, iż węch miałam lepszy niż jakikolwiek zmysł. Fotel wyraźnie woniał facetem. Nie, nie siarką, ale facetem właśnie. Zresztą, na trzeźwo przestałam się upierać

przy wizycie istot piekielnych. Widać alkohol plus gra świateł wykreowały w moim mózgu ów paskudny widok.

Szkód żadnych na mojej osobie, ani mieniu hotelowym nie było. Wobec powyższego postanowiłam jak najszybciej dojść do siebie i wrócić do domu. Szybka kąpiel, pobieżna toaleta, mocna kawa na dole w bufecie i byłam gotowa. Trochę mnie jeszcze czaszka uwierała w zawartość, ale uznałam, że nigdzie się tak nie zregeneruję, jak u siebie, w moim starym, wiernym fotelu. Korzystając z przymusowej beczynności ruchowej oraz myślowej, zastanawiałam się, kim był ów intruz, który przegonił Armanda i dlaczego to zrobił. Facet bowiem nie zrekompensował sobie swojej fatygi (niczego nie ukradł, nie zgwałcił mnie, nie wyciął mi nawet jednej, głupiej nerki celem sprzedania jej na bazarze, czy gdzie tam się nerki sprzedaje), a ponieważ nie ma na świecie bezinteresownych mężczyzn, doszłam do wniosku, że obronił mnie służbowo. To znaczy, że musiał być ochroniarzem w hotelu. Uspokojona tym wyjaśnieniem, powoli wracałam do swojego normalnego stanu.

* * *

Stan normalny, to stan optymalnej równowagi wewnętrznej i psychofizycznej harmonii. Gdybym miała komuś krótko i zrozumiale wyjaśnić o co w tym chodzi, powiedziałabym tak: to stan niezachwianego i bezwarunkowo dobrego samopoczucia. Czyli takiego, na które nie mają wpływu okoliczności zewnętrzne. Wspomniałam o tym, bo kiedy już wreszcie rozsiadłam się w swoim własnym domu, w ulubionym fotelu, z kubkiem ulubionej, zielonej herbaty z żurawiną, mój organizm natychmiast zasypał mnie szeregiem rozmaitych pretensji: zmęczeniem, bólem w stawach, dreszczami oraz mdłościami. Wyglądało mi na to, że ma zamiar się rozchorować. Ta perspektywa nie oznaczała jednak utraty równowagi duchowej, przeciwnie. Być może komuś wyda się to dziwaczne, ale lubiłam opiekować się sobą w chorobie. Snułam się wówczas po mieszkaniu, parzyłam sobie ziółka, brałam aromatyczne kąpiele, wylegiwałam się w łóżku bądź przesiadywałam w fotelu. Jednym

słowem, ceniłam i szanowałam swoje zdrowie. Napisałam więc SMS-a do Olgi, że wybieram się nazajutrz do lekarza i że najprawdopodobniej dostanę zwolnienie do końca tygodnia – po czym wyłączyłam telefon.

Lubiłam swoje własne towarzystwo. Szczerze mówiąc, swoje towarzystwo lubiłam najbardziej spośród jakichkolwiek innych towarzystw. Było mi więc całkiem fajnie. Bardzo fajnie: cicho, ciepło, bezpiecznie...

– ...i nic nie wytrąci mnie z równowagi – rzuciłam w stronę drzwi, bo właśnie, cholera jasna, rozległ się dzwonek.

Trzy spokojne, głębokie oddechy, rozluźnienie mięśni, przelotna myśl o klującej zieleni za uchylonym oknem, zachłyśnięcie się zapachem wczesnowiosennego powietrza – i mogłam powtórzyć, tym razem całkiem zgodnie z prawdą:

– Nic mnie nie wytrąci z równowagi.

Za drzwiami stała Olga. Jakaś taka... powykrzywiana.

– Dzień dobry – bąknęła niepewnie. – Wiem, że nie lubisz niezapowiedzianych wizyt, ale pomyślałam sobie, że skoro jesteś chora, to pewnie czegoś potrzebujesz i nie masz nikogo, by cię wsparł w tej chorobie... Co to? Grypa?

– Nie, kac – odparłam, patrząc jej przy tym w oczy.

Lubiłam zmuszać ją do spuszczenia wzroku.

– No to... może soki ci zostawię chociaż – Olga wyprostowała się na chwilę, unosząc w górę siatę, pełną owocowych soczków dla niemowląt.

– Wejź – powiedziałam cokolwiek niechętnie. – A tak naprawdę, co cię do mnie sprowadza?

Olga przystanąła w pół kroku.

– No... napisałaś mi, że jesteś chora. Mówiłam ci już, przyszedłam zobaczyć, czy czegoś nie potrzebujesz.

– A wiesz... że jakoś nie. Ale z soków skorzystam, skoro już są. Co tam w galerii?

– Nic takiego. W porządku. Wyobraź sobie, że sprzedałam tego wielkiego ceramicznego koguta.

– To żółte paskudztwo, na które nie poślakomiał się nikt przez tyle lat? Sprzedałaś??? Któż go nabył?

Olga wreszcie weszła porządnie do wewnątrz i przysiadła na krześle. No cóż, taki nius wymagał opowiedzenia na siedząco.

– Taki jeden. Dziwny trochę. Miałam wrażenie, że podpytywał o ciebie.

– Podpytywał, czy miałaś wrażenie? – zażądałam uściślenia.

– Nie wiem właśnie. Pytał, czy dziś jestem sama i czy coś się nie stało. Zrozumiałam, że tobie, skoro cię nie ma.

– I?

– Powiedziałałam, że owszem, jestem sama i że wszystko jak najbardziej w porządku.

– A on?

– Kazał sobie pokazać koguta.

– I co? Boże, Olga, mówże jakoś... potoczyciej.

– No... pooglądał go sobie, później zaczął się śmiać. Powiedział coś takiego... „no kolego, myślę, że tobie też się w końcu coś od życia należy”. I go kupił. Nie targował się wcale, choć jak się domyślasz, cenę na początek nieco zawyżyłam.

– Ale numer! Gdybym była sentymentalna, pewnie by mi go trochę brakowało. Taki szmat czasu stał na gablocie, że mi się już wpisał na stałe w krajobraz. Chciałabym wiedzieć, co to za oryginał, ten nabywca.

– Ja też. Ale może powiedz, jak było na weselu? Poderwałaś sobie kogoś?

– Wiesz przecież, że ja nie nikogo nie podrywam – skrzywiam się z niesmakiem. – Co najwyżej pozwalam się adorować, jeśli jest komu...

– A nie było?

– Zupełnie.

– Przecież miałaś mieć parę. Nie sprostała twoim wymaganiom ta para, czy jak?

Olga wyraźnie ze mną igrała. Jako moje wieloletnia koleżanka z pracy wiedziała doskonale, że w kwestiach damsko - męskich cholernie irytuje mnie pewnego rodzaju terminologia. Jak na przykład „poderwać”, czy

„polecieć na kogoś”. A już szczególnie, gdy używano jej w kontekście mojej osoby. No cóż, pewnie myślała, że jak wybuchnę, to wtenczas więcej jej powiem.

– Poleciała, wyobraź sobie – odparłam wyniośle. – I zrobiła to w taki sposób, że, jak przypuszczam, do dziś leczy rany.

– O, rany! – powtórzyła chyba bezwiednie Olga.

– I tyle. A potem do pokoju, w którym spałam przyszedł sam Lucyfer i wyznał, że się mnie boi, ponieważ wiele na to wskazuje, że jestem po tysiącakroć gorsza od niego – dodałam dla hecy i w pewnym sensie zgodnie z prawdą.

Olga spojrzała na mnie i na wszelki wypadek splunęła za siebie.

– Więc chyba nie dziwisz się mnie, że są chwile, w których i ja się ciebie boję – skomentowała ponuro. – A tak naprawdę? Co to niby miało być? Ten rzekomy Lucyfer?

– No, diabeł. Może nie Lucyfer, ale szatańskie nasienie z pewnością.

– Żartujesz, prawda?

– Nie.

Myślę, że dla wrażliwej i zabobonnej Olgi była to wieść przekraczająca jej poczucie humoru.

– Przysnił ci się, czy tak?

– Nie.

– Ada... Zlituj się - jęknęła ze zgrozą.

– Dobra. No więc zmienimy temat. Co proponujesz?

– Opowiedz, jak było. No bo przecież nic mi nie powiedziałaś.

Opowiedziałam jej więc o parze młodej, o ceremonii ślubnej, gościach, jedzeniu, tańcach, trąciłam nawet o moją było teściową. Zrobiłam to bardzo solidnie, jak mi się wydawało, podług wszelkich plotkarskich kanonów. Olga jednak nie była zadowolona, bo co jakiś czas potrząsała krytycznie głową.

– Boże mój, Ada! Jaka ty jesteś złośliwa. Zimna i cyniczna – stwierdziła na koniec.

- Ja? - zdziwiłam się. - Przecież opowiedziałam ci o wszystkim uczciwie!

- Nie. Nie uczciwie, bo z tymi swoimi paskudnymi komentarzami.

- To nie są żadne paskudne komentarze, tylko całkiem obiektywne dywagacje - odparowałam. - Ale wiesz co? Dobrze, że przyszłaś. Wzburzyłaś mi na tyle krew, że cały kac mi minął.

- No cóż, cieszę się niezmiernie - rzekła, bez oznak szczególnej radości.

* * *

Widocznie coś zamierzało dziś przetestować temperaturę mojej zimnej krwi i zaraz po wyjściu Olgi zaterkotał telefon. Stacjonarny. Nie zamierzałam odbierać, ale wówczas naprzemiennie zaczęła odzywać się moja komórka. I tu i tam wyświetlał się „numer nieznany”. Przeszło mi na moment przez myśl, że to w Grzešku odrodziło się uczucie i w obawie, że nie zechcę z nim gadać podszywa się pod wyżej wspomniane incognito. W pierwszym, a raczej w drugim odruchu zamierzałam powyłączać to brzęczące tałatajstwo i w ten sposób dać do zrozumienia intruzowi, że choćby nie wiem czym jeszcze zamierzał dzwonić, to ja panuję nad sytuacją. Zwyciężyła jednak zwykła ciekawość.

- Tak, słucham - odezwałam się w końcu w słuchawkę stacjonarnego. - I zarazem dziękuję, ale nie skorzystam.

- Z czego? - spytał po chwili dość zaskoczony, męski głos.

- Z prezentacji garnków, elektrycznych kołder samoleczących, ubezpieczenia na życie, zmiany operatora telefonicznego i z i wszystkiego innego, co zamierza mi pan zaferować.

- No tak, domyślałam się, że pani to wszystko posiada, a z wszelakich usługodawców jest pani bezkrytycznie zadowolona - westchnął zawiedziony.

- Nie, nie posiadam i nie zamierzam posiadać - odparłam, nie wiadomo po co.

- Oj, to szkoda, bo na przykład taka samolecząca koldra elektryczna...
- Dość tego! – przerwałam kategorycznie. – Niczego takiego nie chcę.

I do widzenia.

- Ale chwileczkę! – zaprotestował głos. - Przecież ja pani niczego nie proponowałem!

- No to o co chodzi? I kto mówi, w ogóle?

- Komenda dzielnicowa. Przepraszam, że się nie przedstawiłem, ale nie dopuściła mnie pani do słowa.

- Aha... Czego więc komenda sobie życzy?

- Niczego. To znaczy, – zreflektował się głos - chciałbym wiedzieć, czy u pani wszystko w porządku.

- Chciałabym.

- Oj, coś... jest nie tak? – zachnął się głos.

- Nie. Tylko komenda to rodzaj żeński. Więc powinien pan powiedzieć: chciałabym.

- Chciałabym... tfu! Bardzo panią proszę o powagę, bo sprawa jest poważna. I chciałbym wiedzieć, czy wszystko u pani jest jak należy.

- Wobec tego pan jest komisariat. Nie wiem, czym się to różni formalnie, ale na pewno płcią - kontynuowałam uparcie, w przekonaniu, że oto zadzwonił do mnie Król Czesław z nowymi rewelacjami w kwestii włamania do galerii.

- No tak. Sądząc z pani wypowiedzi wnioskuję, że wszystko w normie.

- Pan wnioskuje? – zdziwiłam się, gdyż to słowo jakoś nie leżało mi w stylu Króla Czesława.

- Tak. Ja wnioskuję – odparł nadzwyczaj spokojnie głos.

- Aha. Ja komenda, czy ja komisariat?

- Ja brzoza – wyglupił się głos. – Ale miło mi panią słyszeć w dobrej formie. Pozdrawiam i życzę miłego dnia – dodał, po czym się rozłączył.

No i teraz już kompletnie nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czy rzeczywiście dzwonił ktoś z policji, sprawdzając, nie wiadomo czemu, czy żyję, czy przeciwnie? Czepiał się mnie jakiś zbir, badając teren i możliwość kolejnego włamania? Zamiast się wyglupiać, powinnam była

bardziej nalegać na przedstawienie się rozmówcy – zgańlam się w duchu.
- Zwłaszcza, iż... Olga wspominała, że ktoś już o mnie wypytywał w galerii...

Przebiegł mi po plecach niemiły dreszcz.

ROZDZIAŁ VI

Pierwsza rysa na fasadzie świętego spokoju

To wtedy mniej więcej moje spokojne, uporządkowane i przewidywalne życie zaczęło zmierzać w jakimś niepokojącym kierunku. Przede wszystkim zaczęło się pojawiać w nim coraz więcej ludzi. Takich, których dotąd nie znałam nawet z widzenia, ale też różnych... upiórów przeszłości. Od lat już moje ludzkie otoczenie stanowiło krytyczne, ale i pożądane minimum. Była w nim Olga, i... Właściwie na stałe była tylko Olga. Cała reszta to goście, bądź przechodnie. Goście się pojawiali, pobyli trochę i odchodzili. Przechodnie to osoby, z którymi widywałam się sporadycznie, ze względu na określoną sytuację. Na przykład lekarze, urzędnicy, listonosz, sąsiedzi, klienci galerii. Te osoby nie wносиły niczego w moje życie, po prostu: robiły swoje i szły dalej. Zresztą, sama się starałam, aby niczego po sobie nie zostawiały: zero zobowiązań: zażyłości, zaangażowanych rozmów. Niczego też od nikogo nie brałam darmo i niczego nikomu darmo nie dawałam.

Gościem był natomiast w moim życiu na przykład Grzegorz. On i inni, którzy byli przed nim. Ich dotyczyła podobna reguła: nic za nic. Zawsze też wołałam randkę u faceta niż u siebie, a to z tej prostej przyczyny, że wówczas mogłam się w każdej chwili od niego uwolnić, zwyczajnie wychodząc z mieszkania. Nawet w środku nocy, gdy mi się odwiedziało. Byłam bowiem zwolenniczką rozwiązań prostych, szybkich i skutecznych,

a takie były możliwe jedynie wtedy, gdy poza wspólnie spędzonymi chwilami miałam z facetem niewiele więcej wspólnego. I, jak w przypadku Grzegorza, każdy przejaw ekspansji ze strony faceta był jednocześnie końcem takiego związku. Nie, nie związku, raczej układu bo tu już sama nazwa przeczy jego istocie. Tak więc, co najmniej od kilku lat (a konkretnie od rozstania z żywym jeszcze małżonkiem) moje życie toczyło się spokojnie, jednostajnie, prosto i płasko. Od biedy można by ten stan uznać za coś w rodzaju stanu szczęśliwości. I mogło tak być nadal. Ze szczęściem jednak, moim zdaniem, to coś w rodzaju UFO: są ludzie, którzy w nie wierzą bezkrytycznie i są tacy, którzy ich wyśmiewają. Niektórzy twierdzą, że widzieli je na własne oczy, a nawet mieli z nim bliski kontakt pierwszego stopnia. Przez chwilę, rzecz jasna. Sceptycy zaś tłumaczą to złudzeniem lub szaleństwem. A tak naprawdę nikt, nigdy nie był w stanie owego zjawiska zbadać, zdefiniować, ani wejść z nim w układy. I jeśli znajdzie się ktoś, kto twierdzi, że mu się to udało, najzwyczajniej w świecie miał omamy.

Skąd to wiedziałam? Z doświadczenia. Człowiek od chwili urodzenia dorasta, kształtuje się i dojrzewa, przy czym to ostatnie jest procesem cyklicznym, powtarzalnym. Każdy cykl dojrzewania uwieńczony jest przekonaniem o osiągnięciu takiego stopnia mądrości, roztropności i doświadczenia, które pozwoli nam zapanowanie nad własnym losem. Pierwsze tego typu olśnienie dopada nas w okolicach pełnoletniości. Wszystkich, bez wyjątku. A później, to już różnie, w zależności od predyspozycji. Życie jednak nie cierpi, kiedy jajo zaczyna się robić mądrzejsze od kury (albo, w zależności od światopoglądu – gdy człowiek myśli, że stał się równie doskonały jak Pan nasz i Stwórca) i każdorazowo po takim zachłyśnięciu się własną wspaniałością zsyła coś takiego, co to błogie przekonanie całkowicie burzy. Tylko że różne jest natężenie owych życiowych nauk, u jednych są to zaledwie subtelne napomnienia, u innych „regulaminowo przewidziane” nagany (czyli kara w miarę adekwatna do winy), u innych znów, ordynarny strzał z buta w mordę, bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia. I tak, o ile w pierwszym przypadku należy nieznacznie skrócić z obranej drogi, w drugim wystarczy

zaprzestać uprawiania jakiejś tam grzesznej działalności, w trzecim natomiast dochodzi do totalnej życiowej demolki i następuje konieczność budowania wszystkiego na nowo. O ile uda się wyleźć spod gruzów. Wówczas człowiek stara się układać swoje cegielki staranniej niż poprzednio, z większym wyczuleniem na wszelkie przechyły i krzywizny, najchętniej jakąś inną, bardziej zmyślną metodą. Ja należałam zdecydowanie do tej trzeciej kategorii.

Do tej pory osiągnęłam trzy etapy dojrzałości: ten do osiemnastki, jak wszyscy, później okres małżeństwa, następnie czas całkowicie wolny od uczuciowego i emocjonalnego uwikłania. Wówczas to doszłam do wniosku, że szczęście niekoniecznie musi opierać się na pożyciu w parze. Raczej wręcz przeciwnie. Ale tak to już, niestety, nasz ludzki gatunek jest skonstruowany, że leci do tego ognia, jak ćma... I tak, jak ona spala się w nim, nie umiając zrozumieć czemu i co się właściwie stało? Jakim cudem to jasne, ciepłe i kuszące swoim pięknem zjawisko, z bliska okazuje się być zabójczym żywiołem? Tak, jest taki moment, że wydaje się ono ósmym cudem świata, ale raptem na kilka chwil, tuż przed spopieleniem.

Moja teoria na ten temat była jedynie słuszna i niepodważalna, bowiem zbudowana na własnych doświadczeniach oraz na obserwacji świata przyrody. Każde zwierzę, najmarniejsze nawet, bo i płaz i owad i każdy najpodlejszy organizm żywy – rozumowałam – ma coś takiego jak instynkt, dzięki któremu, wyczulony na zagrożenia omija je szerokim łukiem – i trwa. Je, trawi, wydała, śpi – trwa. Instynkt i popęd, dwa podstawowe mechanizmy w świecie. Człowiek tak nie ma. I to jest jego kara za grzech pierworodny, że myśli i czuje. Dostał w pakiecie do tobołka, gdy go Pan wypędził z raj, całą paletę uczuć, odczuć, wrażeń i innego badziewia. A skoro tak, musi cierpieć. I Pan się nawet nie musi szczególnie starać, żeby mu jakoś systematycznie i wymyślnie dopiekać, bo człowiek robi to sobie sam. Dowcipne to i cwane posunięcie było z Jego strony. Całkiem, jakby dać małemu Jasiowi do zabawy żyłkę, piłę i kabel pod prądem. – A masz, Jasiu, proszę cię bardzo! Chciałeś? Masz! Bo Jasiu, a raczej nasz praojciec Adam, zwiedziony przez pramatkę Ewę chciał.

Chciał owocu z Drzewa Wiedzy Dobrej i Złej. Chciał dobrej tylko przypuszczalnie, ale jedno z drugim stanowi całość, jak rajske jabłko z rajskim ogryzkiem. Wszystko – albo nic. A mógł żyć w tymże raju! Jeść, trawić, wydalać i spać! Oj, jakże by wtedy było pięknie!

Przez niemal jedną trzecią mojego życia wszelkimi sposobami dążyłam do tego, aby zredukować swoje potrzeby do tych właśnie, elementarnych. I prawie mi się udało. Prawie. Bo człowiekowi na ziemi nie dany jest raj. Tak więc, gdy już p r a w i e udało mi się zakopać w kokonie spokoju, samowystarczalności i samozadowolenia, przypętlł do mnie cichutko i podstępnie, wąż! Szatan, a może raczej Lucyfer w ciele węża. Wydawało mi się, ba, przekonana byłam, że jestem czujna, sprytna i przewidująca, ale mój instynkt samozachowawczy mnie nie ostrzegł, nie uchronił. Bo my ludzie tak naprawdę nie mamy żadnego instynktu. Stłumiliśmy go już dawno, zabili, zamieniliśmy go na myślenie i na czucie... Bo właśnie byłam zbyt pewna siebie, bo jajo zamierzało stać się mądrzejsze od kury, a wówczas, jak już wspomniałam, los potrafi nas skarcić niezwłocznie. W taki sposób, abyśmy natychmiast i w całej rozciągłości odczuli, ile warte są nasze życiowe mądrości.

* * *

Mimo najszczerzych chęci zafundowania sobie kilku wolnych dni, zaraz nazajutrz wróciłam do pracy. Coś mi ewidentnie kazało. Coś? Wahałam się przez chwilę, czy to aby dobre określenie, skoro dawno już wszystkie przeczucia, przebłyski intuicji i inne nadprzyrodzone ble-ble zastąpiłam chłodną kalkulację zdrowego rozsądku. No i właściwie, tak powinnam była to ująć: następnego dnia po wizycie Olgi r o z s ą d e k nakazał mi stawić się w galerii. Zdrowy rozsądek, można by powiedzieć, bo to, co zastałam na miejscu było co najmniej... niestosowne. Otóż, moja zrównoważona i sumienna zazwyczaj pracownica podejmowała właśnie w galerii gości. Na pierwszy rzut oka zidentyfikowałam w tej grupie Renię z mięsnego i Oliwię, strasznie nieprzyjemną kosmetyczkę. Nieprzyjemną ze względu na uprawiany proceder (nie powiem o nim broń Boże zawód,

ani tym bardziej: profesja) – ale o tym później. Była jeszcze jedna dama, w białym kitlu, więc wzięłam ją z początku za pomocnicę Reni z mięsnego. Olga mi ją przedstawiła jako lekarza psychiatrę. Gościł również między nimi właściciel kamienicy od ktego wynajmowałam lokal na galerię, ale ponieważ mocno nie dosłyszał i panie, które zebrały się podobno w najwyższej dyskrecji, zmuszone były wrzeszczeć o poufnych sprawach, podziękowały mu raz dwa i sobie poszedł. Całe to dziwne towarzystwo łączyła jedna, wspólna rzecz: kamienica. Wszyscy bowiem miescili się bądź to w charakterze najemców, bądź mieszkańców, w teźże właśnie kamienicy.

- Adaa... Ooo! A?

Olga na mój widok wyraźnie się zmieszala i, jak to się mówi, chyba zapomniała języka w gębie.

- Tak? – spytałam i przyjąłam pozę wyczekującą.

- Bo widzisz... te panie... One są też zaniepokojone tym, co się dzieje.

- A co się dzieje? I gdzie?

- W galerii.

- Chwileczkę, bo nie rozumiem. Panie są zaniepokojone tym, co się dzieje w galerii? To miłe, że sprawy m o j e j galerii leżą paniom tak bardzo na sercach, choć właściwie nie widzę powodu i chciałabym go poznać. Ale jeszcze bardziej chciałbym wiedzieć, co konkretnie panie niepokoi w mojej galerii?

- Nie, nie w galerii – wyrwała się do odpowiedzi Renia z mięsnego. – Tu, wszędzie! – zatoczyła ręką szeroki krąg.

Spojrzałam pytająco na Olę.

- Dopiero co się zgadałyśmy – powiedziała Olga – że one widzą, słyszą i czują to samo od jakiegoś czasu.

- A! To chyba raczej sprawa dla pani – wskazałam na kobietę w białym kiltu. – Nie dla ciebie, Olgo.

- Ale! Ty jak zwykle musisz kpić sobie ze wszystkiego – zirytowała się Olga. – A tu naprawdę dzieje się coś podejrzanego. Te wizyty dziwne, stuki, pukania, skrobanie...

- Wiertelko... - zaczęła Renia z mięsnego, ale Olga weszła jej w słowo.

- ... i nie powiesz mi chyba, że ten jeden chuderlawy ma zapotrzebowanie na dokładnie wszystkie nasze usługi!

- Jaki chuderlawy?!

- Bo wiertelko... - podjęła jeszcze raz próbę komunikacji Renia, ale i tym razem Olga ją ubiegła.

To było całkiem niepodobne do mojej wyważonej, opanowanej Olgi.

- Chuderlawy taki – tłumaczyła mi gorączkowo, - Chodzi i sznupie. Normalnie, chodzi i chodzi, wszędzie już był, ale nie tylko on, jest jeszcze kilku i kobieta.

- I wszyscy oni sznupią?

- Tak! Wszyscy! – przytaknęła Olga nie zważając na moją ironię.

- Wiertelko! Wszystko zaczęło się od wiertelka! - wrzasnęła Renia, ale tym razem przerwałam jej ja.

- A może to jakiś nowy lokator kamienicy? Albo na przykład dentysta – skojarzyło mi się – i zamierza wynająć tu lokal pod gabinet?

- Gdzież tam! Ja jestem kosmetyczką przecież – odpowiedziała raczej głupio Oliwia.

- Ona się n a z y w a Wiertelko – wyjaśniła psychiatra w białym kitlu.

- Oliwia Wiertelko – kosmetyczka dygnęła przede mną. – I to ode mnie wszystko się zaczęło.

W tym momencie pomyślałam, że śnię. Tak, to było jedyne logiczne wyjaśnienie całej sytuacji: że śni mi się jakiś zakład dla pomyleńców. Z lekarzem prowadzącym na czele.

- Posłuchaj, Ada! Usiądź i posłuchaj – Olga ścisnęła mnie boleśnie za rękę i przemocą posadziła na krześle. – Wiertelko, ty zacznij!

Nie, nie śniłam. We śnie nie odczuwa się fizycznych aspektów śnionych wydarzeń.

- Tydzień temu z hakiem przyszedł do mojego salonu facet – podjęła ochoczo kosmetyczka. - Niepozorny, zaniedbany i taki bardziej... niechlujny, niż przeciwnie. Jak się odezwał okazało się, że nie ma zęba na

przedzie. Centralnie, jedyńki mu brakowało. Powiedział, że ma problemy z cerą i zażył sobie maseczkę.

- Co w tym dziwnego? – spytałam. – Dziś mężczyźni coraz częściej korzystają z salonów kosmetycznych.

- Taaaa – sarknęła panna Wiertełko. – Ubrany jak lump, uczesany jak debil, ząb co drugi, a on sobie będzie maseczkę robił dla urody! Czuje to pani?

- Potem był u mnie – wtrąciła Renia z mięsnego. – Nawet nie był, ale bywał! Codziennie najmniej po dwa razy. I za każdym razem kupował po dwadzieścia deko kurzych łapek, że niby dla psa. Jakby nie mógł wziąć od razu pięć kilo i zamrozić.

- Domyślam się, że był także u pani? – zwróciłam się do psychiatry. – I co? Zdiagnozowała go pani?

- U mnie był z rzekomą depresją, ale to była raczej wyraźna nadpobudliwość. Facet upierał się przy tej depresji z niepojętą gorliwością, zachowując się przy tym w sposób zupełnie przeczący jej symptomom. Zaciekawiał mnie ten przypadek i oczywiście, chciałam się nim zająć, ale on się obraził, trzasnął drzwiami wyszedł.

- W galerii też był parę razy – teraz do opowieści włączyła się Olga. – Pytał o szkatułki.

- Jakie szkatułki? – nie bardzo rozumiałam o czym mówi.

- No, jakiegokolwiek. Chciał oglądać wyłącznie szkatułki, kufferki, puzdra. I tak ze trzy razy. Potem zaczął drażnić sprawę koguta, wiesz, tej glinianej maskary, którą kupił jakiś gość kiedy byłaś w Krakowie.

- To znaczy?

- Pytał kiedy został sprzedany, komu, jak ten nabywca wyglądał itepe. I co? Tyle ci wystarczy? Nadal uważasz, że to nic niepokojącego?

- Ale to nie wszystko! – wtrąciła podenerwowana Wiertełko. – Później pojawili się inni! U mnie było ich w sumie trzech i babka, a każde z nich chciało maseczkę drożdżową.

- Drożdżową? Każde? – zdziwiłam się, gdyż w dzisiejszych czasach są już znacznie lepsze środki kosmetyczne.

- No tak. Bo ten pierwszy zapytał o najtańszą i reszta brała jak leci taką samą.

- Ci już u mnie już nie byli – stwierdziła sama z siebie psychiatra.

- A u mnie owszem – dodała ponuro Renia.

- W galerii również.

- I też pytali o koguta? – teraz już byłam skłonna się zaniepokoić.

- Nie. O poduszki. Wiesz, te takie cztery arrasowe poduchy z pomponami po rogach.

- Kupili którąś?

- Nie. Oglądali tylko.

- Tak czy inaczej wasza debata niczego rozwiąże – wstałam, dając gościom Olgi do zrozumienia, że to już koniec konferencji.

Po wyjściu ich wyjściu odwróciłam do zewnątrz kartkę napisem otwarte.

- Szczerze mówiąc, nie umiem sobie wyobrazić, co tu się mogło pod moją nieobecność stać. Z t o b ą co mogło się stać – zwróciłam się do Olgi. – Ty, zawsze taka rozważna, sumienna, wierząca w bliźniego swego jak w siebie samego, nagle uprawiasz na zapleczu nieróbstwo, plotkarstwo, że już nie wspomnę o nagłej podejrzliwości w stosunku do każdego kolejnego klienta.

- Ale to nie tak! – obruszyła się Olga. – Rozumiem twoje niedowierzanie, ale właśnie przez wzgląd na moją nienaganną pracę, lojalność, uczciwość i rozsądek spróbuj chociaż wziąć pod uwagę, że dzieją się tu rzeczy kryminalnie podejrzane. Nie sądzisz chyba, że ja bym... z jakiegoś błahego powodu... nooo... o... no wieszysz?

Tu Olgę zatkało Święte Oburzenie. Wykorzystałam ten moment na spuentowanie i zakończenie całej historii.

- A propos rozsądku właśnie: nie sądzisz, że od spraw kryminalnie podejrzanych jest policja?

Olga zrobiła duże oczy i zamachała rękami, próbując w ten sposób uwolnić się od blokady Świętego Oburzenia.

- I kto to mówi?!?! – przemówiła w końcu. - Nie pamiętasz już aspiranta Króla i jego metod operacyjnych w sprawie włamania do galerii??? Chyba nikt nie był bardziej wrogo nastawiony do jego działań, niż ty.

- Owszem. Ale koniec końców sprawa została wyjaśniona, rabuś złapany, łupy zwrócone.

- Zgadza się, jednak dopiero wówczas, gdy sprawą zajął się jakiś inny... aspirant, czy coś takiego. Ale ty oczywiście nie wiesz, kto to był.

- Nie wiem. Można jednak mieć nadzieję, że i teraz weźmie sprawę inny aspirant. Czy coś takiego.

- W porządku. Jeśli chcesz przechodzić przez to jeszcze raz, proszę, dzwoń – Olga podała mi telefon. – No, dzwoń!

- Nie widzę powodu.

- Dobrze. Ale jak już zobaczysz, to zadzwoń – tym razem Olga zdobyła się na sarkazm.

- Oczywiście – obiecałam na odczepnego.

Zgodnie z moimi przewidywaniami do zamknięcia galerii nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Ot, parę osób kupiło parę drobiazgów, aczkolwiek na tyle kosztownych, że utarg dziś miałyśmy wcale nie drobiazgowy. Pod koniec dniówki Olga wyglądała już na spokojniejszą, rozstałyśmy się więc całkiem zwyczajnie.

* * *

Do pracy i z pracy chodziłam na piechotę. Niewielką odległość od galerii do domu pokonywałam średnio w dziesięć minut: wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, zrobić sobie skrót przez podwórzec kamienicy z naprzeciwka, by znaleźć się w niewielkim parku. Tuż za nim zaczynała się alejka prowadząca do mojego osiedla mieszkaniowego Złote Łany – kilkunastu nowoczesnych domów (żółtych jak mało co na świecie), fikuśnie rozmieszczonych względem siebie i reszty krajobrazu. Jeśli plac zabaw dla dzieci był jeszcze otwarty, można było skorzystać z kolejnego

skrótu, przecinając go na ukos. Jeśli nie był – niewielki problem. Na obejściu go dookoła traciło się raptem trzy minuty.

Właśnie zbliżałam się do czynnego jeszcze placu, gdy ktoś gwałtownie złapał mnie za ramię. A ponieważ nie zdążyłam jeszcze przepracować historii, jakimi uraczyła mnie Olga i jej koleżanki, wzdrygnęłam się wyraźnie. Jak już wspominałam, bardzo nie lubiłam być zaskakiwana, a jeszcze bardziej, okazywać zaskoczenie. Był to dla mnie potężny dyskomfort. A teraz i dyshonor, bowiem sprawczynią i zarazem świadkiem mojej słabości okazała się być siostra mojego byłego faceta, Jolanta.

- Ada, jak to dobrze! – ucieszyła się.

- Bo? – spytałam nieufnie.

- No bo wiesz, rozmawialiśmy o tobie ostatnio z Grzegorzem i doszliśmy do wniosku, że... chcielibyśmy wrócić do ciebie. Ale ty nie odbierasz telefonów od nas, dlatego tak się cieszę, że widzę cię osobiście.

Przyznam, że Jolanta znów mnie zaskoczyła, ale tym razem nie dałam tego po sobie poznać.

- Znaczą się... kto by chciał?

- No, Grześ oczywiście.

- Nie dziękuję – odparłam konkretnie i ruszyłam w stronę domu.

- Ada, zaczekaj! – Jolanta udała się w pogoń za mną. – Ada!!!

Przystanęłam i odwróciłam się w jej stronę.

- Spotkaj się z nim przynajmniej! Choćby tylko tak, na kawie. On bardzo za tobą tęskni – wysapała. – Nie mogę patrzeć, jak tęskni.

- Nie! – oparłam stanowczo i nie zważając na jej pokrzykiwania dobrnęłam wreszcie do celu.

Skąd ta Jola tu, na moim osiedlu? – przemknęło mi jeszcze przez myśl, ale wraz z przekroczeniem progu swojego mieszkania przestałam sobie zaprzętać nią głowę.

ROZDZIAŁ VII

Coraz większy tłok dookoła.

Noc miałam taką, jak lubię: z marzeniami sennymi w kolorze, o wartkiej akcji. Wyraziste sny pozwalają mi na oderwanie się od spraw codziennych, potwierdzają, że mimo jednostajnej rzeczywistości kwitnie we mnie bujne życie duchowe, polot i fantazja. Ponadto stanowią dobrą wróżbę na bieżący dzień. Dobrą, ponieważ zależną ode mnie i mojej interpretacji. A jakże ja bym mogła inaczej tłumaczyć swoje sny, jak tylko dobrze?

Jak co dnia, pierwszą rzeczą, którą zrobiłam o poranku było usadowienie się z kubkiem mocnej parzonej kawy przy komputerze (mocna kawa na czczo robi dobrze na trawienie i spala tłuszcz). W internetowym senniku pod hasłem „las” znalazłam następujące objaśnienie: „wchodzić do lasu – napytać sobie biedy”. Tej nocy śniło mi się bowiem, że chodziłam samotnie po lesie, brodząc w miękkim, podmokłym podłożu. Chwilami zapadałam się w nim, i ni to kogoś goniłam, ni przed kimś uciekałam.

- Oj, to nie tak – skomentowałam półgłosem i odszukałam wyraz „drzewo”. Pomiędzy różnymi drzewami (suchymi, pochylonymi, ściętymi, owocowymi, płonącymi) znalazłam najbardziej odpowiednie, czyli „drzewo zielone”. Nic dodać, nic ująć. Bo las to przecież drzewa, a jakiegokolwiek nie były one w moim śnie, zielone były niewątpliwie. A to już oznaczało, że niebawem spędzę przyjemne chwile. Jeszcze z wyrazów kluczowych zostały mi „mokradła”. Według sennika „mokradła widzieć” oznacza tyle, co „gorzkie łyzy ronić”. Ale, jakby nie było, mokradła to

przecież woda. W moim śnie były to płytkie, rozległe bajory, w których taplały się mchy i trawa. I ja po nich łąziłam, takich grząskich, mokrych i chłodnych. Sennik zaś „chodzenie po wodzie” interpretował jako „pokonanie przeszkód, bezpieczeństwo i pomyślność”.

- I tej wersji się będziemy trzymać – oznajmiłam podbudowana i jednym haustem dopiłam moją kawę.

Teraz już w całkowicie dobrym (bo wypracowanym świadomie) nastroju wzięłam prysznic, po czym starannie dobrałam strój na dzień dzisiejszy. Elegancko uczesana, z odpowiednim makijażem, mogłam spokojnie pójść do pracy. A co do „dziwnych” wydarzeń, jakie miały zdaniem Olgi miejsce wokół galerii, podeszłam do nich wczoraj wieczorem w sposób kompleksowy: analityczny, rzeczowy, wszechstronny i przewidujący. Wnioski, jakie wyciągnęłam z tej jednoosobowej konferencji na szczycie był następujące:

a) najprawdopodobniej nic naprawdę niepokojącego się nie dzieje

b) a jeśli się dzieje, to nic takiego, czemu nie można by w porę zapobiec

c) jeżeli się jednak nie da zapobiec, to nie ma takiej rzeczy, której nie dałabym rady

d) bo wszelkie zagrożenie, jakie dla człowieka stanowi drugi człowiek, to nie zagrożenie – to wyzwanie, a nie ma takiego wyzwania, któremu nie umiałabym sprostać. Amen.

Rozumując tym tokiem poczułam w sobie tę swoją zwyczajną, codzienną siłę i moc, i, jak to mawia moja Olga, myśl, która kształtuje rzeczywistość. W tym miejscu akurat w całej rozciągłości się z nią zgadzam, choć niekoniecznie chce mi się z nią o tym gadać. To dla mnie zbyt prywatne, zbyt intymne. Cały ten proces, dzięki któremu doszłam do obecnego stanu ducha i przyczyny, które stanowiły bodziec do uruchomienia pewnych mechanizmów psychicznych były dla mnie rozdziałem zamkniętym. Jednak olśnienie, które wyzwoliła we mnie tamta, nadludzka trauma, dziś stanowiło rdzeń i ośnowę mojego życia. Wówczas to doszłam do odkrycia, że wszystko co zdarza się w życiu człowieka ma początek w jego głowie. Że wszelkie nasze dążenia,

pragnienia i plany przekształcają się w rzeczywistości w całkiem realne wydarzenia, osiągnięcia. Wszystko jednak zależy od siły owych pragnień, siły naszej woli i determinacji. A kiedy ta moja nowo nabyta filozofia zaczęła mi się sprawdzać na co dzień, zaczęłam rosnąć w siłę. Tę sprawczą, jedyną i niezastąpioną. Dlatego żadne oprychy kręcące się wokół kamienicy nie były mi straszne. Bo w y k s z t a ł t o w a ł a m sobie taką myśl. I tą myślą byłam od nich silniejsza, ba, byłam niepokonana...

* * *

Kiedy punkt dziewiąta przekroczyłam próg galerii, Olga krzątała się już wewnątrz żwawo. Ustawiała, przestawiała, wycierała z kurzu.

- Ja nie wiem, dlaczego do dziś nikt nie kupił tego obrazu – skomentowała, gdy doszła do złożonej ramy, w którą oprawiony był portret młodej dziewczyny pośród stada żółtych kaczuszek na rozświetlonej słońcem, mleczami (i kaczuszkami) łące. – Spójrz, jaka to wdzięczna scenka! Myślę, że każdy, kto rzuciłby okiem co rano na ten obrazek, miałby zagwarantowany dobry humor na cały dzień.

- Chyba muszę spróbować – mruknęłam pod nosem.

Nie dlatego, żebym miała zły humor, ale po prostu zwykłam przyjmować w towarzystwie Olgi taką właśnie, nonszalancką pozę.

- O tak, spróbuj koniecznie – przytaknęła skwapliwie.

- Chociaż... a nuż się przyzwyczaję, a on się sprzedaje?

- Gdyby miał cię regularnie wprawiać w dobry nastrój, sama go kupię i zostawię w galerii.

- Ał! Nie mogę do tego dopuścić – uśmiechnęłam się półgębkiem – żebyś miała kupować dla mnie dobry nastrój. Za pieniądze, i to niemałe. Jakby nie było, ten obrazek to prawdziwe przedwojenne dzieło olejne...

- ...nieznanego autora – dorzuciła Olga wpatrując się w bazyliki pod obrazkiem.

- Tymczasem nieznanego, ale kto wie? A nuż jakiś koneser rozpozna w nim któregoś z Kossaków na przykład?

- Ten podpis nie wygląda na Kossaków. Ba, nie wygląda na podpis. To raczej... opis, nie sądzisz?

Zbliżyłam twarz do obrazu. W jego prawym, dolnym rogu widniał szereg nadziubdzianych małymi literkami wyrazów, zbyt wiele, jak na imię i nazwisko. No chyba, że autor miał wiele imion. Bardzo wiele.

- No – przyznałam Oldze rację. – I któż to wie, co autor miał na myśli? Mniejsza z tym. Dla nas to tylko towar w końcu.

Do galerii przynoszono na sprzedaż przeróżne rzeczy, najczęściej pamiątki rodzinne, starocie zalegające na strychach, znaleziska. Często właściciel niewiele umiał powiedzieć na temat dostarczonego nam eksponatu, ani o jego wieku, ani pochodzeniu. Różne też ludzie mieli podejście do handlu: byli tacy, którzy nie zdawali sobie sprawy z wartości danej rzeczy zaniżając ją mocno, ale byli i tacy, dla których wystarczyło, że coś było pokryte kurzem i już życzyli sobie za owe to-to kolosalnych sum. Na szczęście miałam Olgę, historyka sztuki z zawodu, praktykującą w niejednym muzeum, fachowca w swojej dziedzinie jakich mało. Olga umiała określić wartość towaru z takim przybliżeniem, że obywało się bez krzywdy naszej i sprzedającego. I potencjalnego nabywcy, rzecz jasna. Tę wartość z reguły określał wiek przedmiotu, materiał, z którego był zrobiony, oraz stan, w jakim się znajdował. Czasem autor, ale raczej rzadko trafiały nam się perełki wykonane przez światowej lub choćby krajowej sławy artystę czy rzemieślnika. Częściej zdarzało nam się posiadać rzecz wartościową z uwagi na byłego właściciela: jakąś lokalną postać historyczną, czy przedstawiciela znanego rodu szlacheckiego. Tak czy inaczej galeria prosperowała nieźle. Bywały chudsze okresy, ale bywały i takie, gdzie ze sprzedaży jednej rzeczy opłacałam miesięczny czynsz za lokal i wynagrodzenie Olgi. Czasem solidnie zasilali nasz utarg klienci sentymentalni, tacy (jak sądzę), jak nabywca nieszczęsnego koguta. Czyli ludzie, którzy płacili niemałą kasę za coś, co nie przedstawiało większej wartości, ale na przykład budziło jakieś wspomnienia. Na przykład ostatnio w cenie były kolorowe, szklane ryby, jakimi przyozdabiano mieszkania w czasach PRL-u, czy inne gadżety, typowe dla tego okresu. Widać koło historii zatoczyło już odpowiednio duży krąg, by rzeczy do tej

pory wyśmiewane, czy wręcz znienawidzone awansowały do miana wytworu sztuki, bądź kultury.

Dumając na ten i podobne tematy puściłam mimo uszu i oczu kilka całkiem udanych transakcji handlowych.

- Spójrz - Olga machała mi przed nosem zeszytem, do którego wpisywała dzienny utarg. - Chyba mamy dziś urodzaj na zegary i zegarki. Nieźle, co?

- Nieźle. Ale obraz z dziewczuchą i kaczuszkami nie poszedł.

- Nie poszedł. Ale to też nieźle - zaśmiała się Olga, po czym zupełnie niezrozumiale dla mnie wskoczyła pod ladę.

Nie zdążyłam zareagować, bo do galerii wszedł klient. Rzuciłam jedynie okiem na Olgę, która w pozycji kucznej tkwiła u mych stóp, z głową wetkniętą między trzecią i czwartą półką lady.

- O, jak to dobrze, że panią widzę - ucieszył się klient. - Bo ostatnio natykam się tu wyłącznie na niemią i opryskliwą obsługę.

Pomyślałam, że może Olga rzeczywiście potraktowała tego pana jakoś nieprzyjemnie (choć nie umiałam sobie tego wyobrazić) i dlatego teraz się przed nim chowa.

- Taaak? - wyraziłam zdziwienie. - Ale u mnie pracuje tylko jedna, ale za to bardzo uprzejma i kompetentna sprzedawczyni.

- Widać trafiłem na jakiś jej gorszy dzień - skomentował klient smętnie. - Albo może ja... nieszczególnie wpadłem jej w oko.

Spojrzałam w dół. Olga zaciskała pięści tak mocno, aż jej kostki zbiełały.

- No, czy ja wiem? - zastanowiłam się na głos.

Owszem, gość mógł nie przypaść Oldze do gustu. Był... delikatnie mówiąc, bardzo nieelegancki. Niegustownie ubrany, w jakiś niemodny, za luźny garnitur i żółtą koszulę bez krawata. Rzadkawe, zaczesane na bok włosy nie nosiły śladów zbyt nachalnej pielęgnacji. Że już nie pomnę o woni, jaką roztaczał. Uczciwie rzecz biorąc nie mogę powiedzieć, że facet śmierdział. Ale nie pachniał niczym, żadną perfumą czy choćby detergentem. Raczej zalatywał bardzo naturalnie, opłukanym samą tylko

wodą Homo sapiens. A nawet nie... Homo erectus raczej. Choć Bóg jeden wie, czym taki erectus woniał... Mniejsza z tym.

- A w czym się, pana zdaniem, ta jej nieuprzejmość przejawiała? – zadałam pytanie pomocnicze.

- Kobieta była arogancka i nie chciała odpowiadać na moje pytania.

- Nooo... To zależy, na jakie pytania, proszę pana.

- Były to pytania o rzeczy mnie interesujące.

- Na przykład?

- Na przykład... Był tu swego czasu taki kokoszek żółciutki, gliniany, ale spory dość. Mniemałem, iż go kupię – a tu masz! Klops! Nie ma już kokoszka... No to pomyślałem, że go odkupię od tego, co go kupił. Ale tu – mur! Zmowa milczenia! Nabywcą był klient inblanko! Duch świętałny!

- A! Chodzi panu o tego ceramicznego koguta, czy tak? – spytałam i jeszcze raz zlustrowałam gościa.

- Tak.

- Ale wie pan... my nie żądamy od naszych klientów danych personalnych. Nie wiemy, kim oni są.

- No to jak on wyglądał, proszę mi powiedzieć – zażądał facet.

- Nie wiem. Nie było mnie tu wtedy. Widzi pan ten zegar z kukułką? – wskazałam na wiszący nad najwyższą półką czasomierz.

- Widzę, i co? – spytał, zadzierając w górę głowę.

- I nic – odparłam, bo o to właśnie mi chodziło.

A mianowicie, żeby facet otworzył usta i okazał mi ich zawartość z tej właśnie perspektywy. Było tak, jak myślałam, nie miał górnej jedyńki.

- Pani też? – spytał poirytowany.

- Nie, ja nie, proszę pana. Chciałam tylko zasugerować, że dziś duże wzięcie mają zegary. Jeśli pan poszukuje czegoś na prezent...

- Och! Naprawdę? A on ma coś w środku? – facetowi nagle zaświeciły się oczy.

- Mechanizm, jak każdy zegar.

- Nie o to mi chodzi. Luźne miejsce czy ma. Na przykład takie... gdzie można by wsadzić butelkę wódki.

- Zależy, jaką, proszę pana. Ćwiartkę być może się i upchnie.

- Za mało – zasepił się facet. – Pół litra najmniej.

- Rozumiem. Ale w kogucie by pan nawet tyle nie zmieścił. On nie był pusty w środku.

- Nie był? Jest pani pewna?!

- Jak najbardziej – potwierdziłam aby mu ulżyć w strapieniu, bo kogut, gwoli prawdy mógł pomieścić w sobie nawet 0,75 litra.

- Aha – facet odetchnął. – A co jest puste w środku?

Tu na chwilę straciłam swój cały rezon. Ale tylko na chwileńkę.

- Jak puste? Tak, żeby się zmieściło w środku pół litra?

- Właśnie! – ucieszył się facet.

- Ale jedno pół litra, czy więcej? Bo na przykład ta szafa... lub tamta komoda...

- Nie, nie, jedno wystarczy. Tylko jedno.

- No więc – rozejrzałam się dookoła – ...nic nie jest w ten sposób puste. Jest albo większe, albo mniejsze.

- A było takie coś? Niedawno jakoś, na przykład?

- Było. Był święty Antoni z Dzieciątkiem – odparłam po namyśle. - Pół litra zmieściło by się w nim jak nic. No i w Dzieciątku jeszcze z ćwiartka.

- Czy pani wie, kto go kupił?

- Nie, skąd mam wiedzieć. Tu jest galeria, proszę pana, ludzie wchodzą i wychodzą. Tu jest ruch.

- Też mi ruch – prychnął gość, wzruszył ramionami i wyszedł.

Wówczas niemal natychmiast z pod lady wyłoniła się Olga.

- No! I sama teraz widzisz! – oznajmiła triumfująco. – Czy to jest normalny klient? Ja nie wiem, o co im wszystkim z tym kogutem chodzi, ale to jakaś grubsza sprawa.

- No właśnie, a tak a propos, kto go właściwie kupił?

- Mężczyzna jakiś, nie znam. Wysoki bardzo, w czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Po trzydziestce, ale nie bardzo dużo jak na moje oko. Miły, taktowny, z poczuciem humoru. To wszystko, co wiem. Na

pewno nie w typie tych rzezimieszków, którzy się tu teraz kręcą w przestępczych zamiarach.

- Konfabulujesz, Olga. Moim zdaniem ten kogut po prostu wpadł w oko w podobnym czasie dwóm osobom. Czy to takie nieprawdopodobne?

- Nie, ale... - cokolwiek Olga chciała powiedzieć, uniemożliwił jej to kolejny klient.

- Dzień dobry – krzyknął rażno i otrząsnął się, bryzgając dookoła wodą. Na zewnątrz padał bowiem teraz rześisty deszcz.

- Dzień dobry – odparłyśmy jednocześnie, po czym Olga odwróciła się do gościa plecami.

- Proszę pani, ja z takim pytaniem – w tej sytuacji zwrócił się wyłącznie do mnie. – Tu był niedawno, o, na tej półce w rogu taki pomarańczowy kogut. Nie wie pani czasem, kto go kupił?

- Och, wiem, oczywiście – odparłam najgrzeczniej, jak umiałam. – Jakiś pan.

- Jakiś?

- Tak. Jakiś nieznajomy mi pan, wysoki, szczupły, po trzydziestce. Ale jeśli panu zależy na bliższych szczegółach, powiadomię pana, jak tylko czegoś uda mi się dowiedzieć. Poproszę o pańską godność i telefon – sięgnęłam po notes i długopis.

- Aaaa... Właściwie to nie jest takie ważne – mruknął facet i wyszedł.

- Dlaczego mu powiedziałaś?! – spytała Olga z pretensją.

- O czym?

- Kto kupił tego... paskudnika.

- A co ja mu powiedziałam?

- No, wszystko.

- Oj. Faktycznie. A on teraz pójdzie prosto do niego, zabije go i ograbi z koguta.

Olga spojrzała na mnie z ukosa.

- Może tak być, jeśli go zna i mu rysopis spasuje.

- To nie był żaden rysopis. To był ryso... bohomaz. A jeśli nabywca koguta jest znajomym tych gości, to sam sobie winien. Niech patrzy, z kim

się zadaje. Nie zauważyłaś, jakiego przy okazji użyłam sprytnego fortelu?

- Zauważyłam – odparła bez specjalnego zachwytu. - Czyli że już mi wierzysz?

- No cóż... Może i coś w tym jest – wzruszyłam ramionami.

- Wobec tego proszę, dzwoń. Obiecałaś – Olga wetknęła mi w rękę słuchawkę telefonu. – No, proszę! 997, gdybyś nie pamiętała. Albo 112.

- Nie!

- Obiecałaś.

- Tak się stęskniłaś za aspirantem Królem?

- Zwariowałaś chyba. Osobiście wolałabym, żebyś wyraziła zgodę na zorganizowanie grupy samopomocy sąsiedzkiej i wzięcie sprawy w swoje ręce. Nawet nie zgodę, ale żebyś... przynajmniej nie utrudniała sprawy.

- A róbcie sobie co chcecie – westchnęłam zrezygnowana. – Jeśli przy tym nie naruszycie mi tego, co dla mnie najświętsze: świętego spokoju.

Wówczas to Olga przy pomocy bibułki, w którą owijamy cenniejsze precjoza „zdjęła” wilgotny jeszcze ślad obuwia faceta, po czym przeprowadziła kilka tajemniczych rozmów telefonicznych.

ROZDZIAŁ VIII

Chryja

Kiedy otwierałam kluczem drzwi mojego mieszkania, usłyszałam, że wewnątrz dzwoni telefon. Dzwonił i dzwonił. Spokojnie pokonałam jeden zamek, potem drugi i trzeci, a telefon wciąż dzwonił. Przestał dopiero wówczas, kiedy właśnie sięgałam ręką po słuchawkę. No cóż, takie są właśnie reguły, podług których funkcjonują tak zwane przedmioty martwe. Ja akurat nie byłam uzależniona od żadnych nośników komunikacji międzyludzkiej, (ba, zaryzykuje stwierdzenie, że gdyby ich nagle zabrakło, jakoś nieszczególnie by mnie to obeszło), w związku z czym nawet mnie to nie zirytowało. Wychodziłam bowiem z założenia, że jeśli ktoś ma dla mnie jakąś wiadomość, to, o ile będzie ona wystarczająco istotna, i tak mi ją w końcu przekaze.

Zdażyłam zaledwie postawić wodę na herbatę, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Prędki jakiś – mruknęłam do siebie...

Otworzyłam je na znacznie mniej, niż szerokość łańcucha. Po drugiej stronie stał... Grzegorz.

- Dobry wieczór, Ada – wyszeptał z przejściem. – Jesteś sama?

- Owszem – odparłam chłodno.

- Mogę wejść?

- Czego chcesz, powiedz najpierw. Bo może ci się nie oplaca.

- Boże, a ty jak zwykle – zirytował się jakby. - Najpierw mnie wpuść, potem sam ocenię.

Nie wyglądał na specjalnie pokajanego. Otworzyłam mu, a w tym momencie on ujawnił skrywany dotąd za plecami wielki snopek bladożółtych róż. Odskokczyłam, jak oparzona i wypchnęłam go na zewnątrz.

- Zabierz mi to stąd! Natychmiast!!! – krzyknęłam wściekła i zatrzęsnęłam mu drzwi przed nosem. – Ty... ty... podlec! Sadysto!

Grzesiek wiedział, bo mówiłam mu o tym wielokrotnie, że nie cierpię tych roślinnych wiechci, zwanych bukietami. Czułam do nich specyficzny wstręt pomieszany z lękiem – uczucie charakterystyczne dla fobii. Ciężkie kwiaty wywoływały u mnie panikę, a im więcej ich było – tym większą. Dawno nikt nie zafundował mi takiego stresu.

- Ależ Adelko... Ada... ja... - pojękiwał za drzwiami Grzegorz. – Błagam, wpuść mnie! Daj mi choć kwadrans! Muszę z tobą porozmawiać!

- Nie.

- Ada! Będę tu klęczał dotąd, aż mnie wpuścisz.

Spojrzałam przez wizjer. Grześka nie było widać. Być Może rzeczywiście klęczał.

- Wobec tego powodzenia. Przed tobą najmniej kilkanaście godzin.

- Ada...

Odeszłam od drzwi i ponownie postawiłam wodę na herbatę, bo ta już wystygła. Tym razem nawet zdążyłam ją sobie zaparzyć, kiedy rozległ się dźwięk telefonu.

- Tak? – rzuciłam niechętnie w słuchawkę.

- To ja. Grześ. Proszę, otwórz drzwi.

- Nie.

Rozłączyłam się i usiadłam w fotelu. Po chwili rozdzwonił się dzwonek u drzwi. Przez moment przeszło mi przez myśl, żeby tego Grześka najzwyczajniej zamordować. Tak, mój spokój był dla mnie aż tak ważny, że w jego obronie mogłabym może i zabić. I ta myśl nie była mi bynajmniej wstrętną...

Zamiast tego podeszłam do drzwi z zamiarem wyperswadowania mu tego klęczenia na klatce.

- Klęczysz? – spytałam.

- Klęczę – potwierdził.

- Wywal to badziewie do zsypu i możesz na chwile wejść. Tylko streszczaj się, proszę, bo idzie noc.

- Dzięki – ucieszył się i natychmiast skorzystał.

- Więc? O co chodzi?

- Boże, Ada... O uczuciach nie da się tak w pośpiechu, w przedpokoju.

- Chodź zatem dalej. Usiądź i mów.

Grzesiek rozejrzał się uważnie dookoła i usiadł.

- Nie mogę bez ciebie, Ada – wypalił na wstępie. – Przyszedłem z propozycją, żebyśmy zaczęli jeszcze raz.

- Żartujesz.

- Nie. Ja... cię kocham!

- Źle zaczynasz, przyjacielu – wycedziłam przez zęby.

- Mówisz o tych kwiatkach?

- Też.

- No tak... Mówiłaś niby kiedyś, że kwiaty źle ci robią, ale ja myślałem, że ty tylko tak...

- Mówiłam też, że nie życzę sobie żadnych deklaracji uczuciowych.

- Ale ja cię kocham, naprawdę!

- To sobie kochaj, ale nie musisz mnie o tym informować. To też źle mi robi.

- Boże mój, jaka ty dziwna jesteś, Ada.

- Sam widzisz, Grzesiu. Jestem dziwna i nigdy tego przed tobą nie ukrywałam, przeciwnie, zawsze uczciwie uprzedzałam cię o swoich różnych... powiedzmy to, anomaliach. Czyż nie?

- Zgadza się – przytaknął.

- No właśnie. Po co to robiłam? – spytałam i od razu udzieliłam odpowiedzi. – Żebyśmy mogli uniknąć nieporozumień oraz innych niezręcznych sytuacji. Jak tych przez chwilą. I jak widzisz, wszystko na nic.

- No bo przecież... każda kobieta lubi dostawać kwiaty. I lubi słuchać o miłości.

- Skąd to wiesz? – spytałam nieprawdopodobnie spokojnym głosem.

- Jola mi mówiła.

- Rozumiem. To znaczy, że jeśli JA ci mówię, że czegoś n i e l u b i ę, uważasz, że nie musisz moich słów traktować poważnie, bo JOLA wie l e p i e j?

- No, nie. Oczywiście, że nie

- Ależ oczywiście, że tak. I tak było ze wszystkim. Na początku naszej znajomości cię poinformowałam, że nie przeprowadzę się do ciebie, ani że nie chcę, byś ty wprowadzał się do mnie. I że nie pozwolę się ograniczać, kontrolować i czegośkolwiek sobie narzucać, a w zamian to samo gwarantuję tobie. Wystarczyło wtedy powiedzieć, że taki układ ci nie odpowiada. Że oczekujesz bardziej zaangażowanego związku. Ale nie, bo ty myślałeś, że ja „tylko tak”. Nie, Grześ. Ja nie „tylko tak”. Ja jestem zupełnie serio.

- Dobrze. Wobec tego proszę, daj mi jeszcze jedną szansę, proszę. Teraz będzie wszystko tak, jak chcesz. Przysięgam.

- Jak ty mnie nie rozumiesz! Nie chodzi o to, żeby było tak, jak ja chcę, tylko żeby było tak, jak MY chcemy. Grzegorz, ja nie mogę być z kimś, komu moje priorytety, mój sposób bycia, moje potrzeby, światopogląd, idee, będą kulą u nogi i solą w oku. Nie chcę, żebyś był ze mną kosztem wyrzeczeń, żebyś dostosowywał się do mnie.

- Ale ja mogę przecież.

- Nie! Albo komuś odpowiadam taka, jaka jestem, albo nie i tyle. Jesteśmy ludźmi wolnymi i niczego nie m u s i m y. Nie sądzisz?

- Proszę cię Ada. Błagam – wyjęczał Grzesiek, po czym otrzymał i odczytał SMS-a a następnie wystukał odpowiedź.

- Przepraszam – oznajmił bez specjalnej skruchy.

- Nie szkodzi – odparłam. – Zwłaszcza, iż uznaję rozmowę za zakończoną.

- O Jezu, nie, kochanie, proszę, nie odrzucaj mnie od siebie, nie teraz! Daj mi... miesiąc. Dwa tygodnie... Ada... Zobaczysz, jak ja się poprawię. Będę twoim przyjacielem, wsparciem, najlepszym kochankiem i powiernikiem. I czym tylko zechcesz!

Grzesiek miał prawdziwe łzy w oczach i trzęsły mu się ręce.

- Nie, Grzegorz. To co mówisz jeszcze bardziej obraża, jak bardzo mnie nie rozumiesz. To nie ma najmniejszego sensu, a im prędzej uznasz, że mam rację, tym lepiej dla ciebie.

Wstałam i udałam się w stronę drzwi. Grzesiek z ociąganiem poszedł za mną. Na zewnątrz czekała na mnie niespodzianka. To była Jolanta, która właśnie zamierzała nacisnąć na dzwonek.

- Jestem – oznajmiła patrząc na Grześka.

- Coś się stało? – spytałam.

- A, tak. Czuję się w obowiązku jako starsza siostra Grzegorza oznajmić ci, że nie możesz go ot, tak sobie wystawić za drzwi. Nie po całym długim roku, który wyrwał dla ciebie ze swojego życia i go dla ciebie w całości poświęcił. Nie muszę ci chyba uświadamiać, że w tym czasie mógł ułożyć sobie życie z kimś innym, jak Pan Bóg przykazuje, to znaczy ożenić się, a nawet spłodzić i doczekać narodzin potomka. Lecz niestety, ciebie wybrał i nic mi do tego. Przyszłam więc zaapelować do twojego sumienia, jeśli takowe posiadasz.

Czyli, że Jolanta już wiedziała. Czyli, że.... Ten SMS w trakcie naszej rozmowy był do niej?! Ta konkluzja pozwoliła mi udzielić bardzo konkretnej, jasnej i nie pozostawiającej wątpliwości odpowiedzi.

- Nie, Jolanto. Nie posiadam sumienia. I jak tak teraz na was patrzę, bardzo się cieszę, iż swego czasu wyzbyłam się go do cna, wraz z organami pokrewnymi. Dzięki temu dziś, tu i teraz mogę ci bez zmrużenia okiem powiedzieć, że oboje jesteście żałośni. Nie wiem, kto bardziej: ty, nieszczęśliwa stara panna, czy twój uzależniony od ciebie brat. I dajcie mi oboje święty spokój, raz na zawsze!

* * *

Wrzało we mnie. Normalnie kipiło i bulgotało, czemu nie mogłam się nadziwić. Takie emocje były mi bowiem od bardzo dawna całkiem obce. Jednak wydarzenia ostatnich dni systematycznie, i, niestety chyba dość skutecznie nadwyrężały mój układ odpornościowy na tak zwanych bliźnich. Dochodziła dwudziesta druga. Właściwie jeszcze nie było za późno, by przed snem odzyskać utraconą równowagę. Sięgnęłam do barku. Niestety, po ostatniej sesji relaksacyjnej zapomniałam uzupełnić zapasy i zostałam raptem z połową butelki czerwonego, wytrawnego wina. Ale dobre i to. Najpierw wzięłam więc rytualną kąpiel w dużej ilości aromatycznej piany, natarłam ciało wonnym balsamem, po czym otulona mięciutkim szlafrokiem zasiadłam w moim terapeutycznym fotelu. Z płyty cicho sączyła się muzyka, a ja, wpatrując się w migocące płomienie świec, raczyłam się rubinowym płynem. Tak właśnie wszystkie te czynności nazywałam w myślach, specjalnie używając przy tym określeń typu: „aromatyczny”, „wonny”, „mięciutki”, „rubinowy”, „sączyła się muzyka”, czy „migocące płomienie”. Już same te wyrazy miały w sobie jakąś magię, sprowadzającą na mnie stopniowo, acz powoli błogi spokój. Zamknęłam oczy i oddałam się całkowicie przypadkowym myślom, najdalszych jednak od realnego świata. Widziałam przejrzystą, błękitną wodę oceanu, skrzący się w słońcu, gorący piasek, egzotyczne ptaki i rośliny. Wolno i leniwie ruszyłam wzdłuż brzegu, nie pozwalając jednak dotrzeć swoich stóp spienionej wodzie. Było ciepło, niemal bezwietrznie, przyjemnie. Po chwili zmieniłam kierunek mojej wędrówki i skręciłam w stronę kuszących zielenią, tropikalnych drzew i bujnie wijących się między nimi roślin. Sięgnęłam dłonią po rosnący w moim zasięgu krwistoczerwony i wyglądający na bardzo soczysty owoc. Przysssałam się do niego spragnionymi ustami, ale on okazał się być... całkiem suchy i pusty w środku. Uchyliłam zamknięte powieki. To kieliszek był pusty. Na jego dnie nie było już nawet kropli wina. Co gorsza, nie było go też w butelce. Wyciszyłam się jednak na tyle, by nie zirytować się tym faktem. Ale miło by było, gdyby znalazła się jeszcze jakaś butelczyna, właściwie jedna lampka wystarczyła by mi w zupełności.

Niestety, nie miała prawa się znaleźć, bo jej po prostu nie było. Był za to, jakieś trzysta metrów od mojego bloku mały, nocny sklepik...

Chyba każdy zna takie uczucie, kiedy trzeba wybierać między zwyczajnym „niechceniem się”, a ewentualną przyjemnością, okupioną jednak niekoniecznie przyjemnym wysiłkiem. Siedziałam więc i dumiałam nad tą kwestią. Płyta się skończyła, jedna ze świec przygasła, a miarowe tykanie zegara zdawało się być coraz bardziej głośnie. Idź, idź – podjudzał zegar. - Idź, idź. Idź, idź. Idź, idź.

Cóż więc było robić? Włożyłam na szlafrok lekki, popelinowy płaszczyk (skutecznie maskujący mój nocny strój), na wszelki wypadek dość mocno ściskając się paskiem. Całość zaś uzupełniłam kolorowymi gumiaczkami, bo nie chciało mi się kłaść rajstop, a na gołe nogi, mimo całkiem już wiosennej aury, mogło być zbyt chłodno. Włosów nie upinałam, nie było sensu. W końcu był już dość głęboki wieczór, raczej na nikogo znajomego nie mogłam się natknąć, a nieznanym miałam w nosie. Przed wyjściem rzuciłam okiem w lustro: wyglądałam całkiem zwyczajnie. Ale jak nie ja – i bardzo dobrze.

Na zewnątrz było niemal tak jasno, jak w dzień. Liczne latarnie, wspomagane przez wielki, okrągły księżyc skutecznie oświetlały skwerki między blokami. Właściwie miałam do przejścia jedno dość zaciemnione i zakrzaczone miejsce, ale był to na tyle krótki odcinek, że zupełnie nie budził moich obaw. Niestety! Nie na tyle krótki, by nie mógł się nagle wyłonić z niego podejrzany typ...

- Nie sądzi pani, że czas i miejsce nie sprzyjają samotnym spacerom? – spytał, stając naprzeciw mnie.

- Nie samotnym, proszę pana! – odparłam w miarę możliwości hardo. – Wyprowadzam właśnie mojego psa, takiego dużego, brunatnego pit bulla. Poszedł, o tam – wskazałam ręką przed siebie i zaczęłam gwizdać.

- Nie wydaje mi się – odparł facet. – Nie widziałem tu żadnego psa. Nieładnie tak kłamać!

- A wyskakiwać zza krzaka ładnie? - odparowałam i ruszyłam przed siebie.

- Dokąd pani się wybiera?

- Nieważne.

Mężczyzna nie poszedł za mną. Miałam wrażenie, że wlaźł z powrotem w krzaki. I nie myliło mnie ono, bo kiedy wracałam z butelką wina w przepastnej kieszeni płaszcza, objawił mi się ponownie.

- Co za ulga! – stwierdził, po raz kolejny zastępując mi drogę.

- Skoro tak, proszę sobie darować. I proszę się odsunąć, zajął pan cały chodnik. – lęk ustąpił miejsca irytacji. – Idź pan w swoją stronę i nie zaczepiaj ludzi!

- Skoro... jak?

- Skoro pan sobie ulżył.

- Nie ma pani pojęcia, na co się pani naraża, pyskata kobieto – zarechotał facet i zszedł mi z drogi.

* * *

Jakież to w istocie wszystko względne – pomyślałam, będąc już z powrotem w moim fotelu. – Mówi się, że byt kształtuje świadomość i święta racja, przy czym „byt”, czyli stan posiadania, jest tu pojęciem znacznie bardziej złożonym i subtelnym, niż jego popularne rozumienie jako „dobrobyt”. Bo – konkludowałam – mój byt pozostawał przed momentem w ścisłej zależności od posiadania, bądź nie, butelki czerwonego wina. Wyznacznikiem zaś stanu mojej świadomości (kształtowanej właśnie przez ten rodzaj bytu), były dwa spotkania z obcym, przerażającym typem. Raz w sytuacji niebytu (butelki) i po raz drugi, z butelką w kieszeni. Różnica jest ewidentna: w pierwszym przypadku to tenże typ wredny dominował nad moimi odczuciami, sprawiając, że się go najzwyczajniej bałam, w drugim zaś to ja byłam górą, wprawiając go w konsternację i niepewność.

Te właśnie wnioski pozwoliły mi się utwierdzić w przekonaniu, że postawa, nad jaką pracuję od lat jest zgoła słuszna i efektywna w życiu, a mianowicie, że człowiek jest w stanie zapanować nad wszystkim

wokoło, o ile najpierw zapanuje sam nad sobą i poskromi wszystkie swoje słabości.

Tyle, że niestety procesu owego nigdy nie można było uznać za zakończony i osiąść na laurach. Bo los, ten największy w świecie prześmiewca i cynik, od czasu do czasu wyzywał mnie na udeptaną ziemię, celem próby sił. Musiałam być zawsze czujna i zwarta, gdyż on bardzo upodobał sobie wyzwania z zaskoczenia.

Tak było i teraz. Kiedy wreszcie uznałam, że pora położyć się spać, znów zadzwonił telefon. Z ociąganiem podeszłam do aparatu. Mogłam, rzecz jasna nie odbierać (była w końcu pierwsza w nocy), ale wrodzona uczciwość i nabyta pewność siebie nie pozwalały mi na tego typu uniki. Wolałam odebrać i zmierzyć się z rozmówcą, kim by nie był, niż udawać, że mnie nie tu ma.

- Chwała Bogu! – usłyszałam na dzień dobry w słuchawce.

- Bo? – spytałam, jeszcze nie kojarząc głosu z osobą.

- No, że jesteś! Żywa, cała i zdrowa!

To była Olga. Jakoś dziwnie rozemocjonowana.

- Dziwi cię to? – spytałam.

- No... nie. Raczej cieszy.

- Miło mi, ale czy nie mogłaś wyrazić tej radości jutro w pracy? Teraz cię natchnęło, czy jak?

- Ada, bo ty nic nie wiesz chyba! Jakąś godzinę temu niedaleko twojego bloku był apad na kobietę. Z tego co wiem, jest w ciężkim stanie.

- A ty skąd to wiesz?

- Od Reni z mięsnego.

- A Renia skąd wie?

- Bo jej szwagier mieszka w tym bloku co ty. Wracał z nocki, jak policja ogrodziła to miejsce i musiał iść dookoła. Nic nie słyszałaś?

- Nie. A gdzie to konkretnie było? – spytałam z jakimś niejasnym przeczuciem.

- Między kamienicami na Powstańców, garażami i placem zabaw. Tam takie choinki rosną. Wiesz, świerki, czy coś... Myślałam, że to na ciebie

ktoś się zaczął.

Poczułam na plecach niemły dreszcz. Bo było to miejsce, gdzie akurat mniej więcej godzinę wcześniej natknęłam się na tamtego zbrojnika.

- Ale czemu na mnie?

- Ach, bo... pomyślałam, że może to któryś z tych drabów od koguta...

- Okej, ale co by mu dało, gdyby mnie zamordował?

- Nie, nie zamordował. Ta babka żyje, mówiłam ci przecież. Ktoś mógł ją torturować dla wydobycia informacji o kogucie. To znaczy ciebie mógł torturować.

- Nikt mnie nie torturował.

- Teraz już wiem i bardzo się z tego cieszę. No to śpij spokojnie – pożyczyla mi wbrew logice i odłożyła słuchawkę.

* * *

Po przyjeździe do pracy udało mi się unikać tematu ostatnich wydarzeń przez jakieś dwie godziny. Na szczęście dla mnie od samego otwarcia był spory ruch. Do miasta przyjechały jakieś wycieczki na uroczyste obchody okrągłej rocznicy nadania naszej miejscowości praw miejskich. Osoby przyjezdne – dziś wyraźnie historycznie natchnione, zwiedzały wszystko, co trąciło minionymi czasami. Jak już wcześniej wspomniałam, moja galeria i ja, dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności zaliczyłyśmy się do wartych obejrzenia zabytków. Tak więc, drzwi otwierały się i zamykały, od czasu do czasu ktoś coś kupił. Kilka lat temu chciałam nawet wprowadzić do sprzedaży jakieś pamiątki, specjalnie na okoliczność „ogładczy”, ale Olga, jako poważna historyk sztuki mi tę myśl wyperswadowała. – Jeśli chcesz zrobić z szanującej się galerii kiosk ruchu, proszę bardzo – tak brzmiał jej jeden tylko, ale wystarczający argument.

- No i widzisz, że sprawa wcale nie przedstawia się tak śmiesznie, jak byś ty tego chciała – Olga w końcu podjęła gorący temat.

- Czy ja twierdzę, że jest śmiesznie? – obruszyłam się na taką sugestię.

- Jeśli coś nie wygląda poważnie, to nie znaczy zaraz, że jest śmieszne.

- Nie wygląda poważnie?! – zachłysnęła się Olga. – Kobiętę skatowano niemal na śmierć!

- Ja mówię o wydarzeniach wokół galerii. Bo tamto pobicie mi się z nimi nijak nie łączy.

- Nie łączy? – oburzała się dalej Olga. – Wiesz, miałam ci tego nie mówić, ale aż się prosi dosłownie, żeby zmaćcić tą twoją beztroskę.

- Mać – przyzwoliłam.

- Ta pobita kobieta mieszkała w tym samym bloku co ty, w tej samej klatce. Ze wzrostu, sylwetki i koloru włosów całkiem do ciebie podobna.

- Jak się nazywała ta nieszczęsna? – spytałam celem weryfikacji, bo bardzo nie lubiłam, żeby ktoś był do mnie podobny.

- Ewa Kotulska.

- Nic mi to nie mówi.

- A powinno. Mieszkała dokładnie pod tobą, więc codziennie mijałaś tabliczkę z jej nazwiskiem.

- Aaaa! – olśniło mnie. – Ta z poczty?

- Dokładnie.

- To ja sobie wypraszam takie porównanie.

- Mówiłam, że jest podobna w ogólnym zarysie; wzrost, postura itepe. Wieczorem można by się pomylić. Sonia mówi, że taki scenariusz wydarzeń jest więcej niż prawdopodobny.

- Kto to jest Sonia?

- Psychiatra. Przedstawiałam ci ją przecież. A ona jest świetna w swoim fachu, współpracowała z poprawczakiem, zna się na pokrętnych umysłach przestępczych.

- Aha.

- Nie kpij. Po piętnastej będę cię prosiła, żebyś stanęła za ladą, bo ja zwołałam zebranie grupy samopomocowej.

- Gdzie?

- No, u nas, na zapleczu, a gdzie mam je zwołać? Przy trzepaku?

Powyższą informację zbyłam milczeniem. W pewnym sensie przyzwoliłam im bowiem na te działania, choć nie widziałam w nich ani

potrzeby, ani sensu. Szczerze mówiąc zgodziłam się na ten kabaret tylko ze względu na Olgę. Ja miałam nieco inną koncepcję zajęcia się sprawą, aczkolwiek jeszcze nie byłam do końca zdecydowana. Decyzję moją przyspieszyła rozhisteryzowana Wiertelko. Otóż, jakiś kwadrans po piętnastej, gdy pozostałe członkinie grupy śledczej Olgi popijały już kawę na zapleczu, „kosmetyczka” wpadła do galerii jęcząc i dygocąc.

- Renia z mięsnego nie żyje – wydusiła z siebie po chwili.

Panie poderwały się na równe nogi.

- Co ty, Oliwia?! Jak to: nie żyje? – spytała Olga.

- Umówiliśmy się u mnie za pięć trzecia, żeby przyjść tu razem. Czekałam do teraz. Nie przyszła!

- Zaraz, ale dlaczego ma to od razu oznaczać, że nie żyje? – wtrąciłam rzeczowo.

- Bo mięsny jest zamknięty. Od środka, a Reni ani widu, ani słyhu. A przecież w takim razie musi być w sklepie. Czemu więc się nie odzywa?

- Może jest w klozecie – podrzuciła Sonia, psychiatra.

- Nie jest.

- Skąd wiesz?

- Bo ileż to można do cholery siedzieć na kiblu? – zirytowała się Oliwia.

- Kiedy ją pani widziała po raz ostatni? – spytałam.

- Około dwunastej. Tak, bo poszłam sobie do niej kupić parówki na drugie śniadanie.

Coś przyszło mi do głowy. Bo jeśli w istocie ktoś Reni coś zrobił, sam musiał jakoś wyjść. A skoro drzwi wejściowe były zamknięte, wyszedł pewnie od zaplecza. Drzwi od zaplecza otwierają się i zamykają wyłącznie od środka, na potężną metalową zasuwę.

- Chodźcie ze mną – zażądałam.

Kobiety podniosły się z krzeseł bez słowa. Wyprowadziłam je na zewnątrz przez magazynek galerii, którego drzwi sąsiadują bezpośrednio z drzwiami magazynu sklepu mięsnego. Tak jak myślałam, były otwarte. Puściłam przodem „kosmetyczkę” Oliwię, bo jakikolwiek widok by tam zastała, jest spośród nas najbardziej zimnokrwista. Oliwia bowiem, sadzę,

że to dobra pora by o tym wspomnieć, nie jest zwykłą kosmetyczką. Owszem, na co dzień pracuje normalnie, jak to kosmetyczka, ale ma ona także w swojej ofercie tak zwany „wizaż pośmiertny”. I, o zgrozo – zarówno jeden jak i drugi biznes kręci jej się bardzo pręźnie. Jak przekonuje ona swoje klientki, dobrze jest do końca korzystać z usług jednej kosmetyczki, która będzie świetnie znała już za życia wszystkie tajniki naszej cery oraz triki kosmetyczne uwypuklające nasze atuty i korygujące wady. Panie, które są stałymi klientkami Oliwii zazwyczaj deklarują na piśmie wolę dotyczącą pośmiertnego makijażu. Pewnie można by się oburzać, choć z drugiej strony, komu po naszej śmierci będzie zależało, czy mamy taki bądź inny makijaż? A co gorsza: czy w ogóle mamy? Dlatego do procederu uprawianego przez Oliwię podchodziłam w sposób raczej ambiwalentny...

Tuż po wejściu do środka Oliwia natychmiast skierowała się w stronę toalety, skąd dochodziły jęki i charczenie. Tam, wewnątrz, skrepowana, zakneblowana i przywiązana do rury od rezerwuaru, pomiędzy muszlą, a umywalką, tkwiła Renia.

- Boże miłosierny! – wrzasnęła psychiatra i podjęła próbę uwolnienia koleżanki.

- Zostaw – powstrzymała ją Olga. – Może trzeba by wezwać policję, niech zabezpieczą ślady!

- Ughhh glllu Gigli – zabułgotała Renia.

- O, nie! – przyznała jej rację kosmetyczka. - Szkoda czasu – Przecież jej się od tej taśmy klejącej na twarzy mogą jakieś wypryski zrobić! O, spójrzcie! Tyle czasu pracowałam nad jej paznokciami, a tu proszę, co drugi złamany!

- Uuuuu!!! – zawyła Renia.

Wyglądało na to, że w samopomocowej grupie Olgi wyraźnie brakowało mózgu całej operacji. Przejęłam więc tymczasowo tę funkcję, odkleiłam Reni usta i wyjęłam z nich paczkę chusteczek higienicznych razem z opakowaniem.

- Przynieście nóż! – zażądałam.

- Jest wbity w wieprzka, przy ladzie – podpowiedziała ochryplym głosem Renia. – Ale uważajcie, jest bardzo ostry.

Przecięłam ostrożnie sznury na nadgarstkach i kostkach Reni oraz odcięłam ją od rury.

- Co tu się stało, kto tu był? - spytałam.

- Tych samych dwóch, którzy robili sobie u ciebie maseczkę drożdżową – powiedziała Renia do Oliwii. – Byli zamaskowani, ale poznałam.

- Po czym?

- Po odzieży. I słownictwie.

- Czego chcieli? – dociekałam.

- Ode mnie niczego. Przeciwnie, chcieli chyba, żebym im się nie plątała pod nogami.

- Zabrali coś? Niech pani sprawdzi – pomogłam Reni wygramolić się z pomiędzy muszli i umywalki.

- Trzeba zadzwonić na policję – stwierdziła z powagą Olga.

- Teraz nagle? Taka z siebie samopomoc? – zakpiłam.

Olga puściła moją uwagę mimo uszu.

- Wygląda na to, że wszystko jest – Renia zwróciła się do towarzyszącej jej krok w krok procesji. – Cały dzisiejszy utarg, kasa fiskalna, laptop, towaru też nie ubyło...

- Trzeba szukać pod innym kątem – zauważyła psychiatra i przeszła do małego aneksu kuchennego na zapleczu. My za nią.

- Ta szafka tak nie stała! – wykrzyknęła Renia. – Stała o tak, drzwiczkami w tamtą stronę!

- A co jest za tą szafką? – spytała psychiatra.

- Nic – odparła Renia. – Ściana.

- Teraz ściana – sprostowałam. – Ale kiedyś były drzwi. Te wszystkie lokale na parterze stanowiły niegdyś całość i należały do jednej osoby - stwierdziłam z dużą przykrością, ponieważ zarówno one, jak i cała kamienica były kiedyś własnością mojej rodziny. Ale o tym nie wiedziała nawet Olga.

- Drzwi, które, gdyby nadal tu były, prowadziłyby do galerii? – zdziwiła się Olga.

- Na to wskazuje logika – odparłam wymijająco.

- Odsuwamy! – zarządziła Olga i napała ciałem na szafę.

Po krótkim, wspólnym wysiłku naszym oczom ukazała się duża, prostokątna dziura, jeszcze nie całkiem przebita na drugą stronę.

- Jak to możliwe, że Renia niczego nie słyszałaś? – Zgorszyła się Olga. - I że my niczego nie słyszałyśmy!?

- Bo niczego nie było słyhać – stwierdziła Renia. - Oni nie mogli teraz tego wyrąbać. –

O, zobacz na te krzyże! Teraz chyba tylko coś obmierzali i znaczyli. Wrócić zamierzają kiedy indziej. Albo jeszcze tej nocy.

- Niedoczekanie – mruknęła Olga. – Już ja im to udaremnię!

- Niczego im nie będziesz udaremniała. Nie ma upros, to już niestety trzeba zgłosić na policję.

- Teraz nagle? – przedrzeźniła mnie Olga. - Czyżbyś się...

- ...stęskniłam się za aspirantem Królem, tak – dokończyłam za nią. – Lepszy on, niż te typy. - Poza tym, może tak jak poprzednio, sprawę przejmie jakiś konkretniejszy funkcjonariusz.

Olga spojrzała na mnie spode łba.

ROZDZIAŁ IX

W gąszczu domysłów i domniemań

Nie wspomniałam Oldze o mojej nocnej eskapadzie po wino, ani, rzecz jasna o spotkaniu ze zbrojeńcem. Oczywiście, dla mojego świętego spokoju. Oldze nie, ale postanowiłam udać się z tą informacją na policję. I też nie dlatego, aby afery rozdmuchane do czerwoności przez „grupę samopomocy” mojej pracownicy napędziły mi strachu. Po prostu – jeśli ten drań, a wszystko wskazuje na to, iż to on napadł na nieszczęsną kobietę, powinien zostać złapany i ukarany. Srodze.

Do okienka mieszczącego się na parterze komendy opowiedziałam o celu swojej wizyty. Siedząca po drugiej stronie umundurowana bruneta wykonała telefon i kazała mi czekać przy oszklonych drzwiach, aż ktoś po mnie zejdzie. Zszedł... aspirant Czesław Król.

- O, witam, witam! – ucieszył się nie wiadomo z czego i puścił mnie przodem.

Przed każdym zakrętem, bądź zmianą kierunku ruchu aspirant wyprzedzał mnie, pokazywał dokąd iść, po czym znów zajmował stanowisko na tyłach.

Komenda miejska, niegdyś (na początku lat osiemdziesiątych) była całkiem nowoczesnym budynkiem. Ale świat szedł naprzód, a komenda nie. Od lat nie remontowana i nie malowana nawet chyba, dziś stanowiła naprawdę ponury obraz. Wszystko wewnątrz jakby zatrzymało się w czasie. Kiedy bywałam tu w sprawie włamania do galerii, w pamięci utkwiły mi dwie rzeczy: maszyna do pisania (!), z której korzystał

w trakcie przesłuchania aspirant Król, i... paskudna woń. Jak to mawiała moja była teściowa, w poszczególnych biurach komendy „śmierdziało chłopem”. Ściany, meble, firany i całe wyposażenie latami bowiem chłoneły zapachy męskiego potu, skarpet, papierosowego dymu i Bóg wie, co tam jeszcze funkcjonariusze wydzielali. Widać w pomieszczeniach, w których obecność kobiety bywa epizodyczna, faceci nie poczuli się w obowiązku wonieć niczym innym, niż tylko naturą. Teraz pewnie, by odwrócić ten stan rzeczy należałoby skuć farbę na ścianach do gołego tynku, wymienić meble - a w szczególności wyściełane krzesła, wyrzucić firany i zasłony.

Aspirant Król, wysuwając zza mojej osoby rękę, pchnął drzwi swojego gabinetu i, rzecz jasna, puścił mnie przodem. Pokój był ten sam co kiedyś, a na biurku aspiranta stała... ta sama maszyna do pisania.

- Ojej! - wymsknęło mi się. - Pan wie, że ja handluję antykami, prawda?

Król powiódł wzrokiem dookoła, raz i drugi.

- No wiem. A co?

- Gdyby pan kiedyś chciał sprzedać tę maszynę... to...

- Ale! To nie jest moja własność, proszę pani. A poza tym, dlaczego miałbym sprzedawać całkiem dobry sprzęt?

- No tak, przepraszam, zagalopowałam się...

- W takim razie, słucham panią! - aspirant podsunął mi krzesło, sam zaś zajął miejsce po drugiej stronie biurka. - Podobno ma pani jakieś informacje dotyczące napadu na kobietę, w obrębie osiedla Złote Łany?

- Tak, proszę pana. Akurat mieszkam na tym osiedlu.

Aspirant wkręcił papier do maszyny, na wstępie spisał wszystkie moje dane, obejrzał dowód osobisty, po czym zamienił się w słuch.

- No więc - podjęłam ostrożnie temat - tego wieczoru musiałam wyjść z domu... Do sklepu, wie pan. Bo zabrakło mi... e... pieczywa. I kiedy szłam do tego sklepu, między ulicą Powstańców, a moim osiedlem, w takim... ciemniejszym, zarośniętym miejscu zaczepił mnie jakiś zwyrodnialec.

- Która to była godzina?

- Między dwudziestą drugą i dwudziestą trzecią.

- Chmmm... - aspirant przerwał klupanie na maszynie i przyjrzał mi się lepiej, niż kiedykolwiek dotąd. - Pani jada po nocach?

- Jadam - potwierdziłam nerwowo, bo co go to właściwie obchodzi. - Wyłącznie po nocach, proszę pana, bo za dnia... nie jadam.

- Ja niestety też - westchnął. - Ale w dzień też jadam, dlatego mi się odkłada, a pani nie.

Zgrzytnęłam zębami, ale bardzo cichutko.

- Ten zboczeniec - wróciłam do tematu - dosłownie zastąpił mi drogę.

- Czego chciał?

- Nie wiem konkretnie, ale jak to zboczeniec, wie pan. Gdy wracałam, też mnie zaczepił.

- Zrobił coś pani?

- Nie, bo na niego nakrzyczałam i schował się z powrotem w krzaki. Ale ta biedulka, która później dorwał, pewnie nie miała na tyle tupetu.

- Uchummm... - zamyslił się aspirant. - Jak ten zboczeniec wyglądał? Potrafi go pani opisać?

- Z grubsza. Był wysoki, nawet bardzo, bo skoro ja mam metr siedemdziesiąt, a on się kończył dużo wyżej, to mógł mieć... z metr dziewięćdziesiąt. Miał nawet dość miły głos...

- Coś jeszcze pani zauważyła? - podpytywał funkcjonariusz, cały czas klupiąc na maszynie.

- Był w płaszczu, czarnym, jak to zboczeniec. Z wysoko postawionym... z wysoko postawionym... a niech to jasna cholera!!! - coś nagle zaświtało mi w głowie i aż poderwałam się z krzesła.

- Z postawionym... czym? - Król znów spojrział na mnie uważnie.

- Kołnierzem. To on! Tak, proszę pana! To nie był przypadek!!! To on kupił mojego koguta i dlatego czyhał na mnie. Na mnie, nie na tamtą niebogę, rozumie pan?! Olga miała rację...

Im więcej rewelacji wyrzucałam z siebie, tym mniej skwapliwie notował aspirant. Dziwiło mnie to i gorszyło za razem.

- A co konkretnie do pani powiedział? To ważne.

- No... że to nie jest dobra pora na spacer, czy coś – przypomniałam sobie mgliście. – To w tamtą stronę, a jak szłam z powrotem rzucił we mnie pogroźkami.

- O jakiej treści?

- Że mu się naraziłam. Czyli chyba, że niech uważam, bo następnym razem coś mi zrobi.

- Ale tak powiedział, czy tak pani to zrozumiała?

- To chyba na jedno wychodzi.

- Nie, proszę pani, nie na jedno – wymądrzył się aspirant. – Wolałbym, żeby pani powtórzyła jego słowa w miarę dokładnie.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak mi się narażasz!!!

- Słucham?

- No tak. I jeszcze dodał: pyskata kobieto. Czy to coś panu mówi? Czemu pan nie notuje, jest pan może z nim w zмовіе?

Aspirant westchnął głęboko.

- Owszem, niestety.

- Jak to??? Czy ja śnię? Pan go zna?!!!

- Taaak...

- Przyznaje się pan... do korupcji?!

- Nie mogę udzielić pani odpowiedzi. Dla dobra śledztwa.

Król rozłożył szeroko swoje wielkie, zgoła nie królewskie łapska.

- Jakiego śledztwa???

- Nie teraz, proszę pani, wszystko w swoim czasie. Ale proszę na siebie uważać.

- No to pięknie. Zdecydowanie poprawił pan mi humor – oznajmiłam i było to ostatnie zdanie, jakie tutaj padło.

* * *

- No, jesteś – Olga na mój widok stwierdziła fakt oczywisty. – Doniosłaś o wszystkim, jak trzeba?

- Nie. Nie o wszystkim. Zaczęłam jedynie, ale wyobraź sobie, że ten wredny Król nawet nie notował porządnie tego, co mówię.

- Dlaczego? – spytała Sonia – psychiatra, którą teraz dopiero zauważyłam.

- No właśnie i to jest najdziwniejsze.

Kobiety spojrzały na mnie wyczekująco.

- Bo jak tylko opisałam mu... yyy... jednego z rzezimieszków, przestał w ogóle ze mną rozmawiać. Wygląda na to, że oni się po prostu znają. To co miałam robić? Żołądkować się tam bez ładu i składu? Wzięłam i poszłam.

- Nie doszłaś nawet do koguta? Ani do dziury w mięsnym?

- O kogucie wspomniałam, ale nie drażył tematu. O dziurze nie.

- Kiepsko – bąknęła psychiatra. – Ale jest pani pewna, że się znają?

- Spytałam o to wprost, a on potwierdził.

- Coś mi tu nie pasuje. Nie do Króla Czesława. Taki służbisty, bezlitośnie przepisowy funkcjonariusz byłby skorumpowany? I w dodatku mówiłby ci o tym tak bez troski? - Olga poddała w wątpliwość moje słowa.

- A widzisz. Mną też to wstrząsnęło. Słyszałam go jednak na własne uszy.

- Takie nadgorliwe typy są zazwyczaj tchórzami z małym poczuciem własnej wartości i to ze strachu wolą się kierować każdym, durnym nawet przepisem, niż własnym rozumem, o którym nie mają zbyt dobrego mniemania – wyrzuciła z siebie Sonia - psychiatra.

- Ale to jest policjant! Myśli pani, że lękliwy, niepewny siebie facecik zatrudniłby się w policji, gdzie z założenia od czasu do czasu trzeba nadstawić pierś?

- No właśnie, po to się zatrudnił. Mundur i władza dodają pewności siebie. Oczywiście tylko w sytuacjach łatwych i w stosunku do tych, do których mogą sobie na to pozwolić. Ale – tu Sonia zawiesiła głos i uniosła palec wskazujący w górę – jeśli coś lub ktoś tchnie w nich choć odrobinę wiary w siebie, ta wiara będzie się rozrastała w takim tempie i do tego

stopnia, że w dość krótkim czasie poczują się wszechmocni. A co za tym idzie bezkarni.

- Coś w tym chyba jest – przyznałam po chwili zastanowienia. – widziałam już w swoim życiu taką metamorfozę...

- Fakt, brzmi naukowo i logicznie, aczkolwiek dla mnie nadal niezbyt wiarygodnie. Przynajmniej w odniesieniu do Króla – Olga była dziś sceptyczna jak nigdy.

- To idź do niego i się sama przekonaj. Ale po pracy. Teraz powinnaś się zająć się wyceną i metkowaniem towaru. A gdzie reszta twoich koleżanek? – spytałam od wszelkiego wypadku.

- Renia w sklepie, robi sobie remanent, a Oliwia u klientki.

- O, to ona świadczy również usługi u klientek? Interesujące...

- Dopóki klientka sama może przyjść, to raczenie nie świadczy – odpowiedziała ponuro pani Sonia. – A w ogóle, to Sonia jestem.

- Ada – uścisnęłam jej wyciągniętą w moją stronę dłoń. - Mi... eee... miło mi.

- Wobec tego i ja ruszam do pracy – Sonia uniosła z krzesła swoje masywne ciało i powoli ruszyła ku drzwiom.

- I co teraz? – spytała Olga.

- Nic. Będziemy robiły zwyczajnie to, co do nas należy. Musimy być tylko bardziej czujne.

- Świetnie. A jeśli coś się wydarzy? Zgłosimy to na naszej skorumpowanej komendzie?

- Od razu skorumpowanej – sarknęłam. – Jeden Król to jeszcze w końcu nie komenda.

- Ada... - Olga spojrzała na mnie jakoś dziwnie. – Coś mi się w tym wszystkim nie podoba...

- Co?

- Ty chyba... jakbyś... coś knuła.

I miała najświętszą rację. Knułam. Jeszcze nie doszłam do szczegółów, ale ogólny plan działania miałam już w głowie.

* * *

Tego samego dnia wieczorem siedziałam w moim niezastąpionym fotelu, sączyłam wino, patrzyłam na zegar i dumalam. Bo nie po to przez lata formowałam od nowa swoją psychikę, nie po to z dnia na dzień nabierałam życiowej odwagi, poskramiałam emocje i uczyłam się panować nad uczuciami, żeby w obliczu ewentualnego zagrożenia opuścić ręce i znów pozwolić zapanować nad sobą lękom, niemocy i apatii. I chociaż ostatecznie wydarzenia wciąż jeszcze nie budziły we mnie poczucia zagrożenia, uznałam, że najwyższa pora zaangażować się w sprawę. Żeby nie było za późno.

Do tej pory przez cały czas usiłowałam ignorować pewne fakty, które ewidentnie się prosiły, by poskładać je w całość. Staralam się też ze wszystkich sił nie dopuścić do siebie myśli, że wydarzenia ostatnich dni mogą mieć związek z moja przeszłością.

- Tak – stwierdziłam z całym przekonaniem. – Pora spojrzeć prawdzie w oczy, choćby nie wiem co. Wziąć się z tym za bary teraz, świadomie i rozmyślnie, nie czekać, aż to coś wymknie mi się spod kontroli. I korzystać z umiejętności, których nabyłam przez lata.

Postanowiłam, że cokolwiek się nie okaże, będę przede wszystkim silna. Odważna i konsekwentna.

Kamienica... W kamienicy, w której teraz wynajmuję lokal, spędziłam całe dzieciństwo i młodość. Miałam odziedziczyć ją po dziadkach jako jedyna córka ich jedynej córki. A właściwie – jako ich jedyna córka. Kiedy mama zmarła, miałam raptem trzy lata i to dziadkowie pełnili rolę moich rodziców. Tata ożenił się w dwa lata po śmierci mamy i wyjechał z kraju.

Kamienica liczy sobie blisko trzysta lat. Na przestrzeni czasu przeszła kilka gruntownych remontów, mających na celu między innymi dostosowywanie warunków mieszkaniowych do bieżących potrzeb: olbrzymie mieszkania z czasem zostały podzielone na wiele mniejszych, a każde z nich zaopatrzone zostało w łazienkę. Kiedy w drugiej połowie dwudziestego wieku zabytki zostały objęte ściślejszą ochroną, właściciele

kamienic nie mogli już sobie poczynać z nimi według swojego widzimisię. Od tej pory dbano już tylko o kondycję budynku w jego istniejącej formie.

Po raz pierwszy bujdem o ukrytym w kamienicy skarbie usłyszałam w szkole podstawowej. Nie od babci, nie od dziadka, ale od koleżanki z ławki. Podobno w mieście mówiło się, że gdzieś pod podłogą, czy też w ścianie, ukryta jest szkatuła z nieprawdopodobnymi kosztownościami. Schowana została tam rzekomo przez kuzynkę pradziadka, która zatrzymała się u niego wracając z długiej, zagranicznej podróży. Niestety, wówczas to wybuchło w kraju powstanie i kuzynka, w obawie o swoje kosztowności postanowiła przechować je w kamienicy. W tym celu jakiś rzemieślnik na zlecenie pradziadka wykonał skrytkę, tak zmyślną, że nie odnaleziono jej do dziś. Nie wiadomo, czemu kuzynka nie odebrała swojej własności, może w międzyczasie umarła – pradziadek zaś, nie poczuwając się do własności, pozostawił skarb ku zapomnieniu.

Teraz wszystko wskazywało na to, że osoby kręcące się wokół kamienicy gdzieś ową historię zasłyszały i nagle postanowiły skarb odnaleźć. Właściwie nikt dotąd nie wpadł jeszcze na ten pomysł. Ludzie, którzy kiedykolwiek mieszkali w kamienicy, a których znałam, traktowali tę sprawę w kategoriach bajek. Ci zaś, którzy mieliby chęć w niej pomyszkować nigdy się na to nie porwali, z prostej przyczyny: nie mieli do tego prawa i respektowali ten fakt. Dziś jednak ludzie prawo własności coraz częściej traktowali jak rzecz względną. I ktoś, kto nie wyciągnąłby bliźniemu portfela z kieszeni, zupełnie inaczej potraktowałby ten portfel, gdyby on sam z siebie mu z niej wypadł. I, być może ta sama osoba, która nie włamałaby się do czyjegoś domu by ukraść mu na przykład telewizor, mogłaby pod osłoną nocy wydłubać skarb ze ściany kamienicy i zabrać z czystym sumieniem, jako „niczyj”. Więc może dlatego do tej pory nikt nie nastawał na „szkatułę kuzynki”, bo społeczeństwo po prostu do tego nie dojrzało.

To tyle. I nie chciałam rozwodzić się nad sprawą bardziej szczegółowo, rozpamiętywać powodów, dla których dziś kamienica nie jest moją własnością i jak do tego doszło. Uznałam, że tamte wydarzenia leżą (oby na zawsze) pogrzebane pod zgliszczami przeszłości...

Zupełnie nie wiem dlaczego czułam się w całej tej sytuacji niezręcznie, i względem Olgi Soni i Oliwii, a jeszcze bardziej względem zniewolonej w toalecie Reni i napadniętej, nieznanym kobiecie. Może dlatego, że one nie wiedziały o „skarbie”, a ja nie podzieliłam się z nimi moimi przypuszczeniami? Może czułam, że powinnam? Ale byłam w sytuacji bez wyjścia. Opowiadka o „szkatułce kuzynki” stałaby się bowiem przyczynkiem do rozgrzebywania przeszłości: pytań, dociekań – w prostej linii prowadzących do najbardziej dramatycznego okresu w moim życiu, do długiego, powolnego, umierania w męczarniach, a w końcu - do mojej śmierci.

To oczywiście tylko przenośnia, ale w ten sposób zwykłam o tamtym czasie... nie, nie myśleć. Tak zwykłam go nazywać - jeśli już nadarzyła się konieczność retrospekcji – bez wnikania pod powierzchnię tych drastycznie brzmiących określeń. Dlatego teraz postanowiłam wziąć sprawę w swoje i tylko swoje ręce. W ten sposób widziałam jedyne wyjście z sytuacji. Jedyne.

Spojrzałam na zegar. Minęła dwudziesta druga. Podobnie jak wczoraj, włożyłam na szlafrok płaszcz, a na nogi kolorowe gumiaczki. Dziś jednak nie wyganiała mnie z domu chęć napicia się wina, miałam jeszcze prawie całą butelkę. Miałam, bo do tej pory opróżniłam jakąś jedną trzecią tego co mi zostało. Resztę zabrałam z sobą. Zeszłam na dół. Pogoda była podobna jak wczoraj, bezchmurne niebo, jasny księżyc, było jednak znacznie cieplej. W powietrzu dawało się już odczuć prawdziwą wiosnę. Pachniało młodą trawą, ciepły, leciutki wietrzyk owiewał moją twarz. Mogła to być całkiem przyjemna przechadzka, gdyby nie cel, jaki mi przyświecał. Dziś, z perspektywy czasu wiem, że było to jedno z dwóch najgłupszych, najbardziej nieprzemyślanych i ryzykownych przedsięwzięć w moim życiu i mogło konkurować jedynie z moją decyzją o wyjściu za mąż za Eneasa. Tego wieczoru bowiem mogłam z powodzeniem stracić życie, ale tym razem nie metaforycznie. Normalnie, fizycznie, o ile rzeczywiście sprawa przedstawiała by się tak, jak sobie wówczas umyśliłam, czyli że idę na spotkanie z prawdziwym przestępcą. Swoją

drogą, ów ciepły majowy wieczór i tak zaważył na całym moim dalszym życiu...

Szłam przed siebie nieśpiesznie, czujna, z oczami, jak to się mówi – dookoła głowy, jedną ręką trzymałam pod szyją rozłożyste klapy kołnierza, drugą zaś w kieszeni, na szyjce od butelki. Wino zabrałam ze sobą dla dodania odwagi i jako ewentualny oręż. Pewnie na tego rodzaju eskapadę powinnam włożyć dres i trampki, ale dopiero teraz przyszło mi to do zbałamuczonej kilkoma lampkami wina głowy. W gruncie rzeczy chyba miało to niewielkie znaczenie, bo jakąż różnicę mogło robić blisko dwumetrowemu oprychowi, czy byłam w trampkach, czy w gumiakach? Nie bardzo też umiem sobie dziś odpowiedzieć, na jakiej podstawie wykoncypowałam, że ów drab nadal będzie tkwił w tych samych krzakach. Sadzę jednak, że każdy, kto kiedykolwiek uprawiał tak zwane myślenie koncepcyjne pod wpływem napojów z procentami wie, że ów proces przebiega nieco... inaczej, niż zazwyczaj.

Zatrzymałam się kilka, może kilkanaście metrów od miejsca, w którym wczoraj spotkałam zwyrodnialca. Stąd nie było widać żadnej ludzkiej postaci. Zbliżyłam się ostrożnie do pierwszego spośród kilku świerków, stanowiących niewielki zagajnik. Znowu stanęłam i nasłuchiwałam. Wolałbym, gdyby już przyszło mi się spotkać z owym zbirzem, aby nie odbyło się to w gąszczu iglaków, niestety, trzeba było jednak się weń zanurzyć. Właśnie zbierałam się w sobie, gdy powietrze przeszył rozdzierający, potwornie głośny wrzask. To było tak niespodziewane i nagłe (liczyłam się raczej z gwałtownymi wrażeniami wzrokowymi, niż słuchowymi), że w pierwszym odruchu uskokczyłam w bok. To znaczy, pewnie chciałam uskokczyć, ale nieznajomość podłoża sprawiła, że straciłam równowagę. Byłam przekonana, że wyląduję twarzą wśród ostrych, iglastych gałęzi, ale... coś złapało mnie w pól.

- Nie bój się, to tylko kot – usłyszałam znajomy-nieznajomy głos.

Stanęłam jak wmurowana. Jakieś silne, męskie ramiona obejmowały mnie, a ja dosłownie nie mogłam się ruszyć. Musiałam dać sobie sekundę na zebranie myśli. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to że dopóki będę tak stała, będę żyła. No więc stałam tak nieruchomo i w milczeniu, a ten ktoś,

kto mnie trzymał też stał i milczał. Mijały sekundy, może minuty. Sytuacja robiła się coraz bardziej irytująca, ale czas działał na moją korzyść – powoli odzyskiwałam pewność siebie. Zwłaszcza, że uświadomiłam sobie, iż moja prawa ręka nadal zaciśnięta jest wokół szyjki flaszki z winem.

- Dość tego – odezwałam się w końcu. – Puść mnie. Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Dlaczego na mnie nastajesz? Czego szukasz w mojej galerii? Czy ta twoja wczorajsza ofiara to miałam być ja? Gadaj!

- Nie – odparł facet i trzymał mnie nadal. – A ja chciałbym wiedzieć, czy przyszła pani tu w akcie odwagi czy głupoty? Czy odwagi... - pochylił się nade mną – pochodzącej z butelki, którą trzyma pani w kieszeni?

Przesadził. W tym momencie przesadził i nie mogłam nie zareagować. To było... jak policzek. Albo gorzej. Wzięłam możliwie największy w tej sytuacji zamach prawą nogą, aby kopnąć go w krocze i kiedy będzie wił się z bólu (na filmach zawsze tak to wygląda), wyrwać mu się i uciec. Niestety, krocze mojego oprawcy było zbyt wysoko i cały mój heroiczny manewr skończył się tym, że wpakowałam mu nogę między jego nogi, a on natychmiast zakleszczył ją swoimi udami.

- Robi się coraz ciekawiej – szepnął, muskając moją szyję ustami.

- Boże mój! – wezwałam imienia pańskiego nadaremno – Proszę mnie puścić! Natychmiast. I... popertraktujmy.

- Okej, popertraktujmy – odparł facet. – Punkt pierwszy: nie puszczę.

- Cholera – warknęłam. – Cholera jasna, niechby to szlag!

- Bogate słownictwo – podsumował.

- Proszę posłuchać mnie uważnie! Jeśli jest w mojej galerii coś, czego pan chce, co ma związek bądź to z idiotyczną legendą, bądź to... (z trudem przeszło mi to przez gardło) z... pewną... hm... działalnością mojego byłego męża, jestem gotowa do współpracy. Tylko proszę do ciężkiej, nieuleczalnej cholery powiedzieć, co to jest! Jeśli się okaże, że jest ono w zasięgu mojej ręki, po prostu to panu oddam. Nie będzie pan wówczas musiał gnębić mnie, moich znajomych ani napadać na niewinne kobiety. To chyba jest jasne, logiczne i uczciwe, o ile takie pojecie nie jest panu obce!

- Myślę, że tak – odparł, pochylił twarz jeszcze niżej, i... I... (?!!!)... pocałował mnie w usta!

Zamurowało mnie, ze zdumienia i wściekłości. Tak bardzo, że złość zupełnie wyparła ze mnie strach. Moja złość rosła w miarę, jak uświadamiałam sobie, że... ten uścisk mocnych ramion i ud, niski, męski głos, i ten totalnie absurdalny pocałunek, że wszystko to sprawia, iż tak naprawdę wcale nie chcę się od niego uwolnić. Nie, właściwie nie tak: chcę, bardzo chcę, ale moje ciało i ja popadliśmy w totalny konflikt interesów. Ono czuło ciepło jego ciała, oddech na mojej skórze a nawet pulsowanie krwi w jego żyłach – ja czułam wściekłość i narastającą mdłości.

- Musze się napić - oznajmiłam raczej zgodnie z prawdą. - I nadzieją, że jeśli on zluzuje swój uścisk bym mogła dostać się do butelki, wówczas mu się jakoś wyrwę.

To, co zrobił teraz mój oprawca przeszło po prostu ludzkie pojęcie.

- Proszę bardzo – powiedział i... trzymając mnie teraz już jedną ręką przystawił mi moją własną butelkę do ust.

- Mogę trochę? – spytał, po czym zlizął z moich ust spływające krople.

- Dobrze – szepnął i pocałował mnie znowu, znacznie mocniej i namiętniej.

To było... uczucie, jakiego nigdy dotąd nie zaznałam. Albo zaznałam tak dawno, że już nie pamiętam... Jego usta były ciepłe, miękkie i... niemal elektryzujące. Całował delikatnie, ale zdecydowanie. I świetnie wiedział, jak to robić... Poczułam, jak wszystkie mięśnie kolejno odmawiają mi posłuszeństwa. Teraz już jedyną siłą utrzymującą mnie w pionie był jego uścisk. Stopniowo traciłam oddech i zmysły. Moja obrona polegała już tylko na bierności, ale kiedy on zarzucił sobie moje ręce na szyję, coś mi się stało: one same oplótły go uściskiem, a usta zaczęły gorliwie oddawać pocałunek. Wówczas mężczyzna zdjął swój płaszcz, rzucił go na ziemię i pociągnął mnie za sobą. Jego dłonie błądziły po moim ciele, tak łatwo dostępnym dla niego pod niekompletnym odzieniem. Ja sama byłam już tylko i wyłącznie ciałem, a wszystkie moje odczucia sprowadzały się wyłącznie do fizycznych doznań.

- Słucham? – szepnęłam, bo wydało mi się, że on od jakiegoś czasu coś do mnie mówi.

- Chcesz tego? Musisz mi powiedzieć... zanim...

I to pytanie sprowadziło mnie na ziemię. Bo jakże ja miałam mu powiedzieć, że to moje ciało go pragnie, ale ja sama wręcz przeciwnie...

- Nie – odpowiedziałam. – Nie chcę. To co pan ze mną zrobił, to zwyczajny gwałt. Tylko że bez użycia siły.

- W porządku.

Mężczyzna uniósł się z ziemi i pomógł mi wstać. Związał mój szlafrok, zapiął mi płaszcz i również związał go paskiem.

- Jesteś wolna – oznajmił.

Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie.

- Hej – zawołał za mną cicho.

Zatrzymałam się. Mężczyzna podszedł bliżej, uniósł w dłoniach moją twarz i jeszcze raz pocałował.

- Twoje wino – szepnął. – Mogę je wziąć?

- Skinęłam głową w milczeniu.

ROZDZIAŁ X

Kolejna rysa na fasadzie (świętego?) spokoju

Nie poszłam do pracy. Nie położyłam się spać. Nie zdjęłam nawet płaszcza. Po prostu, po powrocie do domu usiadłam w moim fotelu, licząc na to, że to on przywróci mnie do równowagi. Sam z siebie. Bo po tym, co się stało, żadna relaksacja nie mogła być skuteczna.

- Za co to? Po co? Dlaczego? – wciąż zadawałam sobie te pytania. To było... niesprawiedliwe. Nawet, jeśli los poprzez tamto wydarzenie chciał dać mi coś do zrozumienia, wybrał sposób okrutniejszy, niż było trzeba. Uderzył bowiem w samo centrum mojej ideologii, której hołdowałam od lat i według niej żyłam. A mianowicie, że to ja sama decyduję o sobie, że jestem władna zaprogramować każdy swój kolejny dzień, a rzeczy niespodziewanych i niepożądanych jestem w stanie z powodzeniem unikać. Że to tylko kwestia odpowiedniej organizacji i panowania nad sobą. Wczorajszy wieczór jednak pokazał mi, że jednak nie zawsze muszę wyjść cało z nieplanowanych sytuacji. To po pierwsze. Po drugie, wczorajsze wydarzenie zburzyło jeszcze jedno moje wieloletnie przekonanie: że udało mi się okiełznać wszystkie te potrzeby, których zaspokojenie nie jest konieczne do życia lub też nie powoduje jakiegos uciążliwego dyskomfortu. Za jedną z nich uważałam seks. To prawda, bywałam od rozvodu z Eneaszem w różnych... układach. Świadomie unikałam słowa związek, jako niewłaściwie określające moje rzeczywiste związki z facetami. Układ zaś, to coś w rodzaju obustronnej zgody

partnerów na życie według ustalonych reguł, nie obligujących do niczego, co miałyby się odbywać wbrew woli i chęci obojgu. Dlatego właśnie zerwałam z Grześkiem. I kilkoma innymi przed nim. Ja – moim zdaniem postępowałam uczciwie. Już na początku każdej znajomości, zmierzającej do bliższych stosunków robiłam facetowi wykład na temat swoich oczekiwań. I to jemu pozostawiałam decyzję – chce być ze mną, czy nie. Jeśli chciał, to oznaczało, że godzi się na nakreślone przeze mnie ramy. Wydawało mi się i chyba nadal wydaje, że mężczyznom powinny one odpowiadać w stu procentach. Bo to przecież oni nie lubią damsko-męskiego uwikłania, nie chcą kobiet nadopiekuńczych, ekspansywnych, zazdrosnych. Przy moim boku każdy mężczyzna miał prawo czuć się jak kawaler, ze wszystkimi zaletami tego stanu. I nie wiem, czy to ja, jak na złość trafiałam na te bardziej cłkiwe egzemplarze, czy... nie do końca pojmowałam facetów? Tak czy inaczej, w chwili, gdy jeden z drugim zaczynał wlażyć na „moją połowę życia” – żegnałam go bez większych sentymentów.

Na identycznej zasadzie działało moje życie seksualne i następowało wówczas, gdy oboje tego chcieliśmy. Formy współżycia musiały być również obustronnie akceptowalne. Dla mnie takie intymne pożycie sprowadzało się zawsze do całkiem konkretnej, fizycznej przyjemności, o charakterze relaksująco – zdrowotnym. Dorosły człowiek bowiem od czasu do czasu powinien dać ujście gromadzonemu przez jego organizm seksualnemu napięciu. A jeśli chodzi o okiełznanie zbędnych mi do życia potrzeb, mam na myśli te, które w żaden sposób nie mogą być zrealizowane bez udziału drugiego człowieka. Czyli generujące różnego rodzaju zależności, jak: potrzeba miłości, przyjaźni, czy przynależności społecznej i ich pokrewnych. Dlatego moja przyjemność obcowania z drugim człowiekiem polegała na z góry określonych korzyściach jakie mogłam od niego czerpać, solidarnie i uczciwie odpłacając mu tym samym.

Z tego właśnie powodu tak dotkliwie przeżywałam wydarzenia poprzedniego wieczoru. Bo facet, który tak podle mnie zniewolił,

dostarczył mi doznań, o jakie już od dawna się nie podejrzewałam. I... dlaczego, kiedy mu już prawie uległam, on sobie wówczas odpuścił?

Być może to napomnienie od losu miało na celu ostrzeżenie przed nadużywaniem alkoholu i jego skutkami? Ale ja w zasadzie nie piłam za często, nie za dużo i wyłącznie tylko czerwone wino... Do uzależnienia było mi bardzo, bardzo daleko. Więc pewnie nie o to chodzi... A ponieważ byłam przekonana, że wszystko, co się dzieje w życiu ma określony cel i sens, wiedziałam, że i teraz o coś musi chodzić. Nie, nie, nie! Za żadne skarby nie chciałam przyjąć do wiadomości innego wyjaśnienia, a mianowicie, że moja wypracowana przez lata filozofia życia... może być fałszywa. To po prostu jest niemożliwe i zupełnie wbrew logice. Bo jeśli się żyje według ściśle określonych zasad i jeśli przez wiele lat taki sposób na życie doskonale się sprawdza, to co u licha nagle jest nie tak?

W tej właśnie tonacji przedumałam resztę nocy, poranek i pół dnia. Później chyba zasnęłam, bo kiedy zerwałam się na dźwięk jazgoczącego u drzwi dzwonka, na zewnątrz było już ciemno.

- Jezus Maria Wszyscy Święci, czy ty sumienia mniemasz, czy zmysłu wyciągania wniosków? – napadła na mnie Olga, kiedy wpuściłam ją do mieszkania.

- Nie ma takiego zmysłu – odparłam, bo tyle co przestałam przecież deliberować na temat zmysłów.

- Adela, litości!!! Czy ty wiesz, jak ja od rana odchodzę od rozumu? Nie przyszedł do pracy, nie odbierasz telefonów, w twoim mieszkaniu panują ciemności... Jak sądzisz, co ja mogłam myśleć?

- Że mnie zabili? – odpowiedziałam jej pytaniem.

Olę dopadło Święte Oburzenie, na wskutek czego znieruchomiała na chwilę.

- A ty jak zawsze wesolutka! Prawda? – krzyknęła, jak ją tylko puściło.

- Mylisz się – odparłam smętnie. – Nie jestem wesolutka.

Dopiero teraz Olga przyjrzała mi się uważniej.

- Ojejku, Ada... jak ty wyglądasz? Dlaczego jesteś w płaszczu? Boże jedyny, czemu ty jesteś taka brudna?!

- Brudna jestem? – zdziwiłam się.

- Nie wiesz o tym? Od dołu wyglądasz, jakby ktoś rzucał tobą o ziemię, a od góry... wybacz... jakbyś się porzygała.

- Nie rzygałam – oznajmiłam z godnością.

Pewnie miałam na płaszczu rozbryzgi z wina, którym uraczył mnie zwyrodnialec.

- Więc co się stało. Napadł cię ktoś?

- Tak, Olga. Napadł i... i... zbeczcześcił!

- Matko Święta! Jak to?

- Proszę przestań już z tą litanią do świętych. Bo to w tej chwili bardzo nie na miejscu.

- Zgwałcił cię?

- Tak – odpowiedziałam, bo tak właśnie czułam.

Czułam się jakbym została zgwałcona, sponiewierana, pozbawiona czci.

- Ada... Adziu... Przepraszam! – Olga spróbowała mnie objąć, ale wyratowałam się jakoś przed tym gestem.

Uścisku kolejnych ramion w ciągu tej samej doby zwyczajnie bym nie zniosła.

- Biedactwo ty moje – uzałała się nade mną Olga. – Jak to się stało? Gdzie? Kiedy? A może nie chcesz o tym mówić?

Tę ostatnią sugestię puściłam mimo uszu.

- Poszłam wieczorem w te krzaki, tam gdzie pobito tę kobietę..

- Oszalałaaaaaś?!

- Nie. To znaczy, jak tam szłam, to mi się tak nie zdawało. Ale owszem, nie było to mądre...

- Po co tam poszłaś?!

- Liczyłam na to, że ten dewiant tam będzie znowu i że mu wyperswaduję te najścia na kamienicę, na mnie, na was... Że powie jak człowiek, czego szuka i że, jeśli to tam będzie, sama mu oddam, ale nich zostawi nas w spokoju.

- To chyba z nieba mu spadłaś z tą propozycją? I co? Jeszcze mu było mało? Musiał cię gwałcić? – oburzyła się Olga.

- Ja nie wiem, jak to się stało – stwierdziłam zgodnie z prawdą. – Nie mam pojęcia. Olga... ja... muszę to jakoś ogarnąć.

- Przede wszystkim powinnaś zgłosić całe zajście na policję. To mu nie może ująć płazem. Słyszysz?

- Jak, skoro to on skorumpował Czesława?

- Powinnaś... wyżej gdzieś pójść. Do województwa co najmniej.

- Daj mi spokój Olga. Proszę, muszę jakoś... przerobić to co się stało. A co w kamienicy? Spokój?

Olga zwiesiła głowę.

- No, mów!

- Rabuś się przebił. Wywalił dziurę na wylot.

- Jak to? Kiedy? Z mięsnego do galerii?

- Tak, wczoraj w nocy. Ale nie dużą, nie zmieściłby się w niej. Nie umiałyśmy z dziewczynami wymyślić, po co mu taka dziwna dziura.

- Może po prostu jeszcze nie skończył? A może go nasz alarm go spłoszył?

- Niestety nie. Alarm nie zadziałał...

- To już jest szczyt bezczelności! Taki honorowy ten zwyrodnialec, czy jak? – bluzgałam rozkręcając się coraz bardziej. - Musi sam ryć, osobiście? Bo jak mu oddam to coś-tam po dobrej woli, to się nie będzie liczyło? Jeszcze w dodatku alarm nam popsuł? Naprawdę, to przechodzi ludzkie pojęcie!

- Uspokój się Ada. Chyba nie powinnam ci była o tym mówić.

- Powinnaś. Teraz może będzie mi łatwiej.

- Jak to?

- Bo środek ciężkości rozłożył się teraz na dwie sprawy. Postaram się więc skupić na tej drugiej...

- Da się tak? – zdziwiła się Olga.

- Da się. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się da – odparłam w zadumie.

* * *

Niestety, zapomniałam poprosić Olę o dyskrecję i kiedy (tak mi się zdawało), jak nigdy nic wkroczyłam do galerii, cała „samopomoc” w komplecie labiedziła na zapleczu. Widać nie spodziewano się mnie dziś tutaj, a już na pewno nie na godzinę przed otwarciem interesu. Na mój widok wszystkie „członkinie” poderwały się na nogi.

- Tak nam przykro – w imieniu wszystkich wyraziła się psychiatra. – Ja wiem, jakie to trudne...

- A ta kobieta od napadu zmarła, wie pani? Malowałam ją wczoraj do trumny – dorzuciła Oliwia.

- Ona naprawdę była bardzo podobna do pani – podsumowała Renia.

- E, aż tak bardzo to nie – westchnęła skromnie Oliwia. – Tylko ja musiałam się zasugerować... Ładny ma pani makijaż, sama się pani maluje?

Spojrzałam po kolei na ich twarze i zatrzymałam wzrok na Oldze. Być może ona jedna się zreflektuje, że jej koleżanki pastwią się właśnie nade mną, bez żadnego znieczulenia.

- Dajcie już spokój, dobrze? - po kilku sekundach milczenia Olga spełniła moje oczekiwania.

- Gdybyś kiedykolwiek chciała o tym porozmawiać, jestem do dyspozycji – poinformowała mnie Sonia - psychiatra. – Ale teraz, rzeczywiście dziewczyny, ani słowa na ten temat.

- Mam dziś trochę papierowej roboty – poinformowałam Olę. – Jakby co, jestem w biurze.

Biuro galerii mieściło się w jednym z pomieszczeń na zapleczu. Był to niewielki pokój z regałami, biurkiem, komputerem i jednym krzesłem. Pomieszczenie było na tyle duże, by zmieścić w nim całą biurokrację dotyczącą galerii i na tyle małe, by nikomu nie przyszło do głowy rozsiadanie się w nim, gdy pracowałam. Prowadząc własny biznes musiałam od czasu do czasu zająć się tą stroną medalu, niestety. Ale bywało i tak, że pod pretekstem jakichś pilnych wyliczeń spędzałam po

prostu pół dniówki w samotności i spokoju. Dziś, teraz, taką właśnie miałam potrzebę.

Zrobiłam sobie kawę oraz twórczy bałagan na biurku i usiadłam w miarę wygodnie. W miarę – bo mimo, iż obracany fotel w moim biurze był dość sporych rozmiarów, miękko wyściełany i obity prawdziwą skórą – nie był, niestety moim domowym, wyliniałym staruszkciem.

Spróbowałam zebrać myśli. Z naciskiem na ten podstawowy aspekt działań zbirów, czyli napady na ludzi, włamania i rycie w ścianach. Niestety, nie byłam w stanie całkiem odwrócić toku myślenia od wczorajszego... spotkania z bandytą, ponieważ i w jednym i w drugim przypadku był on kluczowym elementem obu spraw. I jak tylko zaczynałam dumać nad celem jego najść na kamienicę, natychmiast rzucało się na mnie wspomnienie jego ust, dłoni, głosu... Było tak silne, tak obrazowe i ... emocjonujące, wraz z każdą taką wizją odczuwałam bolesny skurcz w podbrzuszu...

Nie, nie mogłam w ten sposób funkcjonować. Musiałam pozbyć się tych myśli, wyrzucić, zabić, stłamsić te durne dygoty i podskórne dreszcze. Przecież, do cholery, to jest m o j e ciało, a moje ciało to ja. I to ja decyduje o nim, a nie na odwrót, to ja je karmię, poję, odziewam, kładę do snu, a jeśli mi się odwidzi, jest w mojej gestii pozbycie się go raz na zawsze. Jak więc to możliwe, że to zależne pod każdym względem ode mnie cholerstwo ośmiela się odczuwać coś w brew mojej woli? To nie mogło tak być. Ja... po prostu najzwyczajniej nie byłam na taki obrót sprawy przygotowana, dlatego nie zdążyłam załączyć porządnie wszystkich swoich funkcji obronnych. Tak. Bo przecież pakując się w jego łapy liczyłam się z zupełnie innym rodzajem fizycznego kontaktu, szarpaniem, biciem, targaniem za włosy... I całkiem innych doznań: bólu, cierpienia, strachu – a nie... lubieżnej przyjemności! Doszłam więc do wniosku, że ów mechanizm życiowy, tak bardzo przemyślany i tak pieczołowicie wprowadzony przeze mnie w codzienną praktykę, nie był, niestety doskonały. Potrafiłam bowiem doskonale radzić sobie w sytuacjach znanych, przewidywalnych, a także wyostrzyć do maksimum swoją czujność na wydarzenia nieplanowane. Ale, do cholery,

te l o g i c z n e ! Bo jakże ja miałam przypuścić choćby do siebie taką myśl, że bandyta, włamywacz i morderca (teraz już morderca, gdy tamta kobieta zmarła), będzie mnie całował, zamiast bić i pieścić, zamiast poniewierać?! Nie! – rozgrzeszałam się. – Tego żaden, nawet najbardziej pokrętny umysł nie był w stanie przewidzieć!

Nie, nie umiałam się po tym wszystkim pozbierać, nawet z grubsza. Ostudzić emocji, wyciągnąć wniosków i wprowadzić poprawki do systemu na zaś. Moja metoda, polegająca na analizie, wnioskowaniu i dopasowywaniu rzeczywistości do z góry ustalonych założeń – przestała na chwilę obecną działać. Nie miałam nawet pomysłu, jak ją usprawnić, a skoro tymczasem utknęłam przy treści, postanowiłam wziąć się za formę. To znaczy, jeśli do tej pory zarządzałam moim życiem siedząc w fotelu, uznałam, że może tym razem dobrze zrobi mi świeże powietrze.

- Olga, idę się przejść – oznajmiłam uwijającej się energicznie za ladą koleżance.

Olga spojrzała na mnie lekko zdziwiona, ale po chwili skinęła głową.

- Jasne, idź – odparła. – I niczym się nie martw, ja się wszystkim zajmę.

No właśnie. I jeszcze te współczujące spojrzenia. Przedtem koleżanek Oli, a teraz jej samej. Wszystko to doskwierało mi coraz bardziej. Musiałam stąd wyjść.

Szłam wolno główną ulicą miasta w stronę rynku. Pogoda była piękna, słoneczna, wszystko wkoło takie... entuzjastyczne i radosne. Jak zaprzeczenie mnie samej. Przyglądałam się ludziom i swojemu odbiciu w szybach sklepowych witryn, czasem, zainteresowana czymś z wystawy wchodziłam do środka. Po drodze weszłam do muzeum (bieliźniarstwa, bo tylko takie było w moim mieście) i zwiedziłam je bardzo szczegółowo. Potem przyszła pora za galerię malarstwa. Akurat trwała wystawa pastel i grafiki Konrada Pawła Rębranta. Bo tak się fajnie ów twórca nazywał. Chyba nawet fajniej, niż ja...

Jego rysunki były barwne, jasne, raczej naturalistyczne, z przewagą martwych natur i portretów. Grafiki natomiast były dość mroczne i w tematyce i w kolorach. Tu przeważały czaszki, cmentarze i ruiny kościołów. Ogółem były one czarno białe, ale na każdej z nich występował

jakiś krwisto-czerwony, srebrny lub złoty akcent. – Ależ ten facet jest dwoisty – przeszło mi przez myśl, po czym słowo „dwoisty” uczepiło się mnie jak rzep.

Być może owa dwoistość właśnie była tym, czego nie uwzględniłam w budowie mojej życiowej koncepcji? Może ja też byłam dwoista? Bardziej dwoista niż inni? I ta dwoistość ukazała mi się właśnie w pełnej krasie, a ja nie mogłam jej opanować, bo wszystkie moje życiowe mądrości dotyczyły osobowości pojedynczej, transparentnej i bardzo konkretnej?

Nie, wystawa pasteli i grafik nie sprzyjała opanowaniu niewygodnych myśli. Była... zbyt mało absorbująca uwagę. Postanowiłam, że pójdę jeszcze do kina na cokolwiek bądź, potem zjem obiad w jakiejś knajpce, a później jeszcze wybiorę się do domu kultury na koncert dżezowy. Tak. Uznałam, że muszę dziś jak najmniej przebywać sama ze sobą.

W ten sposób zagospodarowałam swój czas do samego wieczora. I choć oddaliłam się naprawdę spory kawał od mojego osiedla, postanowiłam wracać na piechotę. Zamierzałam na tyle zmaltretować moje ciało, by zaraz po powrocie do domu bez żadnych fanaberii zasnęło mocnym, spokojnym snem.

Miałam przed sobą najmniej godzinkę rażącego spaceru. Ale dlaczego właściwie miałabym iść rażno? Nie. Zdecydowałam, że pójdę powoli właśnie. Zamierzałam ominąć szerokim łukiem galerię i jeszcze szerszym miejsce... między garażami, placem zabaw i Powstańców. W związku z tym mniej więcej od połowy drogi musiałam zmienić trasę tak, by wejść na osiedle Złotych Łanów od drugiej strony. Zaczynało się ściemniać, w mięśniach nóg i kręgosłupie dawało się już odczuć ten niezwyčajny dla nich wysiłek. Za to nastrój zdecydowanie mi się poprawił. I kiedy już czułam przedsmak ciepłej kąpieli i miękkiego łóżka (akurat wchodziłam w ulicę Sebastiana, tuż od mojego osiedla), kiedy do krawężnika podjechał wielki czarny SUV i się zatrzymał. Otworzyło się okno od strony pasażera.

- Hej, jak tam sprawy? – dobiegł mnie z wnętrza... znajomy-niezajomy głos.

- Tak samo jak z lewy – odburknęłam i przyśpieszyłam kroku.

Bezczelność jego przeszła bowiem wszelkie granice, normy oraz ludzkie pojęcie.

- Chodź, pyskata kobieto, podwiozę cię – zaproponował.

Ruszyłam przed siebie, auto też. Chciało mi się płakać. Z oburzenia, bezsilności, z braku jakiegokolwiek innego pomysłu.

- Popertraktujemy? – spytał.

- Jak to? Namyslił się pan? Dziś dopiero? Z tą dziurą wam nie wychodzi, czy jak?

- Z jaką dziurą? Wsiadajże niewiasto, bo zaraz kogoś rozjadę niechcący.

- A to dla ciebie chyba nie żadna nowość – przestałam się bawić w grzecznościowe ceregiele. – Kobieta, której przedwczoraj rozwalіłеś głowę zmarła.

- Wiem.

- Fajnie. Powinnaś liczyć na to samo w krótkim czasie? A przecież proponowałam, nie dalej jak wczoraj, że oddam wam co tam sobie chcecie po dobremu! Wolicie przemocą? Na chama? Takie jest wasze kółko zainteresowań?

- Właśnie nie wolimy na chama. Dlatego cię zapytałem, czy tego chcesz... – odparł ten idiota, imbecyl jeden.

Chyba mi się przelało. Odtworzyłam drzwi i wsiadłam z impetem do toczącego się wolno auta.

- Dość tego – warknęłam. – albo mi gadasz o co w tym wszystkim chodzi, czego szukacie, czemu kneblujecie i zamykacie w kiblu moje koleżanki, mordujecie ludzi i rujnujecie ściany? Co? Słucham! Bo proszę mi wierzyć, moja cierpliwość ma swoje granice, ale moja determinacja nie. Może to i śmieszne, żeby drobna kobieta odzywała się w ten sposób do dwumetrowego chama, ale mnie naprawdę stać teraz na wszystko. Gadaj, bandyto!

W tym momencie sięgnęłam do torebki, namacałam w niej dość spory pilnik do paznokci i przyłożyłam mu go do szyi. Tak porządnie, że spory kawałek jego ostrza zniknął w fałdzie skóry. I chyba musiało boleć.

- Gadaj draniu, bo pchnę! – ponagliłam.

Facet wjechał na niewielki parking tuż przy drodze. Na tyle odludny, że mogliśmy się tu śmiało nawzajem pozabijać.

- Jak? – wyszeptał i zakasłał. – Wetknęłaś mi ten majcher między struny głosowe.

- Pilnik. Będziesz gadał, jak go zabiorę?

- Będę.

Dopiero teraz spojrzałam porządnie w jego stronę, ale właściwie nie zobaczyłam nic poza dłońmi, które trzymał na kierownicy. W aucie było ciemno jak w zadku Afroamerykanina, z zewnątrz też nie padało żadne światło. Od biedy mogłam uchwycić w tych cieniach i pół cieniach jego profil. Taki... ani w te, ani w tamte. Przepisowy, mogłabym rzec, cokolwiek to oznacza.

Facet westchnął głęboko.

- Jakie zakneblowane koleżanki? Jaka dziura? – zainteresował się fałszywie.

- To raczej ja bym chciała wiedzieć. I nie jakie, tylko dlaczego. I po co kupiłeś mojego koguta?

- Nie mogłem się oprzeć jego urokowi...

A więc jednak to on, skoro się nie wyparł.

- ...podobnie jak twojemu, madame, choć jest trochę... hm... kontrowersyjny - dokończył i pocałował mnie w rękę.

Szlaki już miał przetarte, więc tyle wystarczyło, bym odczuła znajomy dreszcz oraz skurcz w dole brzucha. Wówczas przebiegły mi przez głowę dwie możliwości: albo wysiąść i trzasnąć drzwiami, albo... po prostu, zrobić TO. I może przejdzie, na zasadzie klin- klinem...

Nie zaprotestowałam. On, cały czas trzymając moją rękę w pobliżu ust, nie poprzestał na samej dłoni. Całował delikatnie nadgarstki i to, na co pozwoliły mu rękawy mojego płaszcza. Robił to w taki sposób, że dosłownie zapierało mi dech. I był... nie wiem, jakiś naelektryzowany, czy po prostu miał w sobie to coś, z czym się nigdy dotąd nie spotkałam? Na pocałunkach mógłby właściwie poprzestać, a ja siedziałabym tak pewnie w nieskończoność...

Mój zbir chyba nie spodziewał się takiej spolegliwości i na chwilę się jakby zawahał. Ale tylko na chwilę, bo zaraz potem jednym ruchem rozłożył moje siedzenie i usadowił się obok mnie. Teraz skupił się na mojej twarzy, dotykał policzków, nosa, ust, a ja tak bardzo chciałam, żeby wreszcie mnie pocałował! W końcu złapałam go oburącz za włosy i sama przyssałam się do jego warg. Było mi absolutnie wszystko jedno: kim on jest, czego chce, i że wszystko dzieje się na parkingu w aucie. I że w gruncie rzeczy wychodzę na jakąś pierwszą lepszą.

W pewnej chwili zapytał tak samo jak wczoraj:

- Chcesz?

- Tak... - odparłam i ułożyłam się wygodniej.

Tego, co przeżyłam chwilę później w jego ramionach nie da się porównać do niczego, czego kiedykolwiek w życiu zaznałam. I albo on był facetem absolutnie wyjątkowym, albo to ja byłam w jakiś szczególny sposób zaprogramowana na niego i tylko na niego. Nie wiem, czy on ze mną też przeżył coś wyjątkowego, czy to elektryzujące działanie było jednostronne... Od chwili, gdy poczułam go w sobie, było tak, jakbym unosiła się nad swoim ciałem, które z każdym jego ruchem odczuwało jakąś... nie, nie ma w ludzkim języku odpowiedniego słowa. Była to przyjemność, granicząca z bólem, odrętwieniem, bezwolną słabością i jakąś desperacką siłą jednocześnie. Byłam jednocześnie sobą, nim, otaczającą nas ciemnością i muzyką cicho sączącą się z radia... A moja dusza, która zawisała gdzieś wysoko nad tym wszystkim odczuwała równie sprzeczne i normalnie wykluczające się nawzajem emocje: niepojętą radość z równie niepojętym smutkiem...

Teraz, już po wszystkim leżał przy mnie, trzymał za rękę i masował kciukiem wewnątrz mojej dłoni. Czekałam, aż coś powie, bo sama nie umiałam znaleźć w tej chwili odpowiednich słów.

- Jedziemy? - spytał wreszcie i to było na tyle.

Usiadłam, on na powrót złożył siedzenie, po czym, zupełnie bez słów podwiózł mnie pod samą klatkę.

ROZDZIAŁ XI

Zwyrodnialec

Weszłam do łazienki. Stałam przed lustrem i przeprowadziłam z sobą następujący dialog:

- Nawet nie wiesz, kim on jest! Pojęcia nie masz – rzuciłam pod adresem swojego odbicia.

- Ależ owszem, wiem. Psychopata. Mordercą i rabusiem – odparłam sama sobie cynicznie.

- Super. Nie wiesz też, jak on wygląda!

- Cóż chcesz? – odpowiedziałam sobie pytaniem. – Bandyci z reguły nie afiszują się ze swoją fizjonomią. To chyba oczywiste?

- Zdarza się czasem, że kobieta oddaje się nieznanemu facetowi, ale do diabła, na coś trzeba polecieć, nie? A jeśli nie na osobowość i nie na w y g l ą d, to na co??? Po prostu przyznaj uczciwie, że pchnęła cie ku niemu zwyczajna chuć i nic, ale to nic cię nie usprawiedliwia!

- Głupia, głupia, głupia! – podsumowałam całą tę rozmowę i palnęłam się otwartą dłonią w czoło.

Teraz to już naprawdę wszystko zaczynało się sypać. A jeśli już moje prywatne, życiowe ekscesy zaczynały rzutować na pracę w galerii, można było zacząć się niepokoić...

Łaziłam po salonie w tę i nazad, próbując zebrać bezładne myśli i nadać swojemu postępowaniu choćby pozory sensu. Tok tych, zmierzających raczej do niczego rozważań przerwał dzwonek mojej komórki.

- O, proszę! Życie moje napada na mnie z każdej strony – sarknęłam, ponieważ w ostatnich latach nie utrzymywałam z ludźmi tak ożywionych kontaktów, jak w minionych tygodniach.

- Ciociu... - odezwał się subtelny damski głosik po drugiej stronie i umilkł.

- Estera? – spytałam, bo tylko ona zwracała się do mnie w ten sposób.

- Dobry wieczór, ciociu.

- Cześć.

- Wiesz, już wcześniej chciałam do ciebie zadzwonić, ale pomyślałam, że pewnie się na mnie gniewasz o tego Armanda. Ale... może już ci trochę przeszło?

Na wspomnienie historii z fircykiem z wesela zachciało mi się śmiać. Z konieczności jednak zachowałam powagę.

- No cóż, miłe to nie było – odparłam raczej zgodnie z oczekiwaniami Estery.

- Przepraszam. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Ja go po prostu nie znałam z tej strony, wydawał się miły i taki w sam raz...

- No, Esterko, jeśli twoim zdaniem on był w sam raz, dla mnie jak sądzę, to mam prawo czuć się urażona. Tym razem przez ciebie.

- Ciociu... – Nie wiem co powiedzieć... Chciałabym, żebyś się na mnie nie gniewała i żeby było, wiesz, jak dawniej.

- Jak dawniej? – spytałam oschle.

Bo mimo całej sympatii, jaką darzyłam tę dziewczynę, postanowiłam zniechęcić ją do siebie przy pierwszej lepszej okazji. I ta właśnie się nadarzyła, a mnie całkiem dobrze szło.

- To znaczy... w pakiecie z twoją matką i jej złośliwościami? Daruj, Estera, ale stanowicie obie tak nierozłączny duet, że deklarując ci przyjaźń, wzięłabym sobie jednocześnie na plecy Filippę z całym dobrodziejstwem jej charakteru. A tego, wierz mi, bym nie chciała.

- Wiem... - Estera chlipnęła cichutko. – I rozumiem. Wobec tego życzę ci ciociu wszystkiego, wszystkiego najlepszego i chcę... żebyś wiedziała, że wiele dla mnie znaczysz. Przepraszam.

I się rozłączyła. Nie powiem, żebym poczuła się z tym jakoś szczególnie komfortowo, ale jak zaleca medycyna, lepiej zapobiegać niż leczyć. Tak naprawdę wcale nie chodziło mi o Filipkę, bo dziś poradziłabym sobie z nią bardzo łatwo, a nawet, że tak powiem, z pewną przyjemnością. Istota problemu tkwiła w samej Esterze. Była ona, w przeciwieństwie do matki bardzo delikatną, wrażliwą osobą o czułym sercu i te właśnie przymioty stawały się przyczynkiem jej wiecznych tarapatów, z których w przeszłości często zmuszona byłam ją wybawiać. Filippa była matką apodyktyczną, ojciec – jak to bywa w podobnych rodzinach – „jakoby go wcale nie było”. Dlatego Estera najczęściej ze swoimi problemami zwracała się do mnie, a wcześniej do swojej babci, dopóki ta żyła. A ja, będąc wówczas jeszcze... hm... innej konstrukcji człowiekiem, pomagałam jej w miarę możliwości, pewnie dlatego Estera wspomina mnie tak dobrze. Nie zna mnie takiej, jaką jestem teraz i niechby tak zostało – jednak nie to jest powodem mojego zachowania. Ona i jej ustawiczne kłopoty mogłyby stanowić poważne zagrożenie dla mojej dzisiejszej postawy. Bo były to zazwyczaj działania, że tak powiem, o charakterze społecznym: a to dokarmiała przez jakiś czas bandę małych cyganiątek, wynosząc z domu co popadło, to znów ratowała dręczone przez właścicieli psy i koty. Kiedyś uprowadziła całkiem porządnemu facetowi rodowodowego charta afrykańskiego, który jest z natury na tyle chudy, że zrobił na Esterze wrażenie zagłodzonego. Innym znów razem oddała swój nowiutki górski rower jakiejś rzekomo biednej dziewczynce. Niegdyś dawałam się jej w to wciągać, ale moja przemiana polegała przecież na tym, by uodpornić się na podobne zjawiska. Jedno z moich sztandarowych haseł brzmiało: „nie brać, by nie musieć oddawać”. Taka postawa znacznie upraszczała moje życie – i jeśli dziś nie angażowałam się w żadne cudze bolączki, czułam się jak najbardziej w porządku, bo i ja od nikogo niczego nie oczekiwałam.

* * *

Paradoksalnie, wczorajsza rozmowa z Esterą nieco mi ulżyła. Na chwilę. Bo na jakiś czas pozwoliła mi zająć myśli innego rodzaju (choć równie irytującymi) sprawami niż te, które przed momentem zaprzętały moją głowę.

Nie poszłam do pracy, ale tym razem uprzedziłam o tym Olgę. Przyjęła to, sądząc z głosu, że zrozumieniem, ale i niepokojem.

- Wszystko u ciebie w porządku? Ale czy na pewno? A może potrzebujesz czegoś? – drażyła w podobnej tonacji przez dobry kwadrans.

- Tak! Tak!!! Nie. Nie!!!! – odpowiadałam monosylabami, bo chciałam mieć jak najprędzej to jej przesłuchanie z głowy.

Zbywszy wreszcie Olgę zajęłam się sobą. I tu mógłby (i powinien był) nastąpić kolejny jednostajny opis relaksacyjnego rytuału, z bieżącą adnotacją dotyczącą jego rezultatów. Niestety, nic z tych rzeczy. Jakoś nie kleiło mi się to wszystko... W moim wnętrzu rozgrywała się bowiem prawdziwa walka i ja miałam świadomość, że to tylko jeden z elementów wojny, że tak powiem, na śmierć i życie. Mogłoby się wydawać, że słowa te brzmią zbyt dramatycznie, wręcz histerycznie, ale jeśli ktoś nie wie, z czym musiałam się zmagać w przeszłości, ma prawo tak to widzieć. A nawet, jeśliby wiedział, ale sam niczego podobnego nie doświadczył, może być usprawiedliwiony.

Człowiek to delikatna konstrukcja. Wyposażona co prawda w szereg narzędzi psychofizycznych, mających mu umożliwić przetrwanie od narodzin, do terminalnie określonej śmierci. I często tak bywa – o ile owe narzędzia są adekwatne do wyzwań, jakie napotyka na on swojej drodze. Widać w moim przypadku nie były... Dlatego, jak tylko podniosłam się z ruin, zaczęłam budować twierdzę. Dobrze było mi w niej, bezpiecznie, stabilnie, z każdego okna rozpościerał się widok na prostą drogę wśród gładkich równin. Rozpanoszyłam się w tej twierdzy, coraz pewniej spoglądając z mojej wieży obserwacyjnej na wszystko dookoła. A to, co widziałam, było małe i niegroźne, bo widziane ze sporego oddalenia, z bezpiecznej odległości. I teraz właśnie na jej ścianach zaczęły powstawać rysy i pęknięcia, fundament drgał, a widok z okien stawał się coraz bardziej osnuty mgłą. Co można czuć w takiej sytuacji? Czekać na

rozwój wydarzeń, popadając w coraz większą panikę. A może wyjść na zewnątrz i sprawdzić, co kryje ta cholerna mgła? Bo może akurat nic takiego, co byłoby warte moich lęków i niepokoju?

Jasne, że tego typu rozważania wyglądają jak psychotyczny bełkot, będący efektem psychotycznego oglądu rzeczywistości. Nie twierdzę, że tak nie jest i nie potrzebuję tego wiedzieć. Wiem natomiast jedno, że dopóki potrafię żyć w równowadze z sobą i w harmonii ze światem – potrafię żyć w ogóle... Jednak ostatnio coś uparcie napiera na mnie, czyha na tę moją równowagę, usiłuje zakłócić harmonię...

Najbardziej, czego teraz było mi potrzeba, to czas i spokój. Dwie, absolutnie niezbędne rzeczy do załatwienia tych wszystkich pęknięć, zaklejenia szczelin i dziurek. I o ile nadal byłam panią swojego czasu – kwestia spokoju przedstawiała się już inaczej. Sama sobie byłam winna, bo dopuściłam do siebie zbyt wiele ewentualności, zbyt wiele obcych spraw i przypisanych im osób. A najwidoczniej nie ma i nie będzie takiego momentu, by móc uznać się za gotową do zmierzenia się z realnym światem.

Czyżbym popadła w pychę? W tę, tak znieawidzoną przez Pana Stworzenia, niczym nie popartą pewnością o samostanowieniu, samowystarczalności i mocy? Nie chciałam tak myśleć. Nie chciałam poddawać w wątpliwość tego wszystkiego, czego nie dalej niż kilka dni temu byłam pewna jak tego, że oddycham. Cóż jednak z tego, kiedy... już chyba nie panowałam nad swoimi myślami?

Z tych rozważań wyrwał mnie kolejny telefon.

- Halo – rzuciłam w słuchawkę, nawet nie próbując zgadnąć, kto może być po drugiej stronie.

- Spotkamy się? – spytał bez żadnych ceregieli ten, którego najbardziej nie chciałam i jednocześnie chyba... najbardziej chciałam usłyszeć.

- Gdzie jesteś? – spytałam, jeszcze nie wiedząc co zrobię.

- Pod twoim domem.

Spojrzałam przez okno, ale nic nie zobaczyłam, bo było już ciemno.

- Wobec tego wejdź na górę – zaproponowałam.

Przynajmniej sobie siebie obejrzę – dodałam w myślach.

- Nie. Ty zejdz do mnie – odparł, a mnie chwilowo zatkało na taką bezczelność.

- Hej, jesteś tam? - spytał, bo nie doczekał się odpowiedzi.

- Jestem – warknęłam wściekle, po czym... zarzuciłam płaszcz na ramiona i zbiegłam na dół.

* * *

Tego było zdecydowanie za wiele. Zdalne sterowanie życiem z tajnego centrum dowodzenia po prostu przestało działać. Nie widząc więc innego rozwiązania, po kolejnej (w sensie dosłownym) randce w ciemno, postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce. To nie mogło dużej trwać. Nasze intymne spotkania, choćby nie wiem ile dawały mi spełnienia, jakie wzbudzały dreszcze i odkrywały dotąd nieznanne obszary mojej kobiecości – zawsze odbywały się na jego żądanie, by nie rzec – skinienie. I nie mogło tak być. Bo było to dla mnie, o ile nie... upokarzające, to uwłaczające wszelkim moim zasadom. Postanowiłam temu zapobiec i po wstępnej analizie sytuacji okazało się, że nie jestem wobec jego „incognito” aż tak bardzo bezsilna. Wiedziałam, kto go znał i na kim mogłam wymóc informacje na jego temat. Takie informacje, które to mnie pozwoliłyby najść go zniecka i w jakiśkolwiek sposób zapanować nad sytuacją. Tym kimś był aspirant Czesław. Znów więc nie poszłam do pracy, tym razem nie w celu bezczynnego przesiedzenia całego dnia, lecz przeciwnie: aktywnego i twórczego działania.

Na początek udałam się do komendy. Strategicznie ubrana, uczesana i umalowana. Nie na Królu chciałam zrobić wrażenie, ale od wypadku, gdyby zaraz po tej wizycie udało mi się spotkać ze zwyrodnialcem, postarałam się o jak najkorzystniejszy imaż. Wszystko mi sprzyjało. Policjantka z okienka okazała się być (!) moją dawną szkolną koleżanką. Na szczęście przypomniałam sobie, choć z pewnym trudem, że miała na imię Agnieszka. Pogadałyśmy przez chwilę prywatnie, po czym ona

zaanonsowała mnie Królowi. Ten akurat był u siebie w pokoju i zszedł po mnie na dół wyjątkowo prędko.

- Mamy jakieś nowe wieści w sprawie, czy jak? – zapytał, podsuwając mi krzesło.

- Nie mamy – odparłam. – To ja przyszedłam do pana, aby się czegoś dowiedzieć.

- O? – zdziwił się aspirant.

- I nie dam się zbyć w żaden sposób – postraszyłam go na wstępie.

- Słucham więc – funkcjonariusz tym razem niezbyt chętnie „zamienił się w słuch”.

- Chodzi mi, proszę pana, o tego zboczeńca-mordercę, który śmiertelnie poturbował sąsiadującą ze mną kobietę. Chcę wiedzieć kim on jest i gdzie jest teraz.

- Zaraz, zaraz – zniesmaczył się na twarzy aspirant. – Nie oczekuje pani chyba, że będę tu, z tego miejsca wyjawiał pani szczegóły śledztwa?

- Nie musi być z tego miejsca – zgodziłam się. – Może być na przykład... na zewnątrz, za kioskiem ruchu.

- Raczej opacznie się rozumiemy. Ani z tego, ani z innego. Śledztwo jest tajne.

- Teraz tajne, tak? – spytałam z kpina w głosie. – A nie dalej jak tydzień temu z kawałkiem, tu, z tego miejsca wyznał mi pan, że ów zwyrodnialec jest pańskim znajomym?!

- Ale... o którego konkretnie zwyrodnialca pani chodzi?

- Jak to, o którego? To ilu ich było wtenczas w krzakach?

- Jeden.

- No więc o tego.

Aspirant w sposób widoczny rozważał coś w sobie.

- O tego, który napadł na tamtą kobietę, czy o tego, który napadł na panią?

- Przecież sam pan mówił, że chodzi o jednego i tego samego zbrojaka!

- A pani o którego zbrojaka chodzi? – spytał, czym doprowadził mnie niemal do szaleństwa.

- O tego, który napadł na mnie! I natychmiast żądam jego personaliów i miejsca pobytu. Albo zgłaszam sprawę do CBA. No?! Słucham?

Chyba wywarłam na Królu wystarczające wrażenie, bo zaraz złapał za telefon i połączył się z kimś.

- Artur, jesteś przez chwilę u siebie? Wobec tego zaraz tam będę. Będziemy – poprawił się, anonsując mnie i siebie u kogoś.

- Rozumiem, że ten Artur wie o kogo chodzi? I mi powie? - Spytałam ciągle groźnym tonem.

- Wiedzieć wie – odparł Król. – Ale co powie, trudno przewidzieć...

W pokoju, do którego wprowadził mnie aspirant i w nim zostawił, zastałam jakiegoś policjanta w cywilu, stojącego przodem do okna i tyłem do mnie.

- Pan... Artur, czy tak? – spytałam nie bardzo wiedząc jak zacząć.

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę półprofilem i wsadził rękę w kieszenie.

Nieźle się zapowiada – pomyślałam ponuro. Facet nie odpowiadał.

- Drogi panie, ja rozumiem, że obyczaje jakie tu panują bywają specyficzne, ale... – zaczęłam z zamiarem spojrzenia mu twarz, na co on znów odwrócił się do mnie tyłem.

- ...rozumiem. Będziemy bawili się w ciuciubabkę! Tak?

- A właściwie... nie będziemy, bo i po co? – opowiedział i tym samym o mało nie zwałił mnie z nóg.

To był głos mojego tajemniczego kochanka! Teraz ja zamilkłam na amen. Facet odwrócił się wolno w moją stronę, a ja już w trakcie tego manewru chłonęłam każdy element jego wyglądu. Artur... czy jak mu tam było, był piękny. Że był wysoki, smukły i umięśniony zarazem, to już wiedziałam. Miałam przecież okazję obejmować go i dotykać. Ale miał też niesamowicie harmonijną twarz: wysokie czoło, prosty nos, kształtne usta, regularny owal twarzy z dość mocno zarysowaną żuchwą. Był szatynem o krótkich gęstych włosach i jasnych, niebieskich lub zielonych oczach. Kształt i oprawę oczu też miał piękne.

- Kim jesteś? – spytałam, gdy odzyskałam mowę.

- Gliną. Tylko gliną, kochanie. I niestety nie mam w sobie nic ze zwyrodniałego mordercy, co cię tak dotychczas fascynowało - odparł z właściwym sobie cynizmem.

- Jesteś skurwielem po prostu - warknęłam, wyprowadzona z równowagi. - I owszem, masz w sobie sporo ze zwyrodnialca. Choć akurat nie to mnie w tobie pociągało.

- A czemuż to waćpanna gniewna taka? - spytał z sarkazmem. - Czyż nie czerpaliśmy z naszych spotkań po równo? A skoro tak, jakie znaczenie ma kim jestem i jak wyglądam?

Coś mi tu... niejasno błąkało się po głowie. Kojarzyło i jakby chciało przypomnieć o sobie, aczkolwiek niezbyt chętnie.

- Doprawdy? A czy dla ciebie mój wygląd również nie miał znaczenia? - spytałam, starając się dać swojej pamięci jak najwięcej czasu.

- Jasne, że miał. W końcu my, mężczyźni jesteśmy wzrokowcami. Dla nas uroda obiektu seksualnego jest bardzo istotna.

Zamarłam. Zamarłam i zawrzałam.

- Dla was podobno bardziej liczy się wnętrze, ale tak naprawdę kto was tam wie? - mówiąc to Artur odwrócił się do mnie jeszcze o dziewięćdziesiąt stopni.

Moim oczom ukazał się... niesamowicie zmasakrowany fragment jego twarzy. Mniej więcej w jednej trzeciej jego czoło, policzek wraz z uchem i sporym fragmentem szyi pokryty był straszliwymi bliznami, jak po oparzeniu. Z tej perspektywy mężczyzna nie był już piękny. Był... przerażający. Nawet kształt jego twarzy nie był już tak regularny.

- Diabeł! - olśniło mnie nagle.

Rozpoznałam w nim bowiem mojego, paskudnego z wyglądu wybawcę z łap (a raczej rączek) Armanda. Teraz wszystko mi spasowało: i jego głos i sposób w jaki mówił, wzrost, wygląd, a nawet... zapach.

- Dobrze. Jeszcze nikt mnie tak nie określił - zaśmiał się, a wówczas lewy kącik jego ust wyraźnie opadł w dół.

- Nie chodzi o twój wygląd, tylko charakter - wyjaśniłam.

Nie zamierzałam przecież komentować jego skazy w taki sposób

- To ty byłeś... wtedy, w Krakowie, w hotelu...

- Owszem. Ale skoro ja jestem diabłem, kim ty jesteś, kobieto? Czyż to nie ty mówiłaś mi owego wieczoru, że najważniejsze są instynkty, że to nimi właśnie należy kierować się w życiu, a wszystko inne to wyłącznie zbędne kurtuazje i komplikacje? Jak widzisz, i ja wyznaję podobny pogląd i stosuję go w praktyce. Razem więc hołdujemy jednemu z tych instynktów. Co więc jest nie tak? Hm? Czyż to nie jest ten najuczciwszy z uczciwych i najklarowniejszy z klarownych sposobów na życie, o którym z taką pasją i przekonaniem opowiadałaś mi wówczas w hotelu?

Teraz już nie wiedziałam, co myśleć, a tym bardziej, co mówić. Bo w tym momencie uświadomiłam sobie, że zachowanie Artura względem mnie w zasadzie pokrywało się z tym, co było istotą mojej własnej ideologii. Tyle że ja postępowałam ze znacznie większym wyczuciem stylu oraz taktem. On zachowywał się jak ostatni gbur.

- No więc? Nadal uważasz, że jestem skurwielem? I diabłem?

- Co robiłeś w Krakowie w tym samym hotelu co ja? – spytałam, by nie musieć odpowiadać.

- Robiłem za twojego ochroniarza. Do dziś zresztą robię. Nie zauważyłaś?

- Jasne. Zauważyłam, jak cholera. Ale przed czymże mnie tak gorliwie chronisz, jeśli można spytać?

- Przed wszystkim i wszystkimi – uśmiechnął się tą ładniejszą stroną twarzy i znów był niesamowicie... piękny.

- Nie rozumiem. Ale spróbujmy inaczej: dlaczego?

- Od pewnego czasu jestem odpowiedzialny... albo raczej... powiedzmy, że - ważył słowa – prowadzę pewne śledztwo. I jakby na tę sprawę nie spojrzeć, z której strony, że tak powiem, nie ugryźć problem, zawsze jakieś wątki prowadzą do ciebie. Dlatego.

- Jak to... do mnie? Chodzi o tę szajkę, która ryje w galerii w poszukiwaniu skarbu?

- W pewnym sensie.

- To znaczy?

- Tak, skarbu – potwierdził, aczkolwiek niezbyt skwapliwie. – Drogocennych... rzeczy.

- To bzdura! Nie ma żadnego skarbu!

- Jest, niestety - westchnął Artur.

- Ale... w takim razie ja chcę wiedzieć! Jaki skarb? O co chodzi?

- Tę sprawę, moja pani, zostaw mnie. A w zamian za to - ja od teraz zostawię w spokoju ciebie – oznajmił. – Zadowolona?

Wsadził ręce w kieszenie i znów odwrócił się do okna, dając mi tym samym do rozumienia, że spotkanie skończone.

ROZDZIAŁ XII

Po drugiej stronie medalu

Jak powiedział, tak zrobił. Przez kolejne dni w moim życiu, które ostatnio nabrało nadzwyczajnego tempa, zaległa martwa cisza. Artur nie pokazywał się ani nie dzwonił, rabusie z kamienicy też jakby odpuścili... Właściwie nastąpiły wszelkie warunki ku temu, by w moim życiu wszystko wróciło do normy. I pozornie tak się stało: chodziłam do pracy, tam robiłam co do mnie należało, z pracy wracałam do domu, gdzie z kolei oddawałam się zwyczajnym, typowym dla mnie zajęciom, czyli patrząc od strony praktycznej, nierobieniem niczego. Czas prywatny zajmowało mi słuchanie muzyki, oglądanie filmów, czytanie, utrzymywanie mieszkania w jako takim porządku, zakupy. I wszystko byłoby jak najbardziej po staremu, gdyby nie to, że coś mi się stało od środka... Coś we mnie wlało, wpełzło podstępnie, jak ten wąż, a raczej Szatan pod postacią węża. Z pewnością Szatan. A z pomocą przyszedł mu mężczyzna. Nie Grześ, nie Krzyś, nie Romcio, ani żaden inny wyrób męczyznopodobny. To był po prostu mężczyzna: Artur... Zwykły facet: mocny, nieskomplikowany, konkretny, a przy tym... gbur i cham! Ale trzymając się jeszcze przez chwilę terminologii, taki... biblijny prototyp gatunku. Ten, który wystarczyło, że był, by kobiecie same gięły się kolana. Nie ustrojony w piórka, nie używający gładkich słówek, nie piejący serenad pod oknem. Po prostu samiec, przy którym odzywała się w kobiecie atawistyczna potrzeba całkowitej uległości.

Ale zanim to wszystko się stało, wzbudził we mnie dawno już zapomniane uczucie: strach. Strach przed tym, co się wewnątrz mnie

działo, strach przed tym, do czego to wszystko nieuchronnie zmierzało... Bo teraz, paradoksalnie nie umiałam pogodzić się z jego nagłą nieobecnością. Najpierw łapałam się tylko czasem na tym, że czekam. Na telefon, na czarne wielkie auto wylaniające się zza rogu, na niego samego zacząjonego na mnie przy garażach. Później uświadomiłam to sobie z całą przerażającą rozciągłością.

- Ada... - odezwała się któregoś dnia dość nieśmiało Olga. - Daruj bo wiem, że nie cierpisz jak się wtrącam w twoje sprawy, ale mi to nie daje spokoju...

- Wal - przyzwoliłam nieroztropnie.

- Bo wiesz, ja widzę, że coś się z tobą dzieje. Że coś jest nie tak i że całkiem nie jesteś sobą od jakiegoś czasu.

- To widać? - zdziwiłam się, bo w moim przekonaniu doskonale stwarzałam pozory normalności.

- Tak, widać. A konkretnie od czasu... no... tego gwałtu - doprecyzowała.

- Gwałtu na moim jestestwie...

- No widzisz! Moim zdaniem sprawa przedstawia się znacznie gorzej, niż wygląda. Daruj Ada, ale obawiam się, że nie poradzisz sobie z tym sama.

- To znaczy?

- Sonia wspominała, że gdybyś chciała porozmawiać...

- Jak będę chciała, to porozmawiam - ucięłam temat.

A tymczasem miałam wielką ochotę wyjaśnić Oldze, na czym polegał ten gwałt. Że cała przemoc wobec mnie polegała na złamaniu mojego zadufania w sobie, mojej wiary w swoją niezależność i pewności o swojej władzy nad sobą. Miałam chęć wykrzyknąć jej, że przez kilka ostatnich wieczorów nie robię nic innego, tylko marzę o kolejnym gwałcie. Do bólu i do szaleństwa. I że nie mam pojęcia co się ze mną dzieje! Nie zrobiłam tego, rzecz jasna. Wystarczy, że przyznałam się do tego przed sobą. Na więcej nie pozwolił mi honor i resztki dumy dawnej Adeli Dobrochny Topor.

Ten mój coming out sprawił, że puściły mi kolejne hamulce i zrobiłam coś, przed czym już od jakiegoś czasu się broniłam: zadzwoniłam do komendy. Poprosiłam do telefonu Agnieszkę, koleżankę, którą ostatnio tam spotkałam. Naściemniałam jej trochę by bez podejrzeń spytać ją o nazwisko Artura.

Artur Stroński – tak się nazywał. Myślałam, że Agnieszka powie cośkolwiek więcej na jego temat, tak sama z siebie jak to baba, ale nie uрониła ani słowa. No cóż. Już w domu przy pomocy Internetu zaczęłam swoje własne śledztwo. Weszłam kolejno na wszystkich Arturów Strońskich jakich wynalazły mi Google, ale żaden z nich nie był tym, o którego mi chodziło. Ja rozumiem, że nie miał Facebooka, ani profilu na Naszej Klasie, ale jakaśkolwiek notka mogłaby się pojawić... Czyżby jako funkcjonariusz policji był aż taki utajniony?

Rozmyślając o tej jego „tajności” posiedziałam trochę w fotelu z lampką wina, broniąc się jednocześnie, a chwilę potem kapitulując przed kolejną niemądrą, ale nieuchronną czynnością: próbą kontaktu z nim samym. Los dał mi jeszcze możliwość wycofania się, bo, jak poinformował mnie dyżurujący policjant, Artura nie było. Miał być rano. Oczywiście, po raz kolejny zapałam się, że już więcej nie zadzwonię – skończyło się jednak na tym, że przesiedziałam całą noc w fotelu gapiąc się w zegar. W swoim postanowieniu wytrwałam do dwadzieścia po ósmej...

– Stroński, słucham – odezwał się po kilku sygnałach w słuchawce.

– Ada – przedstawiłam się ze ściśniętym gardłem.

– Słucham? - powtórzył.

– To ja... Ada Topor, właścicielka galerii staroci - dodałam przekonana, że nie wie z kim rozmawia.

– Wiem – padło krótko z słuchawki. - Proszę mówić, o co chodzi.

Zatkało mnie.

– O to, co się między nami wydarzyło!!! - wykrzyczałam po chwili. - Tak... Tak się nie robi!

– Jak?

- Tak, jak ty postąpiłeś ze mną.
- Przecież pytałem. Powiedziała pani, że tego chce.
- Paaani???
- Tak. Pani. Z całym szacunkiem, mimo wszystko ...
- Pomiął p a n jeden szczegół! W myśl moich zasad, na które pan się tak ochoczo powołuje, takie rzeczy się uzgadnia na wstępie.
- Ale... co się uzgadnia?
- Określa się ramy układu.
- Mój układ to okazjonalny seks, według potrzeb. Do tego chyba nie trzeba podpisywać specjalnego paktu, a pani uważa inaczej?
- Jest pan... wrednym, nieokrzesanym chamem. Prymitywnym gburem!
- Chwileczkę - odezwał się niezwykle spokojnym głosem. - Bo ja chyba nic nie rozumiem. Może to pani jakoś uzasadnić?
- Nie!!! - wrzasnęłam w słuchawkę, bo nie mogłam.
- Coś ci doradzę, dziewczyno... Chyba musisz zrewidować albo swoje poglądy, albo uczucia, bo ja mam wrażenie, że zaczynasz się w to angażować. A tego chyba oboje byśmy nie chcieli?
- Rozłączyłam się. Poczułam się, jakby dał mi w twarz. Albo gorzej, jakby mnie w tę twarz kopnął swoim paskudnym buciorem. Nawet nie wiem kiedy zaczęłam ryczeć. Szlochać, łkać i wreszcie spazmować. Łzy ciekły mi nieprzerwanym strumieniem z oczu, nosa, dławiałam się nimi i traciłam oddech. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałam. Na pogrzebie babci i dziadka? Nie. Wtedy, kiedy straciłam kamienicę? Nie, nie pamiętałam, po prostu. Ale cóż z tego, kiedy całe lata owijania się w kokon, niteczka po niteczce, coraz staranniejsze, coraz ciaśniejsze, coraz grubiejsze - okazały się cholery warte?
- Wystarczyła sekunda. Może nawet ułamek sekundy, gdy cały ten misterny pancerz opadł ze mnie i zostałam goła, goluteńka jak noworodek, krucha i bezbronna jak ciastko z galaretką, delikatna jak bańka mydlana, wrażliwa, jak opuszek palca niewidomego. Rozsypałam się, rozpadłam na kawałki, w drobny mak. Miałam jeszcze nadzieję, że

w pozostałych dziedzinach mojego życia wszystko będzie funkcjonowało jak dawniej. A to, co ze mną zrobił ten parszywy drań uda mi się jakoś przed otoczeniem ukryć. Bo teraz – tu już nie miałam wątpliwości – z pewnością więcej się przed nim nie upodłę. Ani sama, ani jemu na to nie pozwolę.

Na tę okoliczność upiłam się czerwonym winem do cna. Do utraty świadomości. I chyba wysłałam Oldze jakiegoś bełkotliwego SMS-a na temat mojej jutrzejszej nieobecności w pracy. Olga, jak to Olga, jego treść jakoś zrozumiała i zaraz rano przybiegła do mnie wraz z Sonią.

- Ołó! Chwała Bogu, jest tylko pijana – poinformowała Sonię, wachlując się dłońmi.

- I co z tego? Pisałam ci przecież że nie przyjdę – odparłam całkiem składnie.

- To rozszyfrowałam, ale nie wiedziałam z jakiego powodu. Pomyślałam, że coś ci się stało.

- Bo mi się stało. Ale już mi przeszło, a ty od razu do mnie z psychiatrą? Taka jesteś koleżanka?

- Otóż to. Gdybym nią nie była, nie martwiłam się o ciebie.

- Ty się o mnie maaaaartwisz, moja prawa, uczciwa, cnotliwa ko... współpracownico? - spytałam kpiąco. - O? A któz cię do tego upoważnił? Ja??? Bo ani nasze prywatne ani służbowe stosunki nie tłumaczą tego.

- Soniu, pogadaj z nią proszę - Olga przepchnęła psychiatrę przez próg. - Ty to zrobisz na pewno fachowo.

- Nie! - zaprotestowałam kategorycznie. - Żadnych rozmów!

Tu Olga bardzo się w sobie zawzięła: używając obu rąk równocześnie wepchnęła mnie i Sonię w głąb salonu, sama zaś wyszła trzaskając drzwiami.

- Ja wiem, że możesz mnie zwyczajnie wyprosić, ale... Spróbuj chociaż otworzyć się na moją pomoc – zaczęła bardzo subtelnie Sonia. - Zapewniam cię, że tego typu traumy nie są niewyleczalne. Potrzeba tylko mniej lub więcej czasu. I chęci.

- Co ja ci się tu będę otwierała – wzruszyłam ramionami. - W gruncie rzeczy nic się takiego nie dzieje. Samo przejdzie.

Sonia pokręciła głową.

- Samo nie przejdzie. Możesz to co najwyżej wyprzeć do podświadomości, ale ono wciąż tam będzie. Niewidzialne, ale równie niebezpieczne. Będzie tylko czekało, kiedy wyskoczyć i ze zdwojoną siłą uderzyć w twoją psychikę. A wtedy może być znacznie gorzej.

- Jak to... ze zdwojoną siłą? - zaintrygowała mnie.

- Tak to. Jak z cudzymi dziećmi: jeśli widziałas któreś ostatnio jak miało pięć lat, to wydaje ci się, że ono dalej takie jest. Ale to, że jeśli czegoś nie widzisz, wcale nie oznacza, że ono w tym czasie nie rośnie i się nie rozwija. W przypadku wypartych dramatów zamienia się w bombę z opóźnionym zapłonem...

- Straszysz mnie, Sońka.

- Po prostu uprzedzam, bo chcę ci pomóc.

Naprawdę mnie wystraszyła, ale nie tym, co jej się zdawało. Nie jakąś bliżej nieokreśloną przyszłością, ale tym co działo się teraz... Z tego wszystkiego nagle wytrzeźwiam całkowicie. Usiadłam w fotelu. Sonia widać odczytała to jako przyzwolenie na rozmowę, bo usiadła naprzeciw.

- A czy... jak to się objawia? Wybuch takiej bomby? - spytałam. - Po czym to poznać?

- Po bodźcu, jaki go wywołał zazwyczaj.

- To znaczy?

- Bodziec jest tego samego rodzaju, co wyparta sytuacja. Jest to albo zdarzenie o podobnym charakterze, albo na przykład przedmiot lub osoba, która brała w nim udział. Albo uczucia mu towarzyszące. Cokolwiek, co przypomni ci tamte okoliczności.

- Nie – zaprzeczyłam. – Takiego czegoś to ja nigdy nie wyparłam. - Niczego i nikogo podobnego - Wiem – uśmiechnęła się i dotknęła mojej dłoni. - Bo najpierw następuje wydarzenie, a potem wyparcie, nie na odwrót.

- Oj, ty nic nie wiesz, Soniu. Bo ty... wy myślicie, że mój dramat to ten niby gwałt. Olga bardzo się myli, co do mnie... Bo ona też nic o mnie nie wie...

- Więc powiedz mi o tym, kochana – zachęciła łagodnie.

Opowiedziałam jej więc dokładnie wszystko, co do tej pory w moim życiu łączyło się z mężczyznami. Od okresu dojrzewania, po dzień dzisiejszy. Bez żadnych faktów – po prostu od strony uczuć, jakie towarzyszyły moim poszczególnym związkom, w tym małżeństwu z Eneaszem i jego rozpadowi. Później wyjaśniłam jej w skrócie pojęcie układu damsko-męskiego i zasady jego funkcjonowania. Skończyłam na pobieżnym, aczkolwiek wiernym pod względem emocjonalnym opisie „gwałtu”. Irytowało mnie to co mówiłam i moje zachowanie w czasie, gdy o tym mówiłam. Drżał mi głos i drżały dłonie.

- Bożesz Ty mój! - skomentowała później Sonia. - Jak można było coś takiego sobie zrobić?

- Sorry, ale nie tego się po naszej rozmowie spodziewałam!

- Nie, to ja przepraszam – zreflektowała się prędko. - W życiu bym nie pomyślała, że nosisz w sobie tyle ran!

- Nie noszę. Połatałam je sobie sama jak potrafiłam.

- Taaa.... Sznurkiem konopnym i brudną, szewską iglicą – mruknęła Sonia pod nosem. - I teraz masz, wyniki lekceważenia podstawowych zasad higieny.

- Co mi konkretnie dolega, pani doktor? Czy to uleczalne? - spytałam siląc się na dowcip.

- Żeby postawić ci diagnozę, nie trzeba być lekarzem – odparła wolno i z namysłem. - Zakochałaś się w tym mężczyźnie, oto co ci dolega.

- O, nie! Nieprawda!!! To niemożliwe, nie ma takiej opcji. Wszystko inne, łącznie z tyfusem plamistym możliwe jest bardziej od tego – zaciętrzewiłam się nie na żarty. - To zwykłe, najzwyczajniejsze... fizyczne zauroczenie!

Sonia powoli, kilkakrotnie pokręciła przecząco głową, patrząc mi przy tym prosto w oczy.

- W tej akurat sferze żadnych deficytów nie miałaś: przeciwnie: radziłaś sobie całkiem dobrze i opieram się tu wyłącznie o twoje własne słowa. Z tego co mówisz, zawsze był koło ciebie ktoś, kto gotów był zaspokoić twoje potrzeby fizyczne. Tak? Jakiego więc rodzaju braki towarzyszyły ci przez szereg, szereg lat? No? U-czu-cio-we!!!

- Gdyby tak było, pewnie bym się dawno zakochała w którymś z nich. Chcąc czy nie chcąc, jak rzekomo teraz mi się przydarzyło.

- Niezupełnie – Sonia najwyraźniej rozkręcała się w swojej polemice. - Po prostu wybierałaś podświadomie takich mamłasów, którzy nie byli w stanie przebić się przez twój pancierz. A ten... cię po prostu nie pytał o zdanie. On cię zdobył.

- O nie, Soniu. Niedoczekanie jego – zaprotekowałam z przekonaniem. - To już wolę szybką, bezbolesną śmierć.

- Uważaj co mówisz – ostrzegła mnie Sonia. - Bo nigdy nie wiesz, czy nie mówisz czegoś w złą godzinę.

ROZDZIAŁ XIII

Pogarda

Sonia, zanim wyszła, została zobowiązana do absolutnej dyskrecji. Trochę ją tym chyba uraziłam, wszak tajemnica lekarska obowiązuje ją z urzędu, zwłaszcza w tak delikatnej dziedzinie, jak psychiatria. No cóż, jej konkluzje były dla mnie wyjątkowo niehonorowe, a ja wolałam na zimne dmuchać. Nie zniosłabym, gdyby Olga, w oczach której uchodziłam za super zrównoważoną zimną, cyniczną i... wredną harpię, zmieniła sądy o mojej osobie na wręcz przeciwne. I Grzegorz. I jego siostra Jola. Zgroza!

Honor i godność były teraz jedynymi i ostatnimi rzeczami, które trzymały mnie w ryzach samodyscypliny. Zawzięłam się w sobie. Pełna bliżej nieokreślonego żalu do świata postanowiłam odciąć się od niego jeszcze bardziej. Zakochana? Ja??? Wolne żarty. Niedoczekanie. Otóż właśnie udowodnię, i Soni, i temu chamskiemu „lowelasowi bez zobowiązań”, że jest całkowicie odwrotnie. I że jedyne uczucie, jakie żywię do owego, napędzanego testosteronem osobnika jest pogarda.

Wydawałoby się, że wszystko wokół mojemu postanowieniu sprzyjało. W najbliższym czasie Artura ani nie widziałam, ani nie słyszałam, starałam się o nim nie myśleć. Jedynie czasem... na mgnienie sekundy, jakiś błysk przypomnienia... słowo, gest, zapach... albo na dźwięk tego, nie danego mu przecież na wyłączność imienia, zamierało mi serce. Ale tylko na moment i czasem. Ogółem radziłam sobie z tym dobrze.

W galerii panował względny spokój. Od czasu, kiedy sprawą dziwnych zająć z nią związanych zajęła się (nie wiadomo czemu, sama z siebie)

policja, „samopomoc” Olgi zesłała głęboko do podziemia. Mimo, iż podejrzany proceder w wykonaniu podejrzanych opryszków całkowicie ustał, dziewczyny Olgi były nadal programowo czujne i podejrzliwe. Spotykały się teraz wyłącznie we własnych mieszkaniach, wieczorami i tam analizowały szczegółowo wydarzenia bieżącego dnia: kto, o której, po co i z jakim skutkiem. Wnioski owe skrupulatnie notowały. I chociaż nic z tych ich poczynań nie wynikało, były konsekwentne do bóleści. No cóż, widać ta „praca” dawała im wyraźną satysfakcję.

O moich ostatnich przeżyciach się w tym gronie nie rozmawiało. Ani z Sonią sam na sam, ani z Olgą, ani na szerszym forum. W każdym razie nie przy mnie. Byłam pewna, że stoi za tym Sonia. Być może zaleciła dziewczynom jakiś określony sposób postępowania względem mnie. Odpowiadało mi to, a co do reszty było mi wszystko jedno.

A zatem przychodziłam do galerii codziennie rano i zajmowałam się swoimi obowiązkami rutynowo. Wzmógł się obowiązkami, bo taki okres „średnio wiosenny” jak teraz, sprzyjał ryciu w ziemi. Już od dawna nie było przymrozków – jeszcze nie było zbyt bujnych traw i innych chaszczy. Rok rocznie rozszerzała się moda na szukanie skarbów przy pomocy wykrywaczy metali, a wszelkie okoliczne znaleziska znoszono mi do galerii. To była istna plaga – od metalowych guzików, uznanych przez znalazców za starożytny, przez pojedyncze monety, po łuski po nabojach, kawałki łańcuchów, a nawet poniemiecki hełm. Do tej pory wyręczałam się w zbywaniu takich klientów Olgą, teraz zajmowałam się nimi sama. Tłumaczenie niedouczonego młokosom, że złotówka z 1973 roku nie przedstawia żadnej wartości, a kawał zardzewiałego łańcucha znalezionej na pastwisku nie jest średniowieczną kolia, sprawiała mi dziwną satysfakcję. I jakkolwiek unikałam dotychczas podobnych dysput z zamiłowaniem do świętego spokoju – teraz dzięki nim ten spokój sobie zyskiwałam. Przez poczucie panowania nad swoimi sprawami.

Więcej roboty miała też w takich chwilach policja, która objęła galerię dyskretną obserwacją. Bo było co i kogo obserwować...

Ale wiosna, oprócz grzebania w glebie, sprzyjała też remontom i przeprowadzkom, a te już bywały dla nas prawdziwymi żniwami. To, co

niegdyś większość ludzi wyrzuciłaby na śmietnik jako niepotrzebne, opatrzone, czy niemodne – dziś na wszelki wypadek poddawano oględzinom Olgi. W ten sposób w jednym tylko tygodniu weszłyśmy w posiadanie kompletu przedwojennej porcelany, szkatuły ze starą, choć niekoniecznie szlachetną biżuterią, sypialni w stylu Art deco i toaletki z marmurowymi amorami i kryształowym lustrem. Trafiały się też same lustra z rzeźbionych ramach, wymyślne żyrandole, wazon, i wiele innych przedmiotów, które w mojej galerii nabywały całkiem nowego „smaku”. I, rzecz jasna, kilkakrotnie zyskiwały na wartości. A, i obrazy były. Nawet sporo...

Tak więc, na niedostatek zajęć nie narzekałam. Gorzej było w domu, gdzie i czas i miejsce zyskiwały natychmiast po przekroczeniu progu jakiegoś innego, niesprzyjającego wymiaru. Moje mieszkanie nie było już dla mnie tak bezpiecznym i sterylnym azylem, jak dotąd. Zbeczcęścili je bowiem ludzie, ostatnimi czasy przechodzący do mnie zbyt często, zbyt nachalne dzwonki telefonów i dzwonka u drzwi. Wcześniej nie miałam tego ustawicznego poczucia, że oto w każdej chwili ktoś może zechcieć tu wejść, albo zatelefonować. Albo w inny jakiś sposób zburzyć mój spokój. By zagłuszyć w sobie tę nachalną myśl wieczorami oglądałam telewizję, słuchałam radia, czytałam gazety.

Moja pogarda do Artura z każdym dniem zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i obejmować swoim zasięgiem coraz większe obszary mojego życia. „Pogardliwy dystans do rzeczywistości” – tak brzmiało moje doraźne, awaryjne motto. Z wysokiej góry patrzyłam zatem na sprawy i ludzi: na potencjalnych klientów, potencjalne transakcje, potencjalne zyski. I na Olgę razem z jej samopomocowymi koleżankami. I na kręcących się wszędzie utajnionych policjantów.

Gdyby moja postawa pozwalała mi się czemukolwiek dziwić (a nie pozwalała – zdziwienie bowiem zmniejszało dystans i osłabiało pogardę), zdziwiłabym się z pewnością, dlaczego moja galeria jest ostatnimi czasy dla organów ścigania taka ważna? Owszem, ktoś tu uprawia jakiś zbrodniczy proceder, ale czy tych kilku chłystków najwyraźniej

poszukujących skarbu kuzynki pradziadka jest wartych zainteresowania na tak rozległą skalę? I wciągania w sprawę aż tylu wszelakich służb?

No cóż, skoro nie mogłam się temu dziwić, zaczęłam oczywiście pogardzać tymi ich działaniami, planami operacyjnymi i wszystkimi trybikami w całej tej maszynie.

* * *

- Dzień dobry, ja do Adeli – usłyszałam ze swojego biura raczej obcy, damski głos.

- A może ja mogę w czymś pani pomóc? Szefowa jest zajęta – padła odpowiedź Olgi.

Na chwilę zapanowała cisza.

- No cóż, zapytam – skapitulowała po chwili.

Weszłam do galerii, zanim zdążyła to uczynić. Po drugiej strony lady stała... Agnieszka. Moja szkolna koleżanka, którą spotkałam w komendzie.

- Cześć – zagadałam do niej konspiracyjnym szeptem – ty... też?

- Ale... że co ja? – Agnieszka uniosła w górę skąpe kępkę brwi.

- No, czy też bierzesz udział... w tym... tajnym przedsięwzięciu – zatoczyłam głową wymowny krąg.

- A, nie, ja prywatnie. Szukam jakiegoś ładnego drobiazgu dla matki. Na imieniny.

Zaprezentowałam Agnieszce wszystko, co moim zdaniem mogło przypaść do gustu jej rodzicielce i zarazem nie zrujnować policyjnej kieszeni mojej koleżanki. Olga tymczasem wykorzystwała sytuację i pobiegła na zaplecze, pewnie celem zdzwonienia się z „samopomocą”.

- No i co? Załatwiłaś, co tam miałaś z Arturem? – spytała Agnieszka ni z tego ni z owego, wpychając na palec kolejny pierścionek.

Mam nadzieję, że nie było widać nagłego wstrząsu, jakiego doznała w tym momencie moja dusza....

- Aaaa... tak, tak - odparłam pośpiesznie. - Podobają ci się pierścionki?

- Bardzo, ale nie wiem, który wybrać... Dziwny jest, nie?

- Który?

- No... Artur. Jak cię potraktował?

- Normalnie. A jak miał potraktować?

Agnieszka spojrzała na mnie spode łba.

- Opryskliwie i gburowato?

- Nie, a czemu?

- Taki jest. Nie jedna z nas sobie na nim połamała zęby.

- To znaczy?

- No wiesz, przystojny z niego gość, mimo... wszystko. Błyskotliwy, inteligentny, ustawiony życiowo... elegancki dom, dobre auto, te sprawy...

- Może bransoletki ci pokazać? Albo coś z porcelany? - spytałam skwapliwie, bo temat zaczynał mnie irytować. A nuż Agnieszka czegoś się domyślała?

- Jasne, pokaż, chętnie pooglądam. I wiesz... babki na niego lecą. Ale ten skurczykoń jest jak forteca: wielki, zimny i nie do rozebrania.

- Skąd to wszystko wiesz? - wymusnęło mi się nieprofesjonalnie.

- Bo jak się znowu zrobił do wzięcia, to sama... nie miałam nic naprzeciw, żeby z nim coś... tego. Myślałam, że raczej będzie lgnąć, a on nic a nic, przeciwnie. Szok! Taki się z niego zrobił mur beton. Pokaż mi jeszcze tamten zegarek - Agnieszka wskazała na niewielki, stojący zegar.

- Ja miałam do niego wyłącznie służbowa sprawę, więc mnie potraktował służbowo - objaśniłam, póki nie było za późno.

- Wiem, wiem, on kieruje cały czas tą samą akcją, tylko że teraz zahaczyło o ciebie.

- Jak... o mnie? - wzdrygnęłam się.

- No, o twój sklepik przecież. Dobra, zapakuj ten zegarek. Nie wiem ile kosztuje, ale targuję się, jakby co.

Jak dla niej, zaniżyłam cenę zegara krytycznie. Coś mi mówiło, że dobre stosunki z tą koleżanką mogą mi się jeszcze przydać...

* * *

– O, sprzedałaś zegar? – Olga wprawnym okiem odgadła przedmiot transakcji. – I dobrze.

– Sprzedałam, ale po mocno zaniżonej... znajomości.

– No co ty? A kto to był, ta babka?

Widocznie taki gest wydawał się Oldze do mnie raczej nie podobny.

– Stara znajoma. Ale zamierzam tę znajomość odkurzyć. Może mi się przydać.

– Ach, tak – westchnęła Olga uspokojona co do mnie. – Rozumiem.

– A ty? Co tam knułaś na zapleczu?

– Nic takiego... Gadałam z Oliwią.

– O czym?

– No, mówię przecież, nic takiego... ważnego.

– Olga, mącisz! Znam cię zbyt dobrze, by wiedzieć, że kręcisz coś. Zresztą ty nie umiesz kręcić. Gadaj mi tu zaraz, jeśli sprawa dotyczy mnie lub galerii.

– Bo naprzeciwno jest ten, co kupił koguta.

– Gdzie, naprzeciwno? – spojrzałam odruchowo w okno witryny, ale nikogo nie dostrzegłam.

– Bo jest w sklepie.

– W... pasmanterii?

– No.

– Pewnie poszedł kupić sobie sznurówki – bąknęłam pod nosem.

– E, tam – zachnęła się Olga. – No chyba, że jest to jakiś jego zakup życia, bo wchodzi tam codziennie rano, ale już nie wychodzi z powrotem.

– Chwila, zaraz to sprawdzę!

Bez wahania wybiegłam z galerii. Bo przecież „ten, co kupił koguta”, to Artur. Było dość prawdopodobne, że z naprzeciwnka obserwuje galerię. Rozumiem, że służbowo, ale jakoś mnie to poirytowało. Postanowiłam pod pretekstem zakupu ozdobnej wstążki (często ją tam kupujemy), zlustrować pasmanterię. Wbiegłam do wewnątrz, ale poza właścicielką

i jedną klientką nie było tam nikogo. Pani „pasmanteryjna” lubiła towarzystwo, dlatego starała się przedłużyć wizytę swoich klientów do maksimum. Tym razem bardzo pieczołowicie dobierała jakiejś kobiecie pończochy - na ladzie zalegało ich już całe mnóstwo. Czekałam cierpliwie na swoją kolej, dziś akurat całkiem zadowolona ze ślamazarności sprzedawczyni. Pod pretekstem oglądania rozmaitych towarów zaglądałam tu i ówdzie. W sklepie z pewnością Artura nie było. Może na zapleczu, ale co by mu to dało? Z zaplecza nie ma przecież widoku na galerię...

Z tego wszystkiego nakupiłam masę wstążek na metry, do tego jeszcze gumkę i tasiemki. Wyszłam ze sklepu zamyślona do tego stopnia, że... byłabym go nie zauważyła! Akurat wyszedł z bramy obok i szedł w moim kierunku. Postanowiłam ominąć go szerokim łukiem, rzucając mu w trakcie tegoż manewru mocno pogardliwe spojrzenie. W chwili, gdy z odpowiednio wystudiovanym grymasem zamierzałam zwrócić twarz w jego stronę, kątem oka dostrzegłam psa... Ten pies kręcił się tu już jak szłam do pasmanterii, nie wiadomo czyj, młody, tłusty i bardzo zadowolony ze swego psiego życia owczarek niemiecki. I teraz, najwyraźniej wybierając się na drugą stronę ulicy, jakby gwałtownie stracił rozum. Zatrzymał się w miejscu, tańcząc jakiś szaleńczy taniec i mimo nadjeżdżających samochodów nie zamierzał zejść z drogi. W ułamku sekundy pojęłam sytuację: jego łapa utkwiała w kratce kanalizacyjnej. Sytuację, jaka nastąpiła zaraz potem zazwyczaj zaczyna się opisywać od: „niewiele myśląc”... a ja powiem tak: w ogóle nie myśląc! W ogóle nie myśląc rzuciłam się w stronę psa, złapałam go pod pachę... i w tym momencie usłyszałam przeraźliwy pisk opon i uczułam silne uderzenie w okolicy pośladków. Nie wiem, ile osób wie, jak w takich chwilach przebiega tok myślenia, ale jestem w stanie zaświadczyć, że odbywa się ono poza ramami znanego nam, ziemskiego czasu. Właściwie nie tylko myślenie, ale i cały ten proces: uderzenie, bezwładny lot nad ziemią i wreszcie upadek – trwają... porównywalnie... oczywiście, subiektywnie, tyle mniej więcej, co wypicie bez pośpiechu kubka herbaty. Wówczas to zdarzyłam przemyśleć parę spraw, począwszy od

zastanowienia się, po pierwsze: czy pies przeżył? Po drugie, czy ja przeżyłam - poprzez pożałowanie rzeczy, które ostatnio zrobiłam, oraz tych, których nie zrobiłam, z naciskiem na nie okazanie pogardy Arturowi. Jednak na szczęście, czy też nieszczęście - jego twarz była pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam, gdy moje ciało w końcu padło nieruchomo na asfalt. Pochylił się nade mną i coś mówił. Nie wiem co, bo skupiałam się tylko nad jednym. Wreszcie udało mi się wydobyć z siebie głos:

- Proszę stąd odejść, nie mam życzenia pana oglądać - powiedziałam, całkiem wyraźnie i wystarczająco pogardliwie. Potem wszystko znikło.

ROZDZIAŁ XIV

Jest dziwnie

Skończyło się na lekkim wstrząśnieniu mózgu i kilku solidnych siniakach. W szpitalu zostawiono mnie przez trzy dni. Nie muszę tu chyba opisywać ze szczegółami, w jak wielki popłoch całe wydarzenie wprawilo Olgę oraz jej koleżanki.

– Ja nic nie mówię, ale na panią czyhają – wyszeptala Renia z mięsnego, pochylając się nad moim szpitalnym łóżem.

– Przestań, Renia – Olga usadziła ja z powrotem na białym zydelku.

– Tak ja to widzę – upierała się Renia.

– Uważasz, że to bandyci zamontowali szczeniaka w kratce ściekowej? To był czysty przypadek. Moja nieostrożność, ot co! – spuentowałam oschle jej słowa.

– Ot, co! – powtórzyła za mną Oliwia. – Zwykła nieostrożność pani Ady. Ale makijaż miałaaby pani prima sort!

– Oliwia! – zbesztala ją wzrokowo oraz słownie Olga. – Ada, nie bierz tego do siebie proszę. Dziewczyny są po prostu, jak zawsze... spontaniczne.

– Nie biorę tego do siebie – uspokoiłam ją.

– Bożesz ty mój, kolejna trauma – westchnęła przejęta Sonia. – Ty to masz pecha, dziewczyno...

– A właśnie, że nie! To znaczy... nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło!

Zaoponowałam, mając na myśli bezsprzecznie doskonałą, wielowymiarową i absolutnie idealną pogardę, jaką mimo wszystko udało

mi się rzucić Arturowi prosto w twarz. Zaś sytuacja w jakiej miało to miejsce, przydała mojej pogardzie odcienia widzialnej gołym okiem odraży. I z tego byłam zadowolona...

- Przepraszam - w drzwiach sali pojawiły się lekarka oraz pielęgniarka. - Policja, do pani, jeśli można...

- A nie mówiłam? - szepnęła Renia z mięsnego. - Kryminalna sprawa! Teraz wszystko się wyjaśni, czarno na białym!

- Czy mogłyby panie na chwilę zostawić pacjentkę samą? - kontynuowała ta pierwsza.

Dziewczyny wyszły z ociąganiem, deklarując, że wrócą zaraz po wyjściu policji. Spodziewałam się tu teraz raczej wszystkich innych gliniarzy z Czesławem Królem, a nawet inspektorem Możejką na czele, ale nie tego jednego, którego ujrzały moje oczy. Do sali bowiem wszedł, niemal bezszelestnie, w narzuconym na ramiona zielonkawym kitlu... sam Artur Stroński!

- Cześć - odezwał się, jakby nigdy nic.

- Dzień dobry - odparłam po odpowiednio długiej chwili. - Jeśli chodzi o ten wypadek, ja nie mam nic do dodania.

- Nie szkodzi. Obejrzałem sobie nagranie z kamery. Jest nad biurem podróży, czyli rzut beretem, jak to się mówi....

- No więc? W czym ja mogę policji służyć?

- Właściwie... przyszedłem ci podziękować - Artur spojrzał mi przenikliwie w twarz.

Nic z tego nie rozumiałam, ale ponieważ moja postawa pogardy nie pozwalała mi się niczemu dziwić, powiedziałam coś w tym rodzaju:

- A więc niech pan podziękuje, szybko, zwięźle i zostawi mnie samą. Koleżanki czekają na korytarzu.

Artur spojrzał na mnie jeszcze bardziej uważnie.

- Bo nie wiem, czy wiesz, ale był mój pies...

- Tak? To pogratuluj mu pana. Niech pan mu, znaczy się.

- Ada... - Artur jakoś tak... miękko wypowiedział moje imię i popatrzył na mnie jak nie on.

Kosztowało mnie to... nie ma takich słów, by opisać, jak wiele. Ale nawet nie drgnęłam. I nie drgnęła mi powieka, gdy zmuszona byłam przez chwilę zmierzyć się z jego wzrokiem. Na tym wizyta została zakończona.

* * *

- I co? Tak szybko cię przesłuchał? – dopytywały dziewczyny jedna przez drugą.

- Ależ to nie był policjant, Ada! To ten gość od koguta! – gorączkowała się Olga.

- Owszem, policjant – przyznałam beznamiętnie. – Wiem to na pewno, ale faktem jest też, że to on nabył to szkaradztwo.

- Jak to... - Olga najwyraźniej przywiązała się do myśli, że koguta kupił jakiś zbir i przestępca.

- Nie pytaj mnie teraz, proszę, nie mam siły...

- No ale powiedz chociaż, czego chciał – nalegała Renia.

- Niczego. Przyszedł zobaczyć, czy żyję. W końcu to u jego stóp padłam, jak kawka.

- To miłe – podsumowała Oliwia.

- Ale podejrzone – dodała Renia.

- A dajże ty już święty spokój, detektywie od siedmiu boleści! – zirytowała się Sonia i zarządziła koniec spotkania.

* * *

Kiedy obejrzałam się dokładnie w domowym lustrze, stwierdziłam, że moje ciało tam i tu ozdobione jest jakby kwiatostanem wielkich, pąsowych róż. Było to zjawisko warte uwiecznienia, i tak też uczyniłam: pstryknęłam sobie parę fotek komórką. Nie całej, fragmentom jedynie. Pod ubraniem ten ornament na szczęście nie był widoczny. Przy okazji sesji przed lustrem spojrzałam sobie porządnie w twarz. Żeby zobaczyć,

czy ja to nadal ja, taka jak na przykład... ze trzy miesiące temu? Dziwne to było doświadczenie, bo zarazem chciałam i nie chciałam takiej konfrontacji. Ale ponieważ zawsze ceniłam sobie uczciwość wobec siebie samej (to znaczy, najpierw rzetelnie zdiagnozować, a potem dopiero wyprzeć), postanowiłam stanąć z sobą twarzą w twarz. Za dużo niedomówień było ostatnio we mnie, zbyt wiele pokrętnie interpretowanych odczuć i wrażeń.

- No i co, Adelo Dobrochno Topor? – spytałam sama siebie.

Moja twarz wydała mi się teraz nieco inna. I nie dlatego, że zmizerowana wypadkiem i szpitalem, ale jakaś taka... poważniejsza. Smutniejsza. I jakkolwiek do niedawna nie dopuszczałam do siebie żadnych smutków i nieprzyjemności, za pomocą... nazwijmy to raz, a dobrze, doskonale wypracowanej automanipulacji, teraz już było inaczej. Co się zatem stało, że te świetnie opanowane i sprawdzające się przez lata triki przestały działać? No, może nie zupełnie przestały, ale działały teraz zdecydowanie... oporniej.

- No? Gadaj, co z tobą? – ponagliłam się widząc, że mój umysł zaczyna wyraźnie kombinować.

Bo kiedy jednocześnie myślałam o tym, co mi ewentualnie dolega, gdzieś pod tą warstwą myśli toczyła się sroga wojna, by do odpowiedzi na to pytanie nie dopuścić. Stałam więc przed tym lustrem jak głupia, goła i coraz bardziej żalosna. Nagle coś we mnie eksplodowało. Wybuchło z ogromną siłą nie do opanowania.

- Za co?? I za co to, Boże, po co i dlaczego?!!! – zaniiosłam się głośnym, spazmatycznym szlochem, rozsadzającym ciało i duszę. – Za co?!!! Czy ja tam u Was tak bardzo komuś przeszkadzam? Czy mój spokój ducha aż tak bardzo kogoś tam mierzi?!!

Po raz pierwszy od lat zwróciłam się do Tego, którego istnienie, bezsprzeczne zresztą, ignorowałam przez lata. Chciałam dać sobie w życiu radę sama. Ja, istota ludzka. A może chciałam, żeby On sobie o mnie zapomniał? Żeby nie zsyłał mi już żadnych doświadczeń, nie wystawiał na próby?

Ostatni raz płakałam siedem lat temu. I sobie przyrzekłam, że już nigdy więcej. Że teraz tak się w życiu ustawię, że nie uronię ani łezki. I co się właściwie teraz ze mną stało? Dlaczego?

Przecież wiedziałam. To Artur. On był powodem wszystkich moich rozterek, mojego zwątpienia we własną siłę. Ale czemu u licha tak nagle? Wystarczyło raptem kilka minut... w jego ramionach. Jak to możliwe, że tak solidna konstrukcja runęła w ciągu tych kilku minut? Czy ja... naprawdę... się zakochałam?

Nie umiałam sobie na to pytanie odpowiedzieć. Szczerze i uczciwie – nie wiedziałam. A może rzeczywiście jest tak, jak mówiła Sonia? Trafiłam po prostu na kogoś silniejszego od siebie, kto mnie zwyczajnie zdominował. I pokazał drugą stronę medalu... Może...

Nie miałam siły żeby się z tym wziąć za bary: przeanalizować i po swojemu wyprzeć. Zresztą, najprawdopodobniej by mnie to przerosło. Postanowiłam więc unikać myślenia o nim, wspomnienia tych krótkich momentów, gdy byłam... w centrum jego uwagi. Bo właściwie tylko wówczas mnie dostrzegał. Mnie? Moje ciało. Ani chwilę przed, ani po nie byłam dla niego nikim ważnym. Byłam... nikim...

- Przestań! – krzyknęłam do lustra. – Skończ z tym mazgajstwem!

I złapałam się jak brzytwy ostatniego znanego mi sposobu na spokój ducha: butelki czerwonego wina.

* * *

Zaraz na drugi dzień po opuszczeniu szpitala udałam się do galerii. Na lekkim kacu i ze szmerami w głowie.

- Co tam, jak tam? – zagadałam do Olgi wesółkowato.

- Raczej normalnie. To znaczy w galerii, bo domyślałam się, że o to ci chodzi - odparła przeciwnie, czyli smętnie.

- O? A gdzieś jest nienormalnie? W okolicy może?

- Prawie. Ten bez zęba został zamordowany.

- Ten... dla którego byłaś niemila?!

- Ten sam.

- Ale jak to? Kiedy? Chyba nie tu... u nas?

- Nie. Na przystanku na Chełmońskiego. Trzy dni temu.

- Kurczę, no ale to nie aż tak blisko. Skąd to wiesz?

- Renia gdzieś wyniuchwała, a Oliwia potwierdziła tożsamość.

- Jak to? Oliwię zawołali na identyfikację zwłok???

- A, gdzie tam. Sama poszła, po znajomości.

- Do prosektorium?!

- Nie. Do kostnicy. Już po sekcji zwłok.

- Aha...

- I tylko tyle mi powiesz?

- A co na to policja?

- Policja nabrała wody w usta. Sprawa jest jakby tajna.

- No to pięknie... A może to ona go utłukła i stąd tajemnica?

- Kto? Oliwia?

- Nie. Policja.

- Dajże spokój... chociaż... Jeżeli on coś wiedział na temat korupcji Króla... To może on... go...

- Teraz to ty daj spokój. Żartowałam.

- Wobec tego gratuluję poczucia humoru.

Niebawem się okazało, że znacznie bardziej specyficzne poczucie humoru ma Olga. I że bije mnie w tym na głowę. Ona, i jej koleżanki.

ROZDZIAŁ XV

Skarb

Jeszcze tego samego dnia spotkałam Artura. Na moim własnym osiedlu mieszkaniowym. Wyglądało, jakby wyprowadzał psa, miał bowiem na smyczy tegoż samego nieszczęśnika, którego prawdopodobnie uratowałam od śmierci. Lub kalectwa. Początkowo próbowałam udawać, że go nie widzę, on natomiast, jakby przeciwnie...

W ciągu najbliższych sekund przeleciało mi przez głowę wszystko, co mi względem niego leżało na wątrobie i – nie wytrzymałam.

- Hola, hola, panie funkcjonariusz – warknęłam, będąc już w zasięgu jego słuchu. – Czy pan czasem nie udaje, że tu mieszka? I że jest pan dobrym panem dla tego psa?

- Niczego nie udaję – odparł Artur. – Jest tak, jak pani widzi.

(Aha, nagle zaczął zwracać się do mnie per: pani)

- Jest pan pewien, że widzi to samo co ja?

- A co pani widzi?

Już miałam mu wygarnąć, co ja widzę, ale w ostatniej chwili przyjąłam opracowaną wcześniej postawę pogardy.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział. Ale przejdę do sedna. Czy nie sądzi pan, że należałoby mnie wtajemniczyć, choćby z grubsza, w to, co się wokół mnie dzieje? Może coś mi grozi, na przykład, a ja w nieświadomości swojej nie zachowuję się wystarczająco czujnie?

- Boi się pani o siebie? – spytał jakby kpiąco.

- Mniejsza z tym. Ale skoro chodzi tu o mnie i o mój sklep, kto ma większe prawo, niż ja, wiedzieć, co się tu kroi?

- Możemy o tym porozmawiać. Ale nie tu. Zaprosi nas pani do siebie na kawę?

W tym momencie troszkę straciłam na pewności siebie. Bo... co on miał na celu? Chciał pogadać w bardziej dyskretnych warunkach, czy też... chodziło mu o coś innego? A gdyby, to czy będę potrafiła mu się oprzeć? Jasne, że będę – odpowiedziałam sobie stanowczo. – I nie ma innej opcji!

- W porządku, zapraszam.

Zarówno pies jak jego pan, wkroczyli do mojego mieszkania z dużą swobodą. Bez słowa udałam się do kuchni i nastawiłam wodę. Artur tymczasem rozglądał się po moim mieszkaniu bez skrępowania.

- O! To ty... Przepraszam, to pani jest na tym zdjęciu?! – spytał, a ja wyczułam zdziwienie w jego głosie.

Zdenerwował mnie tym.

- A co? Niepodobna jestem do siebie? Za ładna?

- Nie, raczej owszem, podobna, tylko...

- Ten facet to mój ojciec, a babka obok to jego druga żona, na jedyńych wakacjach, które spędziłam u nich w Berlinie.

Artur przyglądał się mojej macosze z zachwytem, jak mi się zdawało.

- Trochę za stara, jak dla pana – podsumowałam.

- Oj, tam. Nie bądźmy drobiazgowi – roześmiał się swoją diabelską stroną twarzy.

- A otóż jest i kawa. Pies coś pije? – spytała, stawiając na stoliku dwie filiżanki.

- Chwilowo się wstrzyma.

- Okej. Wobec tego, słucham! Co się dzieje? Dlaczego od blisko dwóch lat ktoś nastaje na moją galerię? I co to w ogóle za zbiry są? Czemu jeden z nich został zamordowany i przez kogo?

- Oho ho! Może... po kolei – Artur nieśpiesznie postłodził swoją kawę i upił kilka łyków. – Powiem tyle ile mogę i proszę tych wiadomości raczej nie rozpowszechniać.

- W porządku. No więc?

- W pani galerii najprawdopodobniej, a nawet... hm... na pewno, znajduje się coś, co owe zbiry bardzo chcieliby posiadać.

- Ale kiedyś pytałam już, czy chodzi o ten rzekomy skarb? Nie ma żadnego skarbu! Babcia mi przed śmiercią powiedziała, że to był plik listów miłosnych. Ciotka wszędzie wozila je z sobą, ponieważ ich autorem nie był jej prawowity ślubny. Ale w czasie historycznych zamieszek wolała nie mieć ich pod ręką, jakby co.

- Jakby co?

- No, nie wiem... Może jakby ją zamknęli, albo gdyby zginęła? Pewnie wolała odejść z tego świata z nieskazitelną opinią matki i żony.

- No tak, znam ten sposób myślenia...

- Może bez złośliwości proszę, zresztą, mnie on nie dotyczy.

- Dotyczy kobiet w ogólności.

- Dobra. Może dość o tym. Wobec tego, skoro nie ma skarbu, to co jest?

- Coś... bardzo, bardzo cennego. Tak cennego, że ten, kto wszedłby w jego posiadanie, mógłby całe to osiedle, razem z zaparkowanymi na nim furami.

- To duże to coś musi być...

- A właśnie, że niekoniecznie!

- Złoto? Przynajmniej kilka sztabek... Sztab. Nie, to w sumie za duże by było żeby ot tak sobie ukryć, w galerii w każdym razie. Ponadto... te zbóje myślą, że to coś jest w czymś. Po to im był ten kogut, bo on był galerii najdłużej. Od początku. A wcześniej też był w galerii, ale to wówczas nie była galeria...

- Brawo! – podsumował mój wywód Artur i zaklaskał w dłonie.

Rozochociona pochwałą ciągnęłam dalej:

- To coś jest pewnie wielkości półlitrowej butelki, bo oni, ci rabusie coś takiego jakby sugerowali. Szukali schowka, w którym mogłaby się zmieścić flaszka wódki.

Na te słowa Arturowi wyraźnie rozbłyły oczyska.

- Co dalej? – spytał.

- Z tego wniosek, że właściwie mogłaby to być sztaba złota, ale jedna. Po pierwsze, wówczas to, w czym by ona została ukryta, byłoby cholersko ciężkie! A po drugie, czy taka jedna sztaba starczyłaby na zakup dużego, super nowoczesnego osiedla?

- Nie starczyłaby.

- Ddd... Dia...

- Słucham?

- Diamenty! No jasne, diamenty! – wreszcie udało mi się to wydusić.

Widząc minę Artura, nawet nie spytałam, czy mam rację.

- Ale skąd tu u licha diamenty? W tej kamienicy? Nie możliwe, nikt nie mógł mieć tu takiego majątku...

- I nie miał. Dla sprostowania: brylanty, czyli diamenty o brylantowym szlifie. W dodatku rzadkie, różowe.

- No właśnie. Może pan skończy już ten test na inteligencję i powie coś od siebie? Chyba po to tu przyszliśmy, czyż nie?

- Po to? – Artur pochylił się nade mną niebezpiecznie.

Odkoczyłam, jak oparzona. I byłam z tego dumna...

- Kto u licha ukrył w kamienicy takie bogactwo???

- Pani mąż. To znaczy, były mąż.

- No, nie, to już są żarty jakieś. On był goły jak święty turecki, mało tego, miał tyle długów, że... pieniądze ze sprzedaży kamienicy ich nie pokryły...

- Mąż sprzedał kamienicę należącą do pani?!

- Sama ją sprzedałam. Mniejsza o to. Co z tymi diamentami?

- Po co ją pani sprzedała? Przecież ona jest warta mnóstwo pieniędzy! Takie gmaszysko, w środku miasta! Z takiej kamienicy można żyć nic nie robiąc do samej śmierci!

- Jak pan widzi, żyje i będę żyła i bez niej. Też do śmierci.

- Ha, ha! – zaśmiał się Artur raczej bez oznak wesołości.

- Dość o tym. A teraz: czyje to diamenty i kto je ukrył?

- Ukrył je pani mąż, już mówiłem. Aczkolwiek... nie należały do niego. Stąd teraz ten kłopot.

- Ukraść je komuś? Worek brylantów? Ale komu???

- No, może woreczek. Pewnym... niebezpiecznym i nie owijającym w bawełnę osobnikom, z którymi był swego czasu związany.

- Nie.

- Tak.

- O, mój drogi! Eneasz nie był świętoszkiem, a nawet przeciwnie. Powiem więcej, na sam koniec naszego pożycia okazał się być draniem, jak mało kto. Ale nie był rabusiem ani bandytą! Ani oszustem! Pracował, zarabiał na nas...

- A czy powiedział ci może, że ta oto dama – Artur wstał i postukał palcem w wiszącą nad sofą fotografię – jest rodzoną siostrą twojej teściowej?

- Niemożliwe!

- Możliwe. A nawet pewne. Takie są fakty.

Skrzywiłam się z niedowierzaniem.

- A a propos zarabiania, wiesz może, czym się twój mąż zajmował? – spytał z lekkim uśmieszkiem. – Wiesz, czy nie?

- No jasne, że wiem. Handlował uży... wa...a nymi...

- Czym?

Teraz coś mi zaczynało świtać, aczkolwiek jeszcze w to nie zupełnie wierzyłam.

- ... samochodami – wydukałam.

- Otóż to. Nie będę cię już może bombardował szczegółami, w każdym razie teraz już się domyślasz, kto tych brylantów szuka. Ale nie martw się. Oni wiedzą, że ty nic nie wiesz. Poza tym wszystko jest pod kontrolą.

- Twoją, taaak?

- Tak.

- No, piesku, pod taką opieką możemy oboje spać spokojnie...

- A i owszem, możecie.

- Długo potrwa, zanim się dowiecie, kto konkretnie za tym stoi?

- To akurat wiemy od dłuższego czasu.

- Chryste panie, więc czemu ich nie pozamykacie?

- Nie mamy powodu. A raczej... pretekstu.

- Zamordowanie tego kolesia bez zęba to jeszcze mało?

- Niestety, w tej sprawie również nie ma niczego, co dałoby podstawy do zamknięcia kogokolwiek.

- No, to rzeczywiście, wszystko jest pod kontrolą.

- Jest. Zaufaj mi. Wszystko się rozwiąże w najbliższych dniach.

- Trzymam pana za słowo.

Tu dość ostentacyjnie zajrzałam do jego filiżanki, a skoro okazała się być pusta, wstałam, dając do zrozumienia, że to już koniec wizyty. Kiedy wypuszczałam go z mieszkania, stanął razem ze mną w drzwiach, tak blisko, że ugięły się pode mną nogi. Jestem przekonana, że zrobił to specjalnie. Zatrzymał wówczas na mojej twarzy wzrok i patrzył tak przez dłuższą chwilę, jakby chcąc sprawdzić, czy jeszcze na mnie działa. I pewnie odpowiedział sobie twierdząco, bo nie umiałam tego ukryć.

- Dzięki za te parę ogłędnych informacji – odezwałam się szybko, opanowując jakoś drżenie w głosie. – Proszę dbać o psa.

- Staram się – Artur uśmiechnął się ładniejszą stroną twarzy.

* * *

No to mi Artur zabił ćwieka. Miałam o czym myśleć do bladego świtu. Czemuż by mi Eneasza do jasnej cholery nie powiedział, że zna moją macochę? O ile znał... A może jednak nie? Przecież nie raz widział ją na tym zdjęciu i nigdy nic na jej temat nie wspomniał. Ponadto ta rzekomo rodzona siostra teściowej nie została zaproszona na nasz ślub. Może dlatego, że nie utrzymywały z sobą kontaktów? Wówczas Eneasza miał prawo jej nigdy na oczy nie widzieć. Mój ojciec też nie był proszony, ale to akurat... wyperswadował mi Eneasza. Czemu? Uważał, że skoro ojciec nie interesował się mną przez tyle lat, nie powinien bawić się teraz na moim weselu. Może i rzeczywiście tak uważał. Wówczas byłam o tym przekonana i przyznałam mu rację. A jeśli nie chciał się z nim spotkać (i z własną ciotką) z innego powodu? Z jakiego? Mniejsza z tym. – Mniejsza

z tym – odpowiadałam sobie po każdym pytaniu. Chciałam wreszcie zakończyć te rozważania, ale widać moje panowanie nad własnymi myślami już się skończyło. Zasnęłam dopiero przed świtem.

* * *

Z domu wyszłam dość mocno spóźniona i teraz niemal biegłam. Te całe brylanty nie dawały mi spokoju. A nuż to mnie się je uda odnaleźć? W końcu znałam galerię jak własną kieszeń, każdy, najmniejszy zakamarek. Na miejscu czekała mnie jednak niespodzianka. Drzwi były zamknięte, a żeby nie było co do tego wątpliwości, informowała o tym kartka odwrócona odpowiednią stroną do zewnątrz. Podeszłam wobec tego do drzwi mięsnego, z nadzieją, że może Olga jest u Reni. Tam zastałam identyczną sytuację.

- Czyżby je ktoś w końcu pomordował? – przeleżałam się nie na żarty. Idąc tym tropem pobiegłam na górę do Oliwii. Kosmetyczka jak najbardziej była u siebie, zajęta robieniem klientce maseczki.

- Dzięki Bogu – wymusnęło mi się zamiast dzień dobry. – Pani Oliwio, nie wie pani czasem, gdzie się podziała moja Olga?

- A i owszem. W galerii siedzą – odparła nie przerywając swojego zajęcia.

- Z kim?!

- No... z Renią.

- Ale przecież... jest zamknięte.

- Bo siedzą zamknięte. Przepraszam, Ale ja muszę szybko to nałożyć, zanim zastygnie.

Zbiegłam na dół i tym razem już bez zastanawiania się nad czymkolwiek, pospiesznie otworzyłam drzwi własnym kluczem. Alarm był rozbrojony, a zatem ktoś ewidentnie był w środku. Ale nikogo nie było widać...

- Olga!!! Olga, jesteś tu? – zdecydowanie wolałam zawołać, niż poszukać jej osobiście. – Pani Reniuuuu!!!!

- Słucham – rozległ się gdzieś na tyłach głos Reni.

- Gdzie pani jest?

- Tu! – znów dał się słyszeć jej głos, po czym w drzwiach od zaplecza stanęła... Olga. Z wielkim masarskim nożem w dłoni.

- Ojej – Olga spojrzała na trzymany w reku majcher, pobiegła z powrotem i po sekundzie wróciła. Już bez noża.

- A co to ma znaczyć? – spytałam groźnie. – Czemu siedzicie na zapleczu? I na co ci ta maczeta?

- Bo... jemy. Jadłyśmy. To znaczy... Ja jadłam. Kiełbasę.

- Aha... I dlatego się pozamykałaś na dziesięć spustów?

- Bałam się, że ktoś w tym czasie może wejść do środka...

- To byś słyszała dzwonek nad drzwiami. Jak zawsze zresztą.

- Ale... ogólnie się bałam.

- Czego?

- Niczego. Tak się bałam, profilaktycznie.

- A czy mnie się czasem nie zdawało, że słyszałam Renię gdzieś od strony magazynu?

- Nie, skąd. Renia poszła do siebie. Przyniosła kiełbasę i zaraz poszła.

- Nóż też ci przyniosła?

- Jakoś tak odruchowo.

- Większego nie miała?

- Och, czepiasz się Adelo. Jak zwykle byle czego – Olga wyraźnie odzyskała pewność siebie.

No cóż, może rzeczywiście się czepiałam, a ona nieboga zwyczajnie już nie wyrabiała w tej przestępczej atmosferze?

- Okej, przepraszam – bąknęłam. – nie za dobrze spałam tej nocy. Zrobię sobie kawę i zaraz dojdę do siebie. Chcesz też?

- Ależ ja zrobię. Siądź sobie, faktycznie jakaś mizerna jesteś.

* * *

Podczas gdy Olga krzątała się w kuchence, ja rozglądałam się uważnie dookoła. Lustrowałam ściany, badałam wszelkie krzywizny, tu i ówdzie stukałam delikatnie. Obejrzałam też sobie z grubsza sprzęty i przedmioty, ale tylko te, które mogły pamiętać mojego byłego małżonka. W samej galerii nic nie przykuło mojej uwagi. Zostały jeszcze tyły: kuchenka, łazienka, moje biuro i magazyn. Postanowiłam je obejrzeć później i na pewno bez powtarzania Oldze zasłyszanych wczoraj rewelacji.

W okolicach południa zadzwonił telefon. To była Oliwia i chciała rozmawiać z Olgą.

- Nie trzeba, nie, nie. Nie fatyguj się moja droga. Dajemy radę. Tak, wszystko dobrze.

- Czego chciała? – spytałam podejrzliwie.

- Aaaa... niczego właściwie. Tak sobie dzwoniła.

I Znow Olga zaczęła mi się wydawać jakaś... nieswoja. Jakby coś kombinowała na boku. Ona i ta Renia.

- Słuchaj, może ja przewrażliwiona jestem, ale jeśli jest coś, o czym powinnam wiedzieć, to lepiej mów od razu – zagaądałam, trochę jeszcze niepewnie.

W tym momencie w magazynie, dał się słyszeć jakiś podejrzany dźwięk.

- No, Olga? Co jest grane?

- Nic! Przecież ci mówię!

W chwili, gdy postanowiłam to sama sprawdzić, w drzwiach od zaplecza pojawiła się Renia. Z tym samym nożem, który dzierżyła wcześniej Olga.

- Jezus Maria! – krzyknęłam zdumiona tym widokiem. – Podobno pani dawno już tu nie ma?!

- No tak... bo... się wróciłam po nóż!

- Którędy?!

- Olga, nie da rady! Musimy jej powiedzieć – wycelowała nożem w moją pracownicę.

- Bez łaski, sama się dowiem - oznajmiłam i zanim któraś z nich wykonała najmniejszy ruch, byłam już w magazynie.

A tam... A tam, pod ścianą, ułożone w rzędzie, spoczywały... trzy ludzkie ciała! Jedno damskie i dwa męskie. Nogi się pode mną ugięły.

- Czy to wyście ich... zaszlachtowali?

- Nie, ależ skąd – odparły zgodnie, stając za moimi plecami. – Nikt im niczego nie zrobił. Żywi są.

- Pięknie. A mogę wiedzieć, w jakim celu ich tu umieściliście?

- Nie miałyśmy na razie innego pomysłu. Coś z nimi trzeba było przecież zrobić, a przecież nie możemy ich zakopać żywcem.

- A pozabijać nie mamy sumienia... - wyznała jakby ze wstydem Renia.

- Na miłość boską, Olga! O co tu chodzi? Co tu się znowu stało?

- Bo już miałyśmy tego dosyć! – wybuchła nagle Olga. – Ileż to można mieć się na bacności, w dodatku jak nie wiadomo kto i z jakiego powodu ci zagraża? Zwabiliśmy ich tu przy pierwszej okazji i unieszkodliwiłyśmy.

- Tylko że nie wiemy, co dalej...

W tym momencie doznałam nagłego olśnienia.

- To już zostawcie mnie. Dawajcie tę kosę! – Zarządziłam. - Olga, zamknij drzwi i niech mi się żadna nie waży wsadzić nosa do magazynu!

Olga pośpiesznie zamknęła sklep, po czym obie posłusznie usiadły za ladą. Podeszłam do pierwszego ciała z brzegu, odkleiłam mu usta i przyłożyłam do gardła nóż.

- A teraz mi wszystko wyśpiewasz – oznajmiłam groźnie.

- Mowy nie ma – odparło ciało.

- Jeszcze zobaczymy! – dziabnęłam go szpicem noża w grdykę. – Skończyło się moje dobre serce. Dość tego, ja nie żartuję. Czego tu szukacie?

Delikwent ostentacyjnie odwrócił głowę w drugą stronę.

- Dobrze. Wobec tego może twoi towarzysze będą rozmowniejsi.

Odkleiłam kolejno dwie pozostałe mordy pytając, czy będą mówić. Obie poszły w zaparte.

- Czy wy naprawdę wątpicie z moje zamiary? Wolicie być biedniejsi o tą garstkę brylantów ale żywi, czy odwrotnie?

Na te słowa pierwsza gęba odwróciła się na powrót w moją stronę.

- Skoro wiesz już czego szukamy, to o co chodzi? My nie wiemy gdzie twój męźulo skitrał te świecidełka.

- Aha. Mój męźulo. To i tak dużo wiecie. Skąd? Od niego?

- Dyskusja skończona. Więcej już nie wywleczesz z nas ani słowa.

- Durnie! Przecież ja was... ja was pozarzynam tym nożem! Nic nie mam do stracenia.

- A my owszem... - wychrypiała zduszonym głosem kobieta.

- Tak? A cóż wy macie cenniejszego, niż własne życie?

- Mariola, cicho bądź! Ani pary z gęby! – zagroził jej mój pierwszy rozmówca.

- Ty nas zabijesz łagodniej – odpowiedziała mimo wszystko. – Nie masz pojęcia, jakie o n i znają luksusowe sposoby!

- Jacy oni? Mafia? A wy to kto, w takim razie?!

- Już nic więcej nie powiem!

- Aha. Rozumiem. Boicie się śmierci w męczarniach, czy tak?

Brak odpowiedzi. Wybiegłam z magazynu licząc na to, że jeszcze zastanę w galerii Renię.

- Świetnie, że panią widzę – odetchnęłam się na jej widok. – pani Reniu, bez zbędnych pytań: proszę lecieć do siebie, ale błyskawicznie i przynieść mi siatkę podrobów. Tyle, ile pani uniesie. Wieprzowych albo wołowych!

- Zważyć i pokroić?

- A niech panią ręka boska broni! Po prostu, wrzucić do siaty i na jednej nodze z powrotem do mnie!

* * *

Renia zachowała się wyjątkowo przytomnie, nie minęła minuta, kiedy była już z powrotem. Zanim objuczona podrobami weszłam do magazynu,

zgasila światło. Teraz w środku ledwie jarzyły się światła awaryjne na ścianach.

- No, robaczki. Byłam po radę u koleżanki, która zna się świetnie na anatomii... istot żyjących. Miłe to nie będzie, zapewniam!

- Nic nie mówcie! Ona blefuje! – odezwał się pierwszy odklejony.

- W porządku. Zaraz się przekonamy, zacznę od ciebie.

Na początek zakleiłam mu z powrotem usta, a następnie, ciągnąc za nogi, odtransportowałam nieco na bok. Facet wyraźnie stracił na pewności siebie.

- Z twojej strony już niczego nie oczekuję, więc nawet jakbyś się namyślił, możesz mnie o tym nie informować. Będiesz materiałem poglądowym dla swoich kompanów – oznajmiłam, siadając mu na goleniach.

Sił i fantazji dodawała mi furia, ponieważ w międzyczasie przyszło mi do głowy, a nawet nabrałam co do tego pewności, że ta szajka ma coś wspólnego z moim nieboszczykiem małżonkiem. Na użytek pozostałej dwójki odegrałam teraz w miarę długi i jak najbardziej wiarygodny spektakl. Na początek, dźgając go, dusząc i szczypiąc sprowokowałam odpowiednie efekty dźwiękowe. To znaczy, rozpaczliwe, ale zduszone jęki. Kiedy uznałam, że mój zamysł już się odpowiednio uprawdopodobnił, podeszłam do pozostałych delikwentów i rzuciłam obok nich dorodną, krwistą wątrobę, a następnie spory kawał płuca razem z tchawicą.

- Teraz ty - wyciągnęłam ku kolejnemu facetowi ręce skrwawione po same łokcie. – Damy później!

Po czole mężczyzny wielkimi strugami zaczął płynąć pot.

- No dobra. Ostatnie słowo, poproszę – trąciłam go zachęcająco końcem czółenka.

- Ja! Ja wszystko powiem! Ja sobie wypatrosz, ja wiem najwięcej! Mnie wysłuchaj! – wyrzucił z siebie kilka propozycji.

- Bzdura! Ja wiem dużo więcej, ja z nim sypiałam! – przystąpiła do licytacji kobieta.

- Słyszysz? Sypiała z nim! Z twoim ślubnym małżonkiem! – zaczął podjudzać mężczyzna.

- Oj, tam. W końcu to nie na waszych bebechach mi zależy, tylko na waszych zeznaniach. Oboje was ułaskawię, jeśli będziecie mówić.

Wówczas to moje ofiary zaczęły gadać jedna przez drugą. Ustaliłam, że głosu udzielam temu, na kogo wskażę.

- Skąd znaliście mojego byłego męża?

- Twój facet miał warsztat samochodowy, a my mieliśmy dziuplę na obrzeżach Krakowa. Ja i Adam. Znaczący... ten... bez wątroby. Prowadziliśmy razem interesy. A Monika, ta co tu leży, to dziewczucha Adama, ale puszczała jak mało kto.

- Gówno prawda! To on mnie uwiódł! Ten twój! Ja nie chciałam... - włączyła się do rozmowy Monika.

- Aha. Ktoś to nadzorował, tę dziuplę? A ty siedź cicho na razie, małpo!

- No, twój ślubny, bo to jakby jeden wspólny był interes. Towaru też nam on dostarczał.

- Kradł auta, czy jak?

- Nie, jemu przywozili. Na jego głowie było tylko... wyszykowanie ich do dalszego obrotu. Dla nas dobry to był interes, bo od czasu do czasu jakaś bryka nam zostawała, to się dzieliliśmy kasą. Dla niego więcej, dla nas mniej.

- Zostawała, mówisz? A co na to... jego mocodawcy?

- Jego moczo... kto?

- No, ci, dla których on pracował.

- A, nie wiem. On mówił, że w porządku jest.

- Ale ja wiem - wyrwała się Monika.

- Mów!

- To nie było w porządku. On ich kroił jak się dało, bo miał długi gdzie indziej jeszcze u jakichś innych. Te długi miał lichwiarskie. Bał się tych gości, więc ich pomału spłacał.

- I wszystko jasne. Ukradł diamenty mafii, żeby spłacić lichwiarzy. A to dureń! – zaśmiałam się gorzko.

- E, tam. Ukradł je, żeby zwiać za granicę i się tam urządzić. Bo gdy się już ci, jak to mówiłaś... mocno... dawcy połapali w jego przekrętach, musiał się śpieszyć.

- I tak bardzo się śpieszył, że zapomniał o diamentach?

- Nie. Tak je schował, że nie mógł znaleźć. Ale że mu się już paliło za dupą, zwał bez nich.

- Za granicę?

- Do mojej babki, do Nowej Huty. Parę ładnych lat go u niej ukrywałam. Aż go w końcu dopadli...

- Parę lat graliście na nosie takim bandziorom?!

- No tak. Ale on po kilku miesiącach się tak zmienił, że nie do poznania. Wypaśł się od tego siedzenia na strychu jak knur, babka mu zresztą dogadzała, bo może i on jej dogadzał? Kto to wie, krewka staruszka była. I jest nadal... Do tego łeb ogolił, brodę zapuścił i jak go sam Adam po pół roku nie poznał, tak się poczuł pewniej i zaczął nawet wychodzić na miasto. Aż przesadził, a mafia nie rychliwa, ale cierpliwa... Nie wybaczają nikomu.

- Mafia... powiadasz...

- Miej mnie Panie w swojej opiece.

- Dobra. Dość tego. Możecie się wynosić.

- Jak...

- Normalnie. Kompana pod pachę i won mi stąd!

Za pomocą rzeźnickiego noża Reni uwolniłam ich z więzów. „Nieboszczyka” również.

- No! – ponagliłam. – Zmykać, zanim się rozmyślę!

- Mowy nie ma – zaperzył się facet. – Proszę zadzwonić po gliny. Niech nas już lepiej zamkną.

- Sami sobie dzwońcie. Albo nie! – Otworzyłam drzwi prowadzące bezpośrednio na zewnątrz. – Daleko nie macie. No, naprzód, ale to już!

Łajdusy nie kwapiły się z wyjściem na ulicę. Dopiero kiedy kolega „nieboszczyk” poderwał się z ziemi, popędzili przed siebie jak strzały.

ROZDZIAŁ XVI

Żądna krwi teściowa

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy. I co w ogóle strzeliło do głów Oldze i jej koleżankom. Przecież logiczne oraz oczywiste było, że własnoręczne złapanie rabusiów, a nawet pozyskanie od nich pewnej wiedzy, nie załatwi sprawy. No bo – co dalej? Jak to Renia powiedziała, pozabijać nie było sumienia, a zapudłować nie było za co. Jeśli już, to raczej nas...

Myślę, że w moim przypadku chyba eksplodowało poczucie żalu do Eneasza. I co tu dużo mówić, nienawiści. A skoro ta trójca była jego współnikami, była zarazem współwinni wszystkiego, co on mi uczynił.

Wnioski, jakie wyciągnęłam w domu, sącząc wieczorem czerwone wino, brzmiały ogółem: głupio się stało. Ale cóż. Nie odstanie się. Bo w zasadzie ja zyskałam (?) na tym tyle, że moją opinię byłym mężu uzupełniłam o dwa kolejne epitety: przestępca i skurwysyn. I co? I nic. A diamenty nadal gdzieś sobie są, desperacja mafii rośnie i właściwie to wypada mi się tylko modlić w intencji sprawności intelektualnej oraz fizycznej naszej policji. Artura też.

Gdybym na powrót zaczęła wierzyć w nadprzyrodzone zbiegi okoliczności, musiałabym teraz taki jeden uznać za bezsprzeczny fakt. W chwili, gdy w moich myślach pojawiło się jego imię, rozległ się głośny, natarczywy dzwonek do drzwi. Bez zastanowienia, (a raczej dumając o całkiem czymś innym) wstałam, podeszłam do drzwi i otworzyłam je. To był... Artur właśnie. Trochę jakby przystopował na progu lekko

skonsternowany. Uświadomiłam sobie wówczas, że mam na sobie jedynie szlafrok, ponadto wilgotne włosy oraz lampkę wina w dłoni.

- Co wyście najlepszego, durne baby... - zaczął, i... skończył.

Zamknął za sobą drzwi, zabrał mi kieliszek z winem i wypił je jednym haustem. Potem przyparł mnie do tych drzwi całym swoim ciałem i pocałował. Długo, zachłannie i namiętnie. Wszystko to było tak niemożliwe, nierealne, że nie wierzyłam w to, co się teraz ze mną dzieje. A jednak całkiem rzeczywiste były moje doznania. Logiczne myślenie mi się po prostu wyłączyło. Popchnęłam go lekko w stronę pokoju, cały czas oddając równie zachłanny pocałunek. Taki... ekspansywny, drapieżny, jakby... ostatni w moim życiu. Artur ukląkł przede mną i teraz zaczął całować mój brzuch, widoczny spod niesforenego szlafroka, potem piersi, szyję i znów usta. Nie pozwoliłam mu zejść niżej, bo to byłby już dla mnie koniec tego aktu, a ja chciałam przeżyć to inaczej – razem z nim.

Wówczas, jak w cikliwym filmie, Artur wziął mnie na ręce, a ja wskazałam mu gestem dłoni gdzie jest sypialnia. Nie sądziłam, że będzie mi dane przeżyć to jeszcze raz w jego ramionach, a już na pewno nie w normalnym łóżku. Przez cały czas, gdy się za mną kochał, oprócz tej nieprawdopodobnej magii, jaką emanował on cały i każdy fragment jego ciała z osobna, towarzyszyło mi przeświadczenie, że oto muszę żyć teraz każdą sekundą, zarejestrować, zapisać na zawsze w swoim ciele, w każdym nerwie i każdej kropli krwi te niesamowite uczucia, których on i tylko on w całym wszechświecie mógł mi dostarczyć. Tak, by mi ich zostało do końca życia...

Byłam przekonana, że zaraz potem sobie pójdzie. Że powie właśnie coś w tym rodzaju: „pójdę już” – i pójdzie. Abo że powie, co miał do powiedzenia, (a spodziewałam się porządnej reprimendy za nasz ostatni wyczyn w galerii), a dopiero potem wyjdzie.

Ale on został. Zasnął w moich ramionach, a ja robiłam wszystko co mogłam, żeby nie zmorzył mnie sen. Chciałam świadomie, na jawie celebrować tę noc, przytulić się do niego i trwać tak aż do świtu, patrząc jak oddycha, nasłuchując jak bije mu serce.

I nie wiem kiedy, ale w końcu zasnęłam. Rano Artura już nie było. Było za to... wezwanie do komendy na dzisiaj.

* * *

Zadzwoiłam do Olgi z informacją, że biorę sobie wolne, zarzekając się uprzednio na Wszystkich Świętych, że nic mi się nie stało. Zostałam jeszcze w łóżku. Ułożyłam się tak, jakby on nadal był obok, wpatrywałam się w ślad jego głowy na poduszce, chłonełam jego zapach. I przez cały czas przekonywałam siebie, że to mi się nie śniło. Bo tym razem było jakby inaczej... Nie dlatego, że gdzie indziej. Po prostu... on był inny. Miałam wrażenie, czułam to, że naprawdę mnie pragnie. Mnie, właśnie mnie, a nie, ogólnie rzecz biorąc, kobiety. Zastanowiło mnie też, jak taki... zimny, wyrachowany facet może być jednocześnie taki czuły, delikatny i wrażliwy - bo absolutnie nie był w tych sprawach egocentrykiem. Nie umiałam go w żaden sposób ogarnąć, rozumem, zmysłami i uczuciami. Ale też przestało mi na tym zależeć.

I pewnie dumałabym tak znacznie dłużej, gdyby nie zadzwonił telefon. Stacjonarny. Odebrałam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony chciałam żeby to był Artur, z drugiej zaś wiedziałam, że jeśli to on, nie ominie mnie już wstępna krytyka odnośnie wydarzeń w magazynie.

- Słucham - odezwałam się dość potulnie.

Po drugiej stronie przez dobrą chwilę panowało niepokojące milczenie.

- Witaj, Adelo - odezwał się wreszcie kobiecy głos, którego ton i barwa, zanim go rozpoznałam, ugodził w moje serce jak nożem.

To była moja teściowa...

- Witam - odpowiedziałam w podobnym tonie.

- Pewnie wiesz, że ani twój widok, ani nawet rozmowa telefoniczna nie są dla mnie miłe, ale niestety musiałam się z tobą skontaktować.

- I vice versa, aczkolwiek ja nie miałam takiej potrzeby - odparłam.

- Pozwolisz... że pominię milczeniem twoje... twoją arogancję i przejdę do sedna. Wiesz, że Estera spodziewa się dziecka, tak?

- Pojęcia nie mam. I nie wiem, co ja mam z tym wspólnego.

- Czy mogłabyś, moja droga mówić do mnie w bardziej cywilizowany sposób? Ja nie umiem tak rozmawiać.

- Ja też nie, ale jak pani widzi, szybko się dostosowuję...

I znów nastąpiła chwila milczenia.

- Właściwie nie dzwonię do ciebie w celach towarzyskich, więc jakoś to zniosę. Przejdę teraz do rzeczy. Potrzebna jest krew.

- O? Czyżby już w najbliższej pani okolicy nic nie zostało?

Filippa przemilczała tę uwagę i ciągnęła dalej:

- Potrzebna jest krew dla Estery. Jej ciąża jest zagrożona i lekarze spodziewają się komplikacji przy porodzie. To rzadka grupa, dobrze wiesz, bo sama masz taką. A ja nie znam nikogo więcej, kto miałby podobną.

- Ale ja znam. Pani ma. Szkoda trochę, co?

- Nie. Nie szkoda – Filippa ze słyszalnym trudem się opanowywała. – Ja nie mogę być dawcą, bo... od kilku lat jestem nosicielką wirusa żółtaczk.

- A to pech!

- Nie kpij.

- Nie kpię. Stwierdzam fakt.

- No wiec jak?

- Z czym?

- Oddasz tę krew dla niej, czy nie?

Teraz ja milczałam.

- W końcu... kiedyś byliście z sobą blisko. Nie pamiętasz? Esterka patrzyła w ciebie jak w tęczę! I nadal cię lubi, mimo iż porzuciłaś i doprowadziłaś do śmierci jej brata!

- Ja go porzuciłam???

- Tak, w dodatku w chorobie!

- Chyba umysłowej. Eneasza najzwyczajniej uciekł. Zwiął bez podania adresu.

- Nawet gdyby tak było naprawdę, to powiedz mi, który mężczyzna ucieka od dobrej, kochającej małżonki! Widać takie życie mu zgotowałaś,

że od ciebie uciekł. A to wychodzi na jedno. To jak, dasz tę krew?

- Nie.

- Ada... Estera jest teraz moim jedynym dzieckiem! Grozi jej śmierć, zdajesz sobie z tego sprawę? Jej i jej dziecku! Proszę... Mam... tylko ją na tym świecie!

- Może, gdyby pani od tego zaczęła, rozważyłabym tę... prośbę – odpowiedziałam wolno, wyraźnie i odłożyłam słuchawkę.

Szczerze mówiąc Filippa zadzwoniła w złym momencie. I nie chodzi już o formę, w jakiej przekazała mi swoją „prośbę”, ale o chwilę, w której to zrobiła. Przyznam, że informacja o zagrożeniu życia Estery nie wywarła na mnie szczególnego wrażenia, zwłaszcza, że histeryczne usposobienie mojej teściowej zazwyczaj prowadziło do rozdmuchiwania problemów ponad miarę. Być może jednak w innej sytuacji rozważyłabym, jak duże jest prawdopodobieństwo, że mówiła rzetelną prawdę. Teraz jednak myślami byłam albo w niedalekiej przeszłości (noc z Arturem), albo w niedalekiej przyszłości (wizyta na komendzie). No i jeszcze przecież musiałam się do tej wizyty przygotować. Ale nie zamierzałam się stroić, właściwie co by mi to dało?

* * *

Artur był w swoim biurze sam. Tak, jak się spodziewałam, przyjął mnie bez specjalnych względów i oznak radości. Na początek spisał wszystkie moje dane i potwierdził personalia za pomocą dowodu osobistego. Przyjęłam więc odpowiednią postawę.

- Pani Topor – zaczął w końcu przesłuchanie. - Proszę mi powiedzieć, w jakich okolicznościach... panowie Lasoń, Grzmot i pani Dobrowolska znaleźli się w magazynie galerii „Strych”?

- Tego nie wiem. Jak przyszedłam do pracy, już tam byli. Mogę jedynie domniemywać.

- Że?

- Że po raz kolejny zakłócili spokój mojej pracownicy, oraz... innych najemców kamienicznych lokali. Ci zaś zadziałali w obronie własnej.

- Czy to znaczy, że wyżej wymienione osoby bywały agresywne? Stosowały przemoc czynna lub słowną?

- W pewnym sensie. Były namolne.

- No cóż... Zawsze panie wiążą i kneblują namolnych klientów?

- Nie. Ci byli wyjątkowi. A skąd... pan wie co im robiłyśmy?

- Zgłosili się do nas i zeznali.

- Byli na skargę?!

- Przeciwnie. Chcieli się poddać karze.

- I?

- Chyba ja tu zadaję pytania, prawda?

- Może już nie – straciłam cierpliwość. – Teraz ja. Czy to taki wielki problem dla policji, że cywilny obywatel sam zadba czasem o własne bezpieczeństwo? W dodatku bezkrwawo?

- Tu bym dyskutował – Artur uśmiechnął się lekko.

Pewnie wiedział o podrobach. Zmilczałam to, ale za to na moich policzkach wykwitł rumieniec wstydu.

- Chodzi o to, że ci państwo byli pod naszą ścisłą obserwacją i mieli swoją, przewidzianą przez nas rolę w całej sprawie. A panie nam zburzyły misternie wypracowany plan.

- To trzeba mi było powiedzieć dokładniej, co tu jest grane.

- Pani daruje, ale czy ktokolwiek mógł przewidzieć, że dwie misterne kobiety spacyfikują średniej klasy grupę przestępczą?

- Trzy.

- Niech będzie. Ale to nie zmienia postaci rzeczy.

- Można w takim razie wiedzieć, do czego oni byli wam potrzebni? – spytałam.

- Ich działania były obserwowane przez znacznie groźniejszych bandziorów, przekonanych, że ci wiedzą gdzie jest... coś, na czym i im zależy i że go lada chwila to stamtąd wyciągną. A potem wystarczyłoby im to tylko odebrać. Włam zrobiony cudzymi łapkami i bez względu na

koszty uboczne, winni do posadzenia są. My mieliśmy tylko zaczekać na tę konfrontację światów przestępczych.

- Rozumiem. I co teraz?

- Teraz trzeba opracować nowy plan. I wdrożyć.

- To znaczy?

- To znaczy, że panie mają się zachowywać całkiem zwyczajnie i nie robić niczego na własną rękę. A o wszystkim, co was zaniepokoi natychmiast powiadamiać policję.

- No dobrze – zgodziłam się bez przekonania. - A czy jest się czego bać?

- Nie, jeśli dostosujecie się ściśle do tych zaleceń.

* * *

W zasadzie, uczciwie rzecz biorąc, już nazajutrz miałabym o czym donieść policji. Kilka razy bowiem natknęłam się w okolicach galerii, jak to Artur określił, na rzeczy niepokojące. Niby nic nadzwyczajnego, ale natężenie różnego rodzaju napraw w okolicy było znacznie bardziej intensywne niż kiedykolwiek. A to grzebano w jezdni, to przy elewacji, na koniec zostałam powiadomiona, że neon nad moją galerią zagraża bezpieczeństwu przechodniów i będzie w związku z tym wnikliwie obejrzany i ewentualnie zreperowany. Do środka tymczasem nikt się nie pchał. Dużo wysiłku kosztowało mnie przekonanie Olgi, a jeszcze bardziej Reni, aby całkowicie ignorowały te wszystkie zabiegi. Myślałam, że może Artur sam zainteresuje się tym, ale aż do wieczora był całkiem niewidzialny. Spotkałam go natomiast wracając z pracy. Już sama nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Czy udawać, że go nie znam (z powodów operacyjnych), ignorować go prywatnie, czy wręcz odwrotnie, tu i teraz opowiedzieć mu o swoich spostrzeżeniach.

- Przejdziemy się kawalek? – spytał, rozwiązując tym samym moje problemy.

- Dokąd?

- W tę, albo z powrotem. Mnie wszystko jedno.

- Wolę z powrotem.

Wykoncypowałam, że bardziej mi się oplaca oddalać od domu, niż przybliżać, ponieważ w ten sposób będę mogła być z nim dłużej. W końcu jeszcze trzeba będzie wrócić...

- Jak sprawy? – spytał, jak już kiedyś.

- Jak i z lewy – odparłam, jak wtedy.

- Czyli?

- Czyli po obu stronach do kitu. Kręcą się jacyś wkoło i zapewniam, że to nie są zwidy. A sadząc z fachowości, z jaką się zabierają do rzeczy, mam się czego bać – odparłam kwaśno.

Może bym i o coś zapytała, ale nie wiedziałam, czy w tej chwili jesteśmy z sobą na „ty”, czy na „pan, pani”.

- I boisz się? - właśnie się dowiedziałam.

- Dziwi cię to? Podobno masz sprawy pod kontrolą, a ja jakoś nie zauważyłam, żebyś się zainteresował tym, co się aktualnie dzieje. Na serio, Artur. Boję się. Nie sądzisz, że na ten czas przydałaby mi się jakaś ochrona?

- Od dawna msz już ochronę.

- Jakoś nie zauważałam...

- Jesteś pewna?

- O? Czyżbyś to był ty?

- Powiedziałem ci o tym, gdy pytałaś, co robiłem w Krakowie, w tym samym hotelu co ty.

- Żartowałeś!

- Wcale nie. Chyba nie mogłaś mi wtedy zarzucić braku czujności. I skuteczności.

- Sorry, ale ja nadal ci nie wierzę.

- Proszę uprzejmie.

Niechętnie przeszło mi przez myśl, że może to jednak prawda...

- No dobrze. A skoro tak, od jakiego czasu mnie śledzisz?

- Ochraniam.

- Niech będzie.

- Od czasu, gdy przejąłem od Czeška dochodzenie w sprawie pierwszego włamania do galerii.

- To byłeś ty?!

- Do usług, madame. Ale tamta sprawa nie była związana z tą teraz. Ot, pojedynczy złodziejasek, chciał trochę zarobić. Na wódę.

- Skoro ty teraz zajmujesz się moją ochroną, kto trzyma rękę na pulsie szajki?

- Za dużo chciałabyś wiedzieć.

- Dobra. Cofam pytanie. Ale za to samo powiedz mi, co ma do tego moja macocha? To przypadek, ten... układ personalny?

- Nie. Ale też nie ma czego demonizować.

- Czyli?

- Po co ci to wiedzieć...

- No, mów! – teraz już bym nie odpuściła.

- Od nich, to znaczy od twojego ojca z małżonką Eneasz dowiedział się o kamienicy. I o... skarbie. Tamtym z legendy. Do czasu, kiedy się dowiedział, że to tylko bujda, snuł z nim związane, bardzo konkretne plany.

- Aha – skwitowałam tylko.

Na chwilę odeszła mi ochota dopytywać o cokolwiek. Bo skoro tak właśnie było, to by oznaczało... że nawet w naszych najlepszych czasach Eneasz tylko udawał. Zaplanował wszystko i odegrał... Myślałam, że ten drań niczym mnie już nie zaskoczy. Okazało się, że nawet po śmierci potrafi dać mi się we znaki.

- W takim razie... ja chyba kompletnie nie umiem interpretować rzeczywistości – powiedziałam w końcu mizernym głosem.

- Tego chyba nikt do końca nie potrafi.

- Ja nie potrafię nawet od początku.

- Nie sądzę. Myślisz czasem... bardzo... składnie i logicznie.

- Fajnie. Ale już nie będę sobie łamała głowy szukając odpowiedzi na pytania, na które i tak jej nie znajdę. Albo po raz kolejny totalnie zblądzę. A skoro tak, powiedz mi, czy twoje zainteresowanie mną jest wyłącznie

służbowe? Nawet wtedy, kiedy się wydaje... całkiem prywatne? Czy może po prostu tak się składa, że skoro już jestem pod ręką...

Urwałam, bo głos zaczął mi drżeć. Jeszcze trochę, a byłabym się rozryczała. Artur zatrzymał się, wsadził rękę w kieszenie i spojrzał na mnie z góry.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Czemu? Przecież ta... nasza relacja jest obustronna.

On naprawdę tak uważał? – pytałam sama siebie. - Że ja nadal... hołduję swoim zasadom „układu płci”? Czy ani przez moment nie zauważył, że ja... Że... A, tam, do cholery! Zauważył! Bo jak pierwszy raz go spotkałam twarzą w twarz, ewidentnie mnie odtrącił! Bo uznał, że się mogę zaangażować. A skoro tak, to czy teraz sobie ze mnie kpił?

- Nic nie powiesz? – spytał, przerywając moje myśli.

- Nie. Nie warto. Chłodno się zrobiło, ja wracam. Nie musisz mnie odprowadzać.

- Owszem, muszę. To leży w moich obowiązkach – dodał, jakby mi jeszcze było mało.

ROZDZIAŁ XVII

Godzina zero

- Olga, zostaniemy dziś w pracy dłużej – oznajmiłam mojej pracownicy z samego rana. – Mam nadzieję, że ci to nie zburzy planów na wieczór.

- Nie zburzy. Co będziemy robić?

- Spis towarów. Tyle się tu kręci ostatnio rozmaitej gangreny, a my nawet nie wiemy, czy nie jesteśmy systematycznie okradane.

- Słusznie – przyznała Olga. – I nie wiadomo ilu się jeszcze pokręci. I co ukradnie...

- Zauważyłaś, że coś już może zginęło? – zaniepokoiłam się.

- Nie. Ale mogło zginąć, a ja mogłam nie zauważyć. Daruj, ale tyle się ostatnio dzieje...

- Na twoje życzenie, Olga. W końcu nikt ci nie kazał angażować się w śledztwo.

- No tak, chciej tu dobrze człowieku, nadstawiaj karku za cudzą sprawę, a na pewno cię docenią...

- Nie, no już dobrze, nie dąsaj się Olga, bo to nie czas i nie miejsce. Ja oczywiście... doceniam twój wkład w sprawę... - zaczęłam nieszczerze, na szczęście Olga mi przerwała, bo sama nie wiedziałam, jak dokończyć zdanie.

- Nie oczekuję pochwał. Po prostu robię, co do mnie należy – stwierdziła skromnie.

Z tym „należy” oczywiście nie mogłam się zgodzić, ale już zmilczałam. Wolałam nie wszczynać dziś sprzeczek z Olgą w obawie, że mi znowu

zastygnie, a wówczas na niewiele by mi się zdała. A ja przy okazji remanentu postanowiłam przyjrzeć się przedmiotom, które „mogły być puste wewnątrz tak, aby pomieścić pół litra”. Ściany i podłogi już w miarę dokładnie obejrzałam. Ponadto w czasie remontu, gdy adaptowałam te kilka pomieszczeń na galerię, zrywana była dość gruba warstwa tynku i kładziona na nowo, bo był grzyb. Podłoga też była wymieniana, więc raczej nie było szans, by coś przeoczyć. Bo przecież Eneasz, gdyby już coś tam schował, to tak, żeby było w miarę pod ręką... Żeby mógł jak najszybciej wiać, jakby co.

To rozmyślanie tchnęło we mnie jakiś bliżej nieokreślony lęk. Podejrzliwie przyglądałam się każdemu kolejnemu klientowi. O cokolwiek nie pytano, moją pierwszą myślą było: czy zmieściła by się w tym butelka wódki? A czemu butelka wódki właściwie, a nie na przykład... kilo kiełbasy? – dopiero teraz mnie to zastanowiło. – Bo – odpowiedziałam sobie – pewnie tym zbirom flaszka jest im bliższa od zakąski...

Nie wiem, po co właściwie zależało mi na znalezieniu tych diamentów, przecież nie wzięłabym ich dla siebie. Nawet jakbym chciała, to by się nie dało. No bo co? Stanę z nimi na bazarze? Albo wejdę w układy z mafią? Nie były mi one do niczego potrzebne. Aczkolwiek odnaleźć je chciałam.

- Notujesz, co sprzedawałaś? – spytała Olga, widząc chyba, że jestem trochę nieobecna. – Potem ci będzie brakowało w spisie.

- A... nie. Ale już piszę – zreflektowałam się. – Świecznik i wazon.

- Lecę do cukierni po pączka, więc jakby co, skup się lepiej. Chcesz też?

- Nie. Odchudzam się. I skupiona jestem.

Pod nieobecność Olgi sprzedałam ogromne, kryształowe lustro w złożonych ramach i... obraz z dziewczuchą i kaczuszkami, który tak bardzo jej się podobał. Nawet zawahałam się przez chwilę, czy go nie zostawić, ale uznałam to za dobry omen. I sprzedałam. Obie transakcje skrupulatnie odnotowałam.

- Gdzie obraz? – to były pierwsze słowa Olgi po powrocie.

- W szufladzie – odparłam.

- Co takiego?

Gwoli wyjaśnienia otworzyłam szufladę i pomachałam jej przed nosem plikiem stuzłotówek.

- A, chyba że tak! – skwitowała bez szczególnej rozpaczy.

* * *

Punkt osiemnasta, jak zwykle akuratna do bólu Olga zamknęła galerię (od wewnątrz) i odwróciła kartkę właściwą stroną do ulicy. Jeszcze nie zdążyłyśmy przystąpić do pracy, raptem wypilyśmy po kawie, kiedy rozdzwonił się telefon.

- Zamknięte – rzuciłam w stronę brzęczącego aparatu.

- Odbierz może, bo będzie nam tak wył bez końca.

- Nie będzie – uspokoiłam ją, po czym wyjęłam wtyczkę z kontaktu.

Zaraz potem rozdzwoniła się moja komórka.

- I co teraz? – spytała Olga z uśmiechem.

- To samo – odparłam i wyłączyłam ją ostentacyjnie.

- Zostaw może chociaż jeden. Żebyśmy miały jakiś kontakt ze światem...

Olę chyba też odrobinę obleciał tchórz. Lub odezwała się jej wrodzona praktyczność.

- Nie. Ty sobie miej załączony, jak chcesz.

Ledwie to powiedziałam, w jej torebce dał się słyszeć dźwięk, podobny do trąb jerychońskich. Przynajmniej ja go sobie tak wyobrażam.

- A ja odbiorę – oznajmiła i odebrała, zanim zdążyłam zareagować.

Olga otworzyła szeroko oczy i wetknęła mi telefon do ręki.

- To do ciebie!

W pierwszej chwili pomyślałam, że to Filippa. Bo tylko ją spośród znanych mi osób było stać na dręczenie mnie przez cudzy telefon. Tylko skąd by miała numer?

- Dlaczego, do jasnej cholery nie wychodzicie z pracy????!! – ryknął na mnie... Artur.

Wybiegłam do kuchenki, żeby Olga nie słuchała naszej rozmowy. Stałam przy oknie i rozejrzałam się na tyle, na ile panorama mi pozwoliła. Nigdzie go nie dostrzegłam.

- Nie martw się, nikogo nie maltretujemy tym razem. Robimy remanent.

- Nie ważne, co tam robicie!!! Macie natychmiast stamtąd wyjść! Rozumiesz?!!! Teraz!

W tej chwili dostrzegłam zajeżdżający pod galerię wielki dostawczy samochód, z napisem „Antyki”. Poczułam ciarki na plecach. Antyki? Jakie antyki??? – zaczęłam teraz myśleć równie szybko, jak w czasie wypadku z psem. – Przecież my tu nie miewamy żadnych dostaw towaru! Skupujemy go od pojedynczych osób!

Samochód zaparkował na chodniku tuż przy wejściu tak, że zasłonił drzwi i całe okno wystawowe z przyległościami.

- Okej, już wychodzimy! – krzyknęłam do telefonu i pobiegłam po Olgę.

Ale ona... akurat otwierała drzwi jakiemuś mężczyźnie w garniturze. W momencie, kiedy uporała się z ostatnim zamkiem, facet w garniturze zrobił w tył zwrot, a na jego miejscu pojawiło się dwóch facetów w szarych kombinezonach i... kominiarkach na twarzy.

- Nie otwieraj!!! – krzyknęłam do niej, ale już po fackie.

- Miało was tu nie być. Ale, jak to się mówi, od przybytku głowa nie boli – odezwał się pierwszy.

- Oszczędziły nam przynajmniej zabawy z zamkami - odezwał się jakimś dziwnym głosem drugi. - Zrób coś z nimi Maksiu.

Kiedy Maksiu włożył nas na zaplecze, kątem oka dostrzegłam, że weszło jeszcze dwóch, targając z sobą wielką, czarną skrzynię.

- Przepraszam – wyłkała Olga po drodze.

Nie odpowiedziałam.

Zanim zostałyśmy związane, jedna z drugą plecami do siebie, zakneblowane i wrzucone do magazynu, solidnie nas przeszukano. I po chamsku.

- Dobra, nic nie mają. Telefonów, noży ani innej broni – poinformował towarzysza Maksiu.

- Yy y... Uuuu – spróbowałam porozumieć się z Olgą, gdy zamknęli za nami drzwi.

- Yyy y? – Olga najwyraźniej mnie nie rozumiała.

Ja jej zresztą też. Wyglądało na to, że nie mamy żadnej możliwości komunikacji, ani werbalnej, ani na migi, ani nawet wzrokowej. A ja bardzo chciałam podpełznąć bliżej drzwi, by przy wzmożonym sprycie oraz sprawności ruchowej nas obu, móc zajrzeć w szparę pod nimi. Między drzwiami i podłogą była bowiem od dołu odległość jakichś... sześciu - siedmiu centymetrów. Wiedząc, że się z Olgą w żaden sposób nie dogadam, zaczęłam działać. To znaczy usiłowałam obrócić nas obie o jakieś sześćdziesiąt stopni, a potem pociągnąć Olgę ku drzwiom. To było trudne, bo była ona znacznie większych rozmiarów niż ja, a poza tym... całkiem opatrnie rozumiała moje działania. Z obróceniem jeszcze jakoś poszło, ale kiedy zaczęłam przec naprzód, ona robiła dokładnie to samo, ale w przeciwnym kierunku. Myślała pewnie, że chcę w ten sposób rozerwać sznur.

- E e e e!!!! – zaprotestowałam.

- Yyyy??? - odparła Olga.

- Eee!!!! E! E! – wydukałam i zrobiłam ruch do przodu.

Olga też. Gwałtownym rzutem ciała w tył dałam jej do zrozumienia, że nie o to mi chodzi. Po kilku takich dźwiękowo – ruchowych reprimendach, w końcu pojęła. Zaczęła mi nawet pomagać. W końcu, spocone i zziębnięte osiągnęliśmy cel. Teraz musiałam tylko jakoś przekonać Olgę, żebyśmy położyły się na boku. Mną w stronę drzwi. Ale ona już chyba sama się zorientowała do czego zmierzam i zaczęła współpracować bez specjalnych oporów. Kiedy zajrzałam pod drzwi, ujrzałam (czego się wcześniej mogłam domyślić przy pomocy słuchu), że rabusie jakimś urządzeniem tną ściany. Jeden z nich miał w łapach jakiś zmyślny, elektryczny przecinak, drugi na wpół leżał na ladzie i wgapił się w niewielki monitor. Reszty nie widziałam, ale pozwoliło mi się to domyślić, że mają jakieś urządzenie, sondę, czy coś, za pomocą której

przeświecają ściany. Chyba dość skutecznie, bo wycinali dziurę akurat w miejscu, gdzie była niegdyś wnęką z licznikiem od prądu, ale została zamurowana. Muszę przyznać, że to, co widziałam, wyglądało na bardzo sprawne i przemyślane działania. Niestety, nie używali pił tarczowych, ani udarowych młotów. To, czym dysponowali było na tyle ciche, że co najwyżej Renia by ich w mięsnym usłyszała, ale tam już jej nie było. Właściciel kamienicy był na tyle głuchy, że mógłby jedynie odczuć subtelne wibracje. Ale gdyby mieszkał bezpośrednio nad galerią...

- Ee e yyy? Y?! - spytała Olga i naparła na mnie plecami.

Domyśliłam się, że to miało oznaczać: „dasz popatrzeć?”

Umożliwiłam jej więc obrót o sto osiemdziesiąt stopni i teraz ona zaglądała przez szparę. Rozumiałyśmy się coraz lepiej...

- Uuuu uuu!!! – zawyla po chwili całkiem wyraźnie Olga.

- Yy? – spytałam, co tam takiego straszego zobaczyła.

Ale zaraz się zorientowałam w czym rzecz. Bandziory po prośbie chciały wejść do magazynu i w tym celu pchali i na zmianę walili ją drzwiami.

- A, spryciary! – odezwał się któryś z trzech bezimiennych. – Dobra, dość tego. Kolej na to pomieszczenie.

Przez chwilę mignęło mi przed oczami wnętrze galerii (przy otwieraniu drzwi rabusie obrócili nas tak, że obie mogłyśmy je zobaczyć, aczkolwiek do góry nogami). Zobaczyłyśmy zrujnowane ściany, porozpruwane fotele, wybebeszoną sofę, powycinane z ram obrazy. Cała ta operacja, według mojego poczucia czasu trwała nie dłużej, niż dwadzieścia minut.

- Uuuuu!!! - zawyłyśmy jednocześnie. – Uuuuuuuuuuuuu!!!!!!

- Co jest, robaczki, szkoda trochę, nie? – zarechotał Maksiu i załączył do kontaktu tą piłę... czy coś tam. Inny, taki najmniejszy i najchudszy zaczął przesuwac po ścianach czymś, co chyba spełniało rolę kamery. Kolejny ustawił monitor na blacie przedwojennego kredensu i wgapił się w niego z uwagą. Ten czwarty zajął się... patroszeniem pięknego, szafowego zegara! Co prawda była to tylko replika osiemnastowiecznego oryginału, ale jakże perfekcyjnie wykonana!

A wtenczas, jakby całkowicie bezszelestnie wśliznęło się do magazynu kilka ubranych na czarno, i też w kominiarkach postaci. Bandziory tego nawet nie zauważyły.

- Chryste Panie, druga mafia – pomyślałam i zamknęłam oczy ze zgrozy.

- Ręce na kark!!! Wszyscy pod ścianę! – dopiero na ten okrzyk, zarówno ja, jak i rabusie, zorientowali się w sprawie. Tylko że oni byli bardziej zaskoczeni.

Kiedy otworzyłam oczy zobaczyłam, jak każdy z nich, po obszukaniu zostaje kładziony na ziemi i zakuwany w kajdanki. Szybko, sprawnie i bez ceregieli.

- Ożesz, ty kurwa, uważaj! Kręgosłup mi złamiesz!!! – takie oto dwa zdania wyartykułował leżący już bandzior do siedzącego na nim policjanta.

Znałam ten głos! Świetnie znałam... Nie umiałam go jednak w tym momencie z nikim skojarzyć. Był to albo głos bardzo młodego mężczyzny, albo... kobiety?!

W tej chwili do magazynu wbiegł Artur. Rozciął krępujące nas sznury i poodklejał usta.

- W porządku, durne baby? - spytał z właściwą sobie subtelnością.

- Kto to jest?! Artur, ja muszę wiedzieć, kto to jest, ten ostatni? Najmniejszy??!! Muszę?!! – rozwrzeszczałam się nachałnie, zamiast odpowiedzi na pytanie.

Artur podszedł do wyprowadzonego na końcu opryszka i zdjął mu kominiarkę.

- Jooooolanta? – omal się nie zadławiłam ze zdumienia. – Chryste, ja nie wierzę! Jolanta?!!!

- A co ty, kurwa, sobie myślałaś? Że jestem żalospną starą panną, tak? Spójrz teraz na siebie, głupia suko – splunęła w moją stronę i roześmiała się jak głupia jakaś.

- Kto to jest Jolanta? – spytała Olga.

- No, Jolanta! Opowiadałam ci o niej nie raz. Siostrzyczka mojego byłego, Grzegorza!

Spojrzałam na Artura, by się przekonać, czy dla niego udział Jolanty w sprawie jest równie zaskakujący jak dla mnie i wówczas ujrzałam... stojącego za nim, z wycelowaną w jego plecy dubeltówką... pana Antoniego Żemłę, właściciela kamienicy! Nie było sensu czegokolwiek tłumaczyć przygłuchemu staruszkowi, który jakimś jednak cudem dowiedział się o napadzie na galerię. Ruszyłam naprzód, żeby zobaczyć, że jesteśmy bezpieczne, wolne, ale Artur na swoje nieszczęście uczynił taki gest, jakby chciał mnie zatrzymać. W tym momencie pan Antoni wypalił...

ROZDZIAŁ XVIII

Mgła

Niewiele pamiętam z tego, co się działo potem. Jedno tylko utkwiło mi w pamięci i przesłoniło wszystko inne:

- Nie żyje – oznajmiła Olga, trzymając go za nadgarstek. – Nie czuję pulsu.

Nie pamiętam, skąd wzięła się tam policja, lekarze, jakieś nosze, czy mary, co stało się z panem Antonim... Wszystko to jest zasnuwane gęstą mgłą. Cośkolwiek kojarzyć zaczęłam od momentu, gdy Olga wepchnęła mnie zupełnie ubraną pod prysznic, w mojej własnej łazience. Podobno działo się to wszystko trzy dni po tamtych wydarzeniach. Przez ten czas... mnie po prostu nie było. Nie myślałam, nie jadłam, nie spałam, nie myślałam się. Siedziałam w moim fotelu i na każdą próbę kontaktu warczałam jak pies.

- Nie żyje... – to ponoć były moje pierwsze ludzkie słowa.

Wówczas to w Olę wstąpiła jakaś nadzwyczajna desperacja, najpierw obita mi mordę, a potem zafundowała zimny prysznic. I to już pamiętam, sama z siebie, nie z opowiadań. Psychiatra Sonia podobno bardzo pochwaliła ją za te działania, były rzekomo całkiem fachowe. A w każdym razie skuteczne.

- Zobacz, jak wyglądasz – Olga zaciągnęła mnie do lustra. – I powąchaj, jak śmierdzisz.

Moje odbicie nie zrobiło na mnie wrażenia. Być może uznałam, że to ociekające wodą, umazane niewiedomo czym (może krwią Artura też) nieboskie stworzenie, to nie ja.

- Nie żyje – powtórzyłam tylko.

- Ale ty żyjesz – ofuknęła mnie Olga. – Więc weź się za siebie!

Bez protestu pozwoliłam się jej umyć, przebrać nakarmić.

- Ada... ja wiem, że to dla ciebie spory szok, ale w końcu musisz się z tego otrząsnąć. Ja też tam przecież byłam i wiem, że teraz muszę z tym żyć. Bo jakie mam inne wyjście? Oczywiście, ty poniosłaś większe straty i emocjonalne i materialne, bo to była twoja galeria. Najważniejsza rzecz w twoim życiu. Ale ty jesteś silna, dasz radę, zrobimy galerię od nowa, pomogę ci...

- Artur nie żyje – ja jej na to.

Olga spojrzała na mnie teraz jakoś inaczej.

- Ten.. policjant?

- Policjant.

- Ty go znałaś... prywatnie?

- Bardzo. Bardzo go znałam...

Olga popatrzyła na mnie niepewnie. Widać rozważała, czy to, co teraz mówię jest wynikiem szoku, czy rzeczywiście aż tak się przejęłam śmiercią jakiegoś tam policjanta. I czemu aż tak...

- A wiesz... ja się już potem nie dowiadywałam, co z nim. Skupiłam się wyłącznie na tobie – wyznała. – Zresztą kto by mi udzielił informacji?

- Jak to...

- No Jezu, Ada, nie umiesz pojąć, że od momentu, gdy się to wszystko skończyło, ważna byłaś dla mnie ty i tylko ty? Jasne, przykra sprawa z tym policjantem, ale...

- To nie wiesz na pewno, czy on nie żyje? – nagle doznałam przyływu energii.

- Po mojemu nie, nie miał pulsu, nie oddychał. Ale nie jestem lekarzem. Mogłam się pomylić.

Chwiejnym krokiem podeszłam do telefonu i wybrałam numer komendy. W nosie miałam, co kto sobie pomyśli. W końcu... skoro się przeżyło niemal pewną śmierć, czy to mogło mieć jeszcze jakies znaczenie?

Poprosiłam o rozmowę z Agnieszką. Nie było jej w pracy. Wobec tego poprosiłam o połączenie z Czesławem Królem. Ten był.

- Dzień dobry, mówi Adela Topor. Ja ma do pana taką prośbę. Chciałabym się dowiedzieć...

- Aaaa... Pani Ada! Miło panią słyszeć po tym wszystkim. I jak tam, już wszystko w porządeczku? – włożył mi w słowo, ciesząc się nie wiadomo z czego.

- Nie w porządeczku, panie Król. Ale mniejsza o to. Chciałam zapytać...

- Wszyscy siedzą, proszę pani, jak ta lala. Posiedzą do procesu, a potem jeszcze długo po.

- Gratuluję. A co z Arturem? Może mi pan powiedzieć, czy nie? – zirytowałam się w końcu.

- Och, przykra sprawa. W szpitalu leży, na Powstańców.

Na chwilę wstrzymałam oddech.

- Co mu jest? – spytałam, ściskając słuchawkę tak mocno, że złapał mnie skurcz.

- Ma przestrzelony kręgosłup i jakieś wewnętrzne organy. Wątrobę chyba...

Nie słuchałam już jego dalszych wywodów. Rozłączyłam się i zaczęłam się ubierać. Byle jak, byle szybciej.

- Dokąd się wybierasz? – Olga usiłowała mnie powstrzymać.

- Do szpitala. I zjedź mi z drogi!

- Wobec tego idę z tobą.

* * *

Tak jak się spodziewałam, do Artura nie chciano mnie dopuścić, ani, jako osobie nieupoważnionej powiedzieć czegokolwiek o jego stanie zdrowia. W trakcie najgorętszej dyskusji z pielęgniarkami ktoś złapał mnie pod ramię.

- W porządku, ta pani jest ze mną – usłyszałam.

Obejrzałam się za siebie. To była Agnieszka.

Machnęła siostrą przed oczami legitymacją policyjną i pchnęła mnie lekko przed siebie.

- Ale sama – rzuciła przez ramię do idącej za nami Olgi.

Artur leżał w niewielkiej sali, poprzypinany do licznych rurek oraz urządzeń. Jego serce biło – widać było to na monitorze. Równie i miarowo.

Pochyliłam się nad nim. Miał zamknięte oczy, był blady. I kompletnie nieruchomy...

- Co z nim? – spytałam szeptem Agnieszkę.

- Nie wiem – westchnęła. – Nikt nie wie. Ale... jeśli z tego wyjdzie, to najprawdopodobniej nie będzie chodził. Nabój zahaczył o kręgosłup. Dla niego byłoby chyba lepiej... gdyby umarł.

- Oszalałaś? – jęknęłam ze zgrozą.

- Nie znasz go. To twarde. Zawsze wszystko musi mieć pod kontrolą. Nie wyobrażam sobie, że pozwoliliby komuś się karmić, poić i podcierać pupkę.

Wzdrygnęłam się na tą myśl. Istotnie, tego nie dało się wyobrazić.

- A kiedy... się to wszystko rozstrzygnie? Mniej więcej?

- Tego też nie wiadomo.

Spojrzałam na Artura. Nie drgał mu nawet jeden mięsień.

- On nas słyszy?

- Możliwe. A co? Chcesz mu coś powiedzieć? Podziękować? Mów, co ci szkodzi.

- Nie...

- Mam wyjść?

Spojrzałam na nią niepewnie.

- Okej, wychodzę.

- Nie. Nie – złapałam ją za rękę. – Ale załatw z lekarzami, żebyś mogła tu przychodzić. Kiedy zechcę i na jak długo.

- Tak się nim przejmujesz? – zdziwiła się Agnieszka.

- Owszem. Bardzo.

* * *

Olga przez cały ten czas czekała na mnie w holu. – A właściwie dlaczego? – przebiegło mi przez myśl. – Dlaczego trwała przy mnie przez te ostatnie dni jak żołnierz na warcie? Przecież to nie leżało w jej obowiązkach służbowych... Postanowiłam ją o to zapytać.

- Czemu jeszcze tu siedzisz?

- Jak to: czemu? - zdziwiła się, jakby sprawa była oczywista.

- No właśnie, czemu?

- Bo... się o ciebie troszczę?

- Ale czemu – usiadłam obok niej na drewnianej ławce.

Olga spojrzała na mnie, jak na dziwoląga.

- No bo... No bo tak. To chyba normalne, prawda?

- Nieprawda. Byłoby normalne, gdybym była dla ciebie kimś bliskim. Nie wiem... kimś z rodziny? Przyjaciółką? Czy koleżanką chociaż? Albo nawet wówczas, gdybyś mnie po prostu lubiła. Ale w sytuacji faktycznej nie masz do tego powodu.

- Ada... Umówię cię z Sonią na wieczór. Proszę, zgódź się – Olga niezręcznie musnęła moją rękę. – Martwię się o ciebie.

- Wiem! Ale do cholery, dlaczego? Dlaczego się martwisz? – warknęłam.

- Bo od tej akcji w galerii gadasz od rzeczy. I zachowujesz się od rzeczy...

- Nie o to mi chodzi. Jaki TY masz powód, albo nie wiem... interes, żeby się mną przejmować?

Olga przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Może... nie będę się nad tym rozwodzić, ale powiem tak: kieruje mną obowiązek wobec drugiego człowieka. Bliźniego, jeśli to zabrzmi jaśniej.

- Jaki obowiązek? Przecież nie jesteś mi nic winna, nie ma między nami żadnych prywatnych zależności. Nie masz takiego obowiązku.

- Mam. Przez sam fakt, że jestem człowiekiem. I że ty jesteś człowiekiem. I że potrzebujesz wsparcia i nie masz nikogo innego, kto

mógłby ci je dać.

- Co z tego? To przecież nie twój problem.

- Jasne. To nie jest określone żadnymi przepisami, nakazami. Ale tak to czuję. Tak nakazuje mi moje człowieczeństwo. Nie wiem, jak to powiedzieć jaśniej...

- Wystarczy – podniosłam się z ławki, Olga również.

- Ale do żadnej Sołki nie idę – zastrzegłam.

* * *

Rano zadzwoniła Filippa. Powiedziała, że Estera jest w szpitalu i że lada chwila zacznie się poród. I tylko tyle. Więcej chyba nie mogła, rwał się jej głos. Spytałam, w którym szpitalu leży i to już objaśnił mi teść. Wzięłam kąpiel, ubrałam się pośpiesznie i zadzwoniłam po taksówkę. Nawet nie sprawdzałam, o której będzie pociąg, ale czekałam raptem czterdzieści minut.

W pociągu był tłok i zaduch. Nie wiem, czemu tak jest. Rzadko jeżdżę pociągami i być może dlatego nie potrafię rozgryźć, czym to się kieruje. Bo i dzień jest najzwyczajniejszy i pora jakaś nieszczególna, a ludzi tłum. Jak wracałam z wesela Estery, logicznie rzecz biorąc powinien być większy tłok. Poniedziałek, rano – ludzie wracający z weekendu, udający się do pracy, młodzież jadąca do szkół... A tu nie, całkiem odwrotnie.

Na dworcu w Krakowie znów wzięłam taksówkę i kazałam się wieźć pod wskazany przez byłego teścia adres. Niestety, nie dopytałam dokąd mam się zgłosić, gdzie konkretnie znajduje się ta Estera, ani nawet... jak się nazywa po mężu. Jego nazwisko widziałam tylko przez chwilę na zaproszeniu na ślub. I wyleciało mi z głowy. Nie miałam też numeru telefonu Filippy, a ponieważ zawsze dzwoniła na stacjonarny, więc nie miałam go teraz komórce.

Stałam w holu szpitala przed wielką tablicą i tą drogą zamierzałam się dowiedzieć przynajmniej, gdzie mieści się oddział położniczy.

- Jesteś – stwierdził ten niezaprzeczalny fakt mój były teść, który nagle wyrósł obok mnie.

- Jestem. Dokąd mam pójść?

- Proszę – wskazał gestem kierunek, gdzie mieściła się winda.

Przez dłuższy czas milczeliśmy oboje. Bo i o czym tu gadać? O Esterze? Tu trzeba było działać. O przeszłości? – bez sensu. Teść nigdy nie wtrącał się do naszego pożycia z Eneaszem, niczego nie komentował, o nic nie pytał. Czasem miałam wrażenie, że nawet nie bardzo go to wszystko interesowało. Teść oprócz tego, że był, nie dawał z siebie niczego innego. Nigdy i nikomu. Dlatego teraz bardzo mnie zaskoczył, gdy po wyjściu z windy gwałtownie i zdecydowanie złapał mnie za łokieć i zatrzymał w miejscu.

- Mam do ciebie prośbę – szepnął. – Nie kłóćcie się z Filipką o to, co było. To niepotrzebne w tej sytuacji.

- Ja nie zamierzam – odparłam. – Ale za Filipkę nie ręczę.

- Proszę...

- Jeśli o mnie chodzi, zrobię co w mojej mocy.

- Ada, – chyba po raz pierwszy zwrócił się do mnie z imienia - nawet jeśli ona zacznie, ustąp.

- Bo?

- Bo... teraz już będzie wszystko inaczej. Estera wyjdzie z tego, urodzi nam wnuka i na tym Filipka się teraz skupi. Ona... jest bardzo załamana. Zobaczysz, to nie ta sama kobieta.

Spojrzałam na niego pytająco. Czyżby on... jeszcze nie miał jej dosyć?

- To moja żona – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Nie jest łatwą kobietą, ale taką żonę mam. I nic na to nie poradzę.

- Trzeba się było zbuntować. Już dawno temu – wypaliłam, nie wiadomo po co.

- Nie, nie. Za duże... koszta manipulacyjne.

* * *

Zanim przeszliśmy przez cały długi korytarz, miałam niezłą okazję obejrzeć sobie „nie tę samą” Filipkę, ponieważ znajdowała się na jego drugim końcu. Na zmianę to chodziła, to siadała, to nieruchomo wpatrywała się w jakieś drzwi.

- O! – wykrzyknęła na mój widok. – Prędko, siostró, jest krew!

Zaczepiła pierwszą lepszą pielęgniarkę.

- Tylko trzeba pobrać!

- Przekażę panu doktorowi – powiedziała spokojnie pielęgniarka i poszła dalej.

- Na szczęście ten doktor, to prawdziwy doktor, z tytułem – oznajmiła nam. – Sprawdziłam to.

Nie pytana wprost, starałam się raczej nie odzywać. Żeby czymś nieopatrznie nie rozsierdzić Filipki. W końcu obiecałam teściowi. Czekałam więc, że może z jej nieskładnych monologów dowiem się czegoś więcej. Ale niestety.

- Na co czekamy? – spytałam półgłosem teścia, gdy nadarzyła się okazja.

- Będą jej robili cesarskie cięcie. Czekali tylko na krew.

Nigdy wcześniej nie oddawałam krwi. Pewnie w innych okolicznościach bardzo bym się bała, ale teraz, w natłoku innych wrażeń to jakby całkiem straciło na znaczeniu. Wbrew moim obawom, nie bolało. Ale było niemiłe. Sama świadomość, że oto uchodzi ze mnie krew była najbardziej nieprzyjemna. I poza tym wydawało mi się, że trwa to wieki.

Zaraz potem postanowiłam zobaczyć Estere, choćby rzucić na nią tylko okiem. powlokłam się więc niepewnym krokiem w miejsce, gdzie rozstałam się z Filipką i jej mężem. Tam się dowiedziałam, że już zawieziono ją na blok operacyjny.

- Wszystko w porządku? – spytała, wpatrując się we mnie Filipka.

- Tak... Ale... ale chyba nie jadłam śniadania...

Nie wiem, czy dosłyszała, co do niej mówiłam, bo zaraz potem otoczył mnie mrok. Kiedy się ocknęłam, siedziałam na wózku pod ścianą i pochylały się nade mną trzy głowy: pielęgniarki, i w tle, Filipki i teścia.

- Już dobrze? – spytała pielęgniarka.

Skinęłam głową.

- Proszę się zająć synową – zwróciła się do moich byłych teściów i poszła w swoją stronę.

- Musisz to zjeść. I wypić – teściowa usiłowała mi jednocześnie wpechnąć do ust kawałek kanapki i szzyjkę od butelki soku marchwiowego.

- Udusisz ją – wtrącił się, o dziwo teść. - Po kolei jej podawaj!

- Weź – oddała mu butelkę. – Ręce mi się trzęsą, jeszcze jej coś zrobię,

Miałam spuentować tę jej troskę, że przecież Estera ma już moją krew, ale spojrzałam na teścia i się powstrzymałam.

Teść miał na imię... Kazik. Myślę, że był to jeden z powodów, dla którego Filippa nie darzyła go zbyt dużym szacunkiem. Przyznam, że troszkę musiałam się skupić, by sobie to jego imię przypomnieć. Rzadko miałam okazję je słyszeć. A już nigdy z ust jego małżonki...

- No, przełknij – ponaglała Filippa. – Zjedz choćby kilka kęsów i wypij trochę soku.

Nie mogąc się odezwać w takim tonie, jakbym chciała, wykonywałam bezwolnie jej polecenia.

- Skoda, że nie możemy być teraz z Esterką - westchnęła. – Boże mój, Boże jedyny... Oby się wszystko udało!

- Uda się – oznajmił z pewnością w głosie teść - Kazik.

Normalnie zostaliby za taką autorytatywną odpowiedź srogo zgromiony, ale teraz Filippa spojrzała na niego z odcieniem wdzięczności.

- Boże, mój Boże jedyny – powtórzyłam za nią w myślach. – W intencji Estery, ale i z myślą o Arturze.

Oboje potrzebowali teraz boskiej pomocy. Jadąc tu robiłam to oczywiście dla Estery i jej dziecka, ale też... w równym stopniu dla Artura. Jemu moja krew na nic by się zdała, jemu nie byłam w stanie w żaden sposób pomóc, więc przełożyło mi się to jakoś w głowie na Esterę. Jakby byli jednym. Jednym bliźnim, jak to mówiła Olga, który mnie teraz

potrzebował. Na życiu obojga zależało mi w takim samym stopniu, choć zdecydowanie inaczej. Bo inne były uczucia, którymi ich darzyłam.

- No, już wyglądasz w miarę jak człowiek – oceniła mnie Filippa. – Chcesz wracać do domu?

- Nie. Zaczekam. Zaczekam, aż urodzi.

Chciałam się upewnić, że wszystko będzie w porządku. Zostałam, mimo iż byłam zdana na towarzystwo, jakby nieco mniej niż normalnie złośliwej Filippy. Może teść miał rację, że się zmieniła?

- A... gdzie jest mąż Estery?

Teraz uświadomiłam sobie, że i on powinien tu być.

- Też zasłał – odparł teść. – Ale informujemy go o wszystkim na bieżąco. Jak dojdzie do siebie, zjawi się tu błyskawicznie.

- Odesłaliśmy go taksówką do domu – uzupełniła Filippa. – Musieliśmy się przecież skupić na krwi dla córki, a nie na omdleniach zięcia.

Pomyślałam, że Filippa go chyba nie lubi. Ale czy nie lubi go jako jego, czy jako konkurencję do uczuć swojego dziecka, jak było w moim przypadku?

- Zadowoleni jesteście z zięcia? – spytałam, bo co mi to właściwie szkodziło.

- Tak sobie – odparła Filippa. – Nie najgorszy z niego chłopak, ale też nic nadzwyczajnego.

- Estera świata poza nim nie widzi. To dla nas najważniejsze – odważył się dorzucić teść.

- Gdyby widziała choć kawałek, może wreszcie uporała by się z doktoratem – podsumowała Filippa.

Marta Estery chyba już dochodziła do siebie i prawdopodobnie sprawiła to moja krew. Zamknęłam oczy. Artur... teraz myślałam o nim. Pojawił mi się przed oczami, taki blady, nieruchomy, milczący. - Boże... daj, żeby wyzdrowiał. Proszę! Proszę. Proszę. Proszę – tylko na taka modlitwę było mnie stać w tej chwili.

Otworzyłam oczy, słysząc zbliżające się kroki. To był mąż Estery, w towarzystwie pielęgniarki.

- A co ty tu robisz? – powitała go teściowa. – Już ci lepiej?
- Zdecydowanie – odparł i roześmiał się w głos.
- Mają państwo wnuka – pośpieszyła z wyjaśnieniem jego dziwnego tikku pielęgniarka.
- Jak... to... I on już wie?
- Spotkaliśmy się przy windzie, – wyjaśniła pielęgniarka – więc mu powiedziałam.
- Szybko poszło – pomyślałam i spojrzałam na zegarek.
- Taki poród nie trwa długo – powiedziała na ten mój gest pielęgniarka.
- Jeśli nie ma komplikacji, działania są rutynowe.
- Nie było komplikacji??? – spytała, jakby z zawodem w głosie Filippa.
- Nie. Żadnych – odparła pielęgniarka. – Ale... mogły być - dodała na widok miny Filippy.

ROZDZIAŁ XIX

Królestwo Czesława

Prosto po powrocie z Krakowa pobiegłam do Artura. Czekając na poród Estery kilka razy miałam nieodpartą chęć zadzwonienia do Agnieszki z pytaniem o jego stan. Nie zadzwoniłam. Może... się po prostu bałam. Zapewnić, czy coś... Wolałam się przekonać na własne oczy. Tym razem nikt mnie nie zatrzymał, widocznie Agnieszka zadziałała jak trzeba.

Artur leżał jak przedtem. Dokładnie taki, jakim go widziałam ostatnio. Ale dziś byłam z nim sama, mogłam powiedzieć mu co chciałam, a nawet go dotknąć. Jego ramiona były chłodne. Ale nie zimne, dało się odczuć w nim oznaki życia.

- Artur – szepnęłam, pochylając się nad nim.

Liczyłam na to, że go w ten sposób obudzę? Nie wiem, na co liczyłam.

Usiadłam na krzeselku obok i wpatrywałam się w niego w milczeniu. On był mój i to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Chciał, czy nie – by mój, miałam go w sobie, w sercu, duszy, w myślach. I nic nie mogło zmienić tego faktu...

- Jesteś mój, wiesz? – szepnęłam do niego i natychmiast się przestraszyłam. – A nuż lepiej, żeby nie wiedział? Może zirytuje go ta informacja i mu zaszkodzi?

Ale on w żaden sposób nie dał znać tego po sobie.

- A, co mi tam – uspokoiliłam się zaraz. – Właściwie mam jedyną okazję powiedzieć ci wszystko, co zechcę. I tak właśnie zrobię.

Spojrzałam na niego wstrzymując oddech. Ale i teraz nie było najmniejszej reakcji. Wzięłam go za rękę. Nie oponował...

- Artur, strasznie mi przykro, że tak się stało. Strasznie, bardzo, niewypowiedzianie! Ale co ja mogę? Co mogę dla ciebie zrobić? Gdybyś potrzebował krwi, albo wątroby – nie ma sprawy. Ale ty nie potrzebujesz. Niczego nie potrzebujesz. No chyba, że modlitwy... A ja nie pamiętam już, jak się należy modlić. Umiem tylko prosić. Artur... Boże mój, proszę... Proszę, proszę, proszę...

I chyba zasnęłam na tym krzeselku. Kiedy doszłam do siebie, za oknem było już szarawo. Nikt mnie nie wyganiał, nikt nie zakłócał mojego spoczynku...

* * *

- Chwała Bogu! Że też wcześniej na to nie wpadłam - to była Olga.

Stała w drzwiach, również przez nikogo nie niepokojona.

- Na co nie wpadłaś?

- Że możesz być tutaj. Szukam cię od samego rana.

- A co ty tu robisz? Tu nie wolno być!

- Jak widzisz, ja też mam swoje wejścia – odparła niezrażona. – Chodź do domu, tu nic nie wskórasz. Jemu nie pomożesz.

- Pomogę!

- No dobra, pomożesz, ale nie wówczas jak sama się zamorzysz na śmierć. Jutro tu wrócisz.

Poszłam za nią dla świętego spokoju. Nie odpuściłaby, a cóż ja mogłabym tu robić razem z nią?

- Idziemy na kolację do restauracji. W domu nie masz nic do jedzenia, ja zresztą... też – obwieściła.

Najbliżej była „Baba Jaga”. Chodziłam tu czasem z Grześkiem, podawali tu niezłego Strogonowa.

- Powiedz mi Ada, czy to, co teraz wyprawiasz jest nadal wynikiem przebytego szoku, czy... czegoś innego może? - spytała Olga pomiędzy

łapczywymi kęsami.

- To znaczy?

- Daruj... może nie powinnam tego mówić, ale... no, po prostu nigdy dotąd nie widziałam cię tak przejętej czyimkolwiek losem. Znasz tego faceta... bliżej jakoś?

- Kocham go – oznajmiłam.

Tak zwyczajnie, bez wstępów i owijania w bawełnę. Jak mogłam przypuszczać, Olgę to wyznanie chwilowo ubezwłasnowolniło.

- Jak to... - odezwała się w końcu.

- Żebym to ja sama wiedziała... Ale nie wiem! Pojęcia nie mam, Olga!

- To znaczy, że to twój nowy facet jest?

- W pewnym sensie - odparłam. - B on mnie nie chce, a ja jego tak.

Olga patrzyła na mnie coraz bardziej zdumiona.

- Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że żartujesz.

- Niestety, nie żartuję. I wiesz, jakie to jest uczucie? Ta miłość? Nie-poję-te!

- Myślę, że wiem.

- A ja myślę, że nie wiesz. Ja też kiedyś myślałam że wiem, ale guzik prawda. To jest... jednocześnie... zapierające w dech szczęście i jednocześnie rozrywający ból. To jednoczesne pragnienie, by się od niego uwolnić i żeby w nim trwać po grób. To... to coś tak ważnego, że sama stajesz się dla siebie nieważna. Jest tylko on. Poza tym nic nie wiesz, o niczym nie myślisz, nic innego nie czujesz. To uczucie jest całe tobą, wszystko jest nim i wszystko się do niego sprowadza. Przez jego pryzmat patrzysz i słuchasz, postrzegasz...

Podniosłam głowę i spojrzałam na Olgę.

- Ada... - szepnęła ledwo słyszalnie. - Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. O tobie. I o tym wszystkim. Nie wiem.

- Więc nie sądz. Przyjmij to do wiadomości i nie zamartwiaj się o mnie. Ja teraz muszę robić to, co muszę. Po prostu. Pamiętasz? Sama mi o tym powiedziałaś, że człowiek ma czasem taki nieodparty obowiązek wobec drugiego człowieka. Ma i tyle! A wtedy musi, co musi.

- Pozwól mi w takim razie zadzwonić do siebie od czasu do czasu i dowiedzieć się, czy u ciebie wszystko w porządku. A jakbyś czegoś potrzebowała, obiecaj, że powiesz.

- Dobrze – zgodziłam się bez ceregieli.

- A co z galerią?

- No właśnie – strapiłam się, bo o tym akurat ani przez chwilę nie pomyślałam. – A ty teraz nie masz pracy...

- Mniejsza ze mną, mam oszczędności, na jakiś czas starczy. Ale jakbyś chciała... jakbyś mnie upoważniła, zajęłabym się wszystkim. Myślę, że za pieniądze z ubezpieczenia da się zrobić remont. W magazynie niczego nie zdążyli zdemolować, więc za jakieś dwa, trzy tygodnie mogłybyśmy zacząć od nowa. Ja teraz zwyczajnie nie będę miała nic do roboty i chętnie się za to wezmę.

- Dobrze. Rób co chcesz i co uważasz – zgodziłam się.

Nie dlatego, żeby się Olgą wyręczyć, ale żeby mnie zostawiła w spokoju.

* * *

- O, nie, żadnych kwiatków, żadnych wiehci tu nie będzie. Niedoczekanie! – niemal wpadłam w furję widząc przy łóżku Artura całą masę różnego kwiecica, w wazonie wielkości beczki do kiszenia kapusty. Rozejrzałam się, czy nikt nie widzi i wywaliłam to tałatajstwo do kosza, upychając obiema rękami.

- Żadnego... kwiecica – stękałam, zmagając się z martwą już przyrodą.

Kiedy skończyłam i usiadłam, zmęczona bardziej irytacją, niż wysiłkiem, na moment przed oczami stanęły mi takie właśnie kwiatki. To były goździki, różne, przeważnie białe i bordowe, duże i całkiem drobne, liliowe. Ten obraz przywołał mi przed oczy ich zapach. Jak już przy jakiejś okazji wspomniałam, węch był najsilniejszym moim zmysłem. A jemu towarzyszyła tak zwana pamięć węchowa.

Zobaczyłam te kwiaty i poczułam dreszcze na całym ciele. Oraz mdłości. Zamknęłam oczy, żeby przywołać ten obraz raz jeszcze. Skupiłam się i wciągnęłam nosem jak najwięcej powietrza. Zapach znów się pojawił. I moja babcia, i dziadek, i... moja mama. W otoczenia ogromnej ilości kwiatów. Białych, bordowych, liliowych. I ta wszechobecna woń, jeszcze bardziej duszna i mdląca. Pomieszana z zapachem palących się świec...

Niemal czułam pod kolanami zimną, kamienną posadzkę i to przerażenie wynikające z kompletnie niepojętej dla mnie sytuacji... Nikt się do mnie nie odzywał, nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ani babcia, ani dziadek, ani... mama. Bałam się i miałam wielki żal do tych wszystkich ludzi. Bo co oni robią z moją mamą? I dlaczego, skoro tu jest tak zimno i nie miło? Ale nikt mi tego nie wyjaśnił. Dlatego całe tamto wydarzenie zdominowały – i tak mi zostało do dziś – te nie przebrane ilości ciętych kwiatów. Teraz zrozumiałam. To był... pogrzeb mojej mamy.

Kiedy po jakimś czasie weszła do sali pielęgniarka, spojrzała na wazon, ale nic nie powiedziała. Wyszłam. Zawsze na czas wizyt pielęgniarek czy lekarzy wychodziłam, chociaż nikt tego ode mnie nie wymagał. Poza tym wiedziałam już, że jeśli przyjdę do niego po dziewiątej, będzie już po porannej toalecie. I ilekroć w ciągu dnia bym nie przychodziła, zawsze w takich porach, by nie trafić na jakieś niezręczne dla niego – i dla mnie - czynności.

Mijał już drugi tydzień, odkąd Artur tu leżał i nic a nic się nie zmieniło. Opieka medyczna już do mnie przywykła, miałam wrażenie, że spoglądała na mnie jakby z sympatią. A ja – przychodziłam, siadałam, trzymałam go za rękę i mówiłam do niego. Opowiadałam mu o bieżących sprawach i wyrywkowo, o wydarzeniach z mojej przeszłości.

Mówiłam, pytałam, odpowiadałam sobie na pytania, patrząc przy tym uważnie na twarz Artura. Czasem miałam wrażenie, że reaguje na moje słowa. Bardzo, bardzo subtelnie. Ale po takim czasie wpatrywania się w niego mogłam już dostawać omamów wzrokowych. Nie robiłam więc z tych moich „spostrzeżeń” jakichś szczególnych ceregieli. Ale przez cały

czas miałam nadzieję, że on z tego wyjdzie. To znaczy... wybudzi się. Ana razem moje pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Czasem rozważałam coś przy nim na głos, jak na przykład ostatnio nurtującą mnie kwestię, czy Grzesiek też odegrał w tym wszystkim jakąś rolę, a jeśli tak, to czy świadomie? I co tam u licha robiła Jolanta? Czy przystąpiła do tej szajki, żeby się na mnie odegrać za Grzeska, czy przeciwnie, jakoś zainicjowała jego zainteresowanie moją osobą, by móc się kręcić w pobliżu diamentów?

Grzesiek... Jak ja go poznałam właściwie? Jakoś... przypadkiem chyba... A, nie! – Przypomniałam sobie. – Przez Marcina, byłego Jolanty! Wówczas obecnego jeszcze. Chciałam się wybrać na Sylwestra gdzieś w góry, takiego z balem, z petardami i kuligiem. Od dłuższego czasu Święta Bożego Narodzenia (i inne) spędzałam sama, ale wówczas zachciało mi się porządnej zabawy. Problem, aczkolwiek niewielki, polegał na tym, że nie miałam z kim pójść na bal. Gdyby to miało być gdzieś w okolicy, poszłabym z kim bądź, ot, żeby tylko mieć z kim wejść i obok kogo siedzieć przy stole. Ale że mi się zachciało gór, nie będę przecież kogo bądź wlokła do takiego na przykład Zakopanego. Żeby mi uprzykrzał życie przez kilka dni? Marcin powiedział mi wówczas, że właśnie on ze swoją dziewczyną wybiera się na Sylwestra do Zakopanego, dziewczyna zaś posiada bardzo odpowiedniego brata. Więc pojechałam z nimi. Tym bratem okazał się, rzecz jasna, Grzesiek. A że byłam w tym momencie wolna, a on na początku wydawał się całkowicie spełniać moje oczekiwania, został ze mną na rok z okładem...

A Marcin? – cały czas snułam ten swój wywód półgłosem, trzymając Artura za rękę. – Marcina znałam, w pewnym sensie z galerii. Był zapalonym poszukiwaczem skarbów, szperaczem i miłośnikiem wszystkiego, co zardzewiało lub pokryte patyną. Był u nas stałym bywalcem, przynosił swoje znaleziska do pokazania Oldze, oszacowania wieku i wartości. Czasem coś od niego brałyśmy.

No, nie wiem... Czy to mogło być ukartowane? Owszem, na upartego tak. Ale wówczas musiałby być w to zamieszany i Marcin. A przecież nie mógł wiedzieć, że się wybieram w te góry. I nie wiedział. Ale... może i on

się nie wybierał? I uknął to na gorąco, bo mu się taka okazja wkręcenia mnie w Grześka nadarzyła?

Nie, Ada. To już jakaś psychoza – skrytykowałam się i spojrzałam na Artura. Miałam wrażenie, że drgnął mu kącik ust. Jeden, ten zdrowy.

- Artur? Słyszysz mnie? – spytałam, ale po raz drugi już nie odniosłam takiego wrażenia.

* * *

W skrzynce zastałam prośbę o kontakt od aspiranta Królem i... list od Estery. Spojrzałam na moją komórkę. Miałam od groma nie odebranych połączeń. W ostatnich dniach prawie jej nie załączałam, w domu bywałam rzadko, więc ktoś, kto chciałby się ze mną skontaktować, mógł rzeczywiście cholery dostać.

W pierwszej kolejności zajęłam się Esterą. Byłam ciekawa, jak tam u niej z samopoczuciem i co u dziadziusia. Tak jak się spodziewam, w początkowym fragmencie listu Estera dziękowała mi za krew i opiewała jakieś moje przedawnione zalety. Krew co prawda nie przydała się jej, ale co fakt, to fakt. Młoda mama czuła się dobrze i dziecko też, ale przypuszczałam, że znacznie gorzej miała się Filippa. Bo... po pierwsze, zamiast spodziewanego syna (który jej zdaniem powinien nosić imię Eneasza) na świat przyszła dziewczynka. Po drugie, Estera oraz jej mąż nazwali ją... Zosia!

- Brawo, Estera! – krzyknęłam w głos. – Zuch dziewczyna!

Po lekturze listu, wprawiona w znacznie lepszy nastrój byłam gotowa na rozmowę z Królem. Oddzwoniłam i okazało się, że on się chce ze mną spotkać osobiście. Najlepiej dziś, ponieważ będzie w komendzie aż do wieczora. W pierwszej chwili miałam zamiar odwlec tę wizytę jak najdłużej się dało, ale zaraz potem pomyślałam, że lepiej to odbębnić i mieć go z głowy. Umówiłam się z nim na dziewiętnastą, po mojej popołudniowej wizycie u Artura. Tę musiałam więc z konieczności skrócić o jakąś godzinę, ale oczywiście przy okazji opowiedziałam Arturowi o tym spotkaniu, wyraziłam wszelakie domniemania i związane z nimi obawy.

I... znów mi się wydawało, że Artur jakby drgnął. Ale nie na twarzy, tym razem tego nie było widać, dało się odczuć, gdy jak zwykle trzymałam go za rękę. Ale jak zwykle, i tym razem nie byłam tego pewna. Wszelkie te symptomy były bowiem tak nikłe, że równie dobrze mogły być moim pobożnym życzeniem...

Król Czesław powitał mnie isticie po królewsku – z powściągliwą radością i dość sporym dystansem. Już po chwili zorientowałam się, skąd ta zmiana postawy. Otóż, skoro Artur był „funkcjonariuszem chwilowo nieczynnym”, jemu powierzono śledztwo w tej gangsterskiej sprawie. Choć gwoli prawdy chodziło tu jedynie o kryminalny wyczyn pana Antoniego Żemły. Kwestią włamania, które było pewnie tylko jednym z elementów całej gangsterskiej afery, zajmowały się o wiele poważniejsze jednostki. Tak powiedziała mi Agnieszka, którą spotkałam onegdaj na szpitalnym korytarzu. Ale skoro aspirant Czesław tak mi to przedstawił, nie zamierzałam osłabiać jego poczucia ważności. Oczywiście najpierw skrupulatnie mnie wylegitymował i odnotował moje dane.

- Aaaa... Proszę mi opowiedzieć o swojej znajomości z obywatelem Antonim Żemłą – tak zaczął przesłuchanie.

- To nie jest żadna znajomość. Pan Antoni jest po prostu właścicielem kamienicy, w której wynajmuję lokal pod moją działalność – odparłam rzeczowo.

- No ale... z tego, co jest mi wiadomym, to pani była kiedyś właścicielką rzeczzonej kamienicy?

- Owszem. Ale sprzedałam ją panu Antoniemu.

- W jakich okolicznościach?

- A co to ma do rzeczy? – zirytował mnie ten kierunek śledztwa.

- To już proszę zostawić mnie – odparł z taką miną, że o mało się nie roześmiałam.

- A w takich okolicznościach, że on od zawsze w niej mieszkał i od zawsze miał ochotę na zakup tej kamienicy. Posiadał to wystarczające środki, więc skoro zachciało mi się kamienice sprzedać, kupiec był pod ręką.

Była to dość skąpa odpowiedź, ale całkowicie zgodna z prawdą. Czesław Król ją odnotował.

- Skąd Żemła Antoni miał te... wystarczające środki?

- A o to już jego prosię zapytać.

Pan Antoni pochodził ze znanej od pokoleń szewskiej rodziny, która nie tyle obuwie naprawiała, co je wytwarzała. Kiedyś to jego przodkowie, a i on sam w czasach tak zwanej komuny i nieco dłużej, wynajmowali od moich dziadków lokal na zakład i sklep. Widać byli na tyle obrotni, że lokowali dobrze swój kapitał, więc Antoniemu urósł na tyle, że było go stać na moją kamienicę. Ale nie zamierzałam o tym opowiadać Królowi. Za to samo, że się tak rozpanoszył. A poza tym to nie miało nic do rzeczy.

- Rozumiem, że nie pani nie wie? Czy uchyła się od odpowiedzi? – spytał służbiście.

- Uchyłam się – odparłam zaczepnie.

- Od-no-to-wu-je się – mamrotał krupiąc, tym razem na klawiaturze komputera.

- O, widzę, że ma pan nowy sprzęt?

Zignorował tę moją uwagę.

- Proszę opowiedzieć o okolicznościach napadu pana Żemły na funkcjonariusza Artura Strońskiego.

- Pan Żemła najprawdopodobniej jakimś cudem usłyszał, że w galerii dzieje się coś niepokojącego i...

- Dlaczego cudem? – zainteresował się Król.

- Bo pan Antoni jest dość porządnie głuchy. Trudno się z nim porozumieć, a odgłosy dochodzące z galerii nie były moim zdaniem na tyle głośne, by mógł je usłyszeć. Nie wiem. Może prędzej zobaczył coś podejrzanego?

- Proszę kontynuować.

- I... pewnie chcąc sprawdzić co się dzieje, wziął na wszelki wypadek dubeltówkę.

- Zezwolenie ma?

- A skądże ja to mam wiedzieć? – teraz już się wkurzyłam.

- Co było dalej?

- Kiedy go zobaczyłam, stał z wycelowaną bronią w plecy Artura. To znaczy... pana Strońskiego. Chyba myślał, że to on jest napastnikiem i w przekonaniu, że broni przez nim mnie i moją pracownicę, wypalił.

- Dlaczego tak pani uważa?

- Bo zastał na miejscu spore pobojuwisko, mnie z Olgą w dość oplakany stan, a naprzeciw nas stał pan Stroński. Już nie było tam nikogo innego, więc pewnie takie wyciągnął wnioski.

- Co Arrr... funkcjonariusz Stroński wtenczas zrobił?

- Upadł ja nieżywy.

- A pan Żemła?

- Nie wiem. Doznałam takiego szoku, że nie pamiętam co się potem działo.

- W takim razie proszę sobie przypomnieć - zażądał Król.

- Proszę mnie więc poddać hipnozie – odparowałam. – To podobno najlepszy sposób na amnezję!

Aspirant Czesław popatrzył na mnie lekko zde gustowany.

- Myślę, że Olga, moja pracownic pamięta lepiej. Ją proszę o to pytać – zasugerowałam.

- Panią Olgę Wielgosz już przesłuchałam.

- To prawdopodobnie pan wie, co było potem.

- Chciałem skonfrontować zeznania. Ale skoro pani nie pamięta, zostawimy to na dziś.

- Na dziś?!

- Tak. Bo oczekuję, że jeśli się pani przypomni, to się pani zgłosi uzupełniająco.

- Jasne – obiecałam skwapliwie, aczkolwiek niezgodnie z prawdą.

Na dole natknęłam się na Agnieszkę.

- Hej! – jakby ucieszyła się na mój widok. – A co ty taka... sterana?

- Wasz policjant mnie sterał.

- Król? – domyśliła się w lot. – No... to należy ci się porządny relaks. Mnie Czesław nigdy nie przesłuchiwał, ale nawet zdawkowa pogawędka

z nim bywa dla mnie sporym wysiłkiem. A co słyhać u ciebie?

- Nic... takiego. Na razie nie wracam do galerii, bo nie ma do czego, ale myślę, że w miarę niedługo zaczniemy działać od nowa.

- Podobno przez cały czas odwiedzasz Artura?

- Tak – przyznałam.

Nie było sensu zaprzeczać, w końcu Agnieszka miała swoje źródła.

- Aż tak cię gryzie sumienie, z powodu tego co się stało?

- No... tak. Owszem...

Agnieszka spojrzała na mnie w skupieniu.

- Ej... A ty może tam tak wysiadujesz, bo liczysz na to, że przejmiesz go przez zasiedzenie? Co?

Głośno roześmiała się ze swojego dowcipu. Nie odpowiedziałam.

- Jeśli tak, to po koleżeńsku cię uprzedzę – pochyliła się w moją stronę – nie doczekanie twoje!

- Bo? – spytałam odruchowo.

- Szkoda gadać i szkoda na to czasu. Ale gdyby ci rzeczywiście przyszło do głowy czekać na niego aż wyzdrowieje po to, żeby z nim być, wtedy zgłoś się do mnie. Pogadamy.

ROZDZIAŁ XX

Faceci i mamlasy

Słowa Agnieszki, jak to się mówi, zabiły mi porządnego klina. Bo si owszem, tak właśnie kalkulowałam. Że Artur z tego wyjdzie i że zostaniemy parą. Obojętnie na jakich zasadach. Nie miałam w tym względzie specjalnych wymagań. Właściwie nawet nie kalkulowałam w ten sposób, ale po prostu... przez te wszystkie dni, poranki, popołudnia, wieczory, niejednokrotnie zahaczające o noc, gdy przy nim byłam, taka wizja sama wygenerowała mi się w głowie. I nie poddawałam jej w żadną wątpliwość. Dopiero Agnieszka uświadomiła mi, że widzę to wszystko zbyt prosto. Być może, gdybym przyznała się jej wówczas do prawdziwych powodów moich szpitalnych wizyt, powiedziała by mi o nim coś więcej. Może byłoby to odpowiedzią na moje uparte pytanie, czemu on jest taki, jaki jest? Chciałam to wiedzieć, ale zwyczajnie... wstydziłam się Agnieszce przyznać do moich uczuć. I do naszego, pożał się Boże, romansu. Ona wiedziała, jak Artur traktował kobiety, i... No, po prostu nie chciałam, żeby wiedziała, że byłam jedną z nich. Bo na pewno nie jedyną. Artur był bowiem facetem z krwi i kości, a nawet bardziej z krwi, więc w celibacie z pewnością nie żył... No cóż. Nie spytałam, więc się nie dowiedziałam. Pozostały mi jedynie domysły.

Spojrzałam na Artura, chcąc wyczytać z jego twarzy co w nim takiego siedzi. Leżał jak zwykle bez ruchu, błydy i chłodny. Delikatnie, opuszkami palców dotknęłam jego blizn. Były chropawe, nieprzyjemne. To musiało być poparzenie, ale jak u licha do niego doszło? Przy okazji jakiejś policyjnej akcji? To było najbardziej prawdopodobne. Szramy zaczynały

się na lewej skroni, obejmowały ucho i niewielką okolicę za uchem, a następnie przez blisko połowę lewego policzka, poprzez lewy kącik ust biegly ku sporej części szyi aż po bark. Potem już ramię było gładkie aż po łokieć. Tu znów zaczynały się blizny i obejmowały całe przedramię i część lewej dłoni. Co to mogło być? Jakiś wybuch? Koktajl Mołotowa? A może pożar, z którego nie całkiem zdążył uciec?

- Czy to ciebie boli? – spytałam szeptem, cały czas wodząc palcami po jego bliznach.

Artur ani drgnął.

- Skąd to masz? Kto ci to zrobił nieboraku? – pytałam, wcale nie licząc na odpowiedź.

Przed tym zdarzeniem Artur musiał być tak nieprawdopodobnie przystojny, że mogło mu to wręcz utrudniać życie. Może nie wówczas, gdyby pracował w innej branży, gdzie uroda jest atutem i wymogiem, ale w policji? No, nie wiem. Mógł być przedmiotem żartów lub niechęci ze strony kolegów i obiektem nachalnego pożądania ze strony koleżanek. A jeśli... było mu w to graj? Jeśli korzystał na prawo i lewo z zainteresowania kobiet? Może jego obecny stosunek do płci przeciwnej wynika po prostu z łatwości, z jaką całymi chmarami kładły mu się do łóżka? I to ich przedmiotowe traktowanie jest po zwyczajnym brakiem szacunku?

- Artur – szepnęłam, kładąc mu głowę na poranionym ranieniu. – Kocham cię, wiesz? I wszystko mi jedno, kim jesteś, kim byłeś. Nie rozumiem tego durnego uczucia, ale ono we mnie jest, wypełnia mnie po brzegi i nic na to nie poradzę. I nie pozbędziesz się mnie. Bo... to co było między nami do tej pory, może nie było zbyt romantyczne, zbyt cieplusie i milusie, ale było uczciwe. Nie mamieś mnie, nie obiecywałeś... Tak dziś to widzę.

Tak to widzę? – zdziwiłam się w myślach. – Jeszcze do niedawna odsądzałam go od czci i wiary, wymyślałam od gburów i chamów. I co się właściwie zmieniło? Przecież nie zmieniły się fakty! To ja... się zmieniłam. Jakie to dziwne, że przez pryzmat tej, tak zwanej miłości, można w tak

skrajnie różny sposób odbierać jedną i tę samą osobę, jej wygląd, interpretować jej zachowanie, wspominać wydarzenia.

- A... czy z Eneaszem też tak było? – zapytałam siebie półgłosem. – Nie pamiętam. Do licha, tak to wszystko wycięłam z pamięci, że nie pamiętam. Nic a nic?

Zamknęłam oczy i spróbowałam przywołać obraz, gdy ujrzałam mojego przyszełego małżonka go po raz pierwszy.

- To było tu, nie w Krakowie. Szłam ulicą, z ówczesną koleżanką... Martą zdaje się. Tak. I on nas zaczepił, o coś pytał... O jakiś adres? O kawiarnię. Podobno spędził całą noc w pociągu i był tak zmęczony, że musiał się koniecznie napić kawy. Wymieniłyśmy z Martą ze trzy takie w miarę przyjemne kawiarenki, a on się uparł, że w zamian za tę informację postawi nam ciacho. Był przy tym tak zabawny, że się zgodziłyśmy...

Teraz, jak już złapałam początek tej historii, moja pamięć stanęła przede mną otworem. Zwłaszcza, że tym razem nie zamierzałam się bronić przed wspomnieniami.

- I wiesz? – teraz już szeptałam bardzo cicho - Właściwie zastanowiło mnie, że jak na tę noc w pociągu był raczej dość rażny. I jeszcze jedno: że jechał z tego Krakowa całą noc? Gdy jest to raptem godzina drogi? Nie dociekałam, w chyba w końcu pomyślałam sobie, że przecież wcale nie musiał jechać akurat z Krakowa. A że tam mieszkał, jak nam wyjawiał na początku? To jeszcze nic nie znaczyło. Mieliśmy w każdym razie wspólny temat, bo ja akurat tyle co skończyłam w Krakowie studia i znałam to miasto niemal jak swoje.

Byłam przekonana – ale to już zachowałam dla siebie – że Eneasz skupi swoje zainteresowanie na Marcie. Zazwyczaj tak na początku każdej naszej wspólnej damsko-męskiej znajomości bywało. To Marta, o wiele bardziej wyposażona ode mnie przez naturę, przykuwała męskie spojrzenia. Ale to ja zyskiwałam przy bliższym poznaniu. Moja koleżanka, dość zadufana w swoje wdzięki oczekiwała nieustającej adoracji, a to się na dłuższą metę chłopakom nudziło.

- I ten Eneasz – przeszedł znowu na pełną fonię – się do mnie na amen przyczepił. – Przyjeżdżał najpierw raz na tydzień, potem częściej, a potem to już coraz dłużej zostawał. Dziadkowie go lubili, był wesoły, uczynny, życzliwy. Miał tylko jedną wadę: kompletnie nie był w moim typie. Trochę za tęgi, ciut za niski, niezbyt obrotny w podstawowych życiowych czynnościach. To już była robota nadopiekuńczej mamusi. Ale kiedy już się w nim w końcu zakochałam, fakt, że nie umiał ugotować nawet jaja na twardo, wyprasować sobie najmniej skomplikowane części garderoby, czy że nigdy po sobie nie pozmywał – uważałam nawet za składową jego osobistego uroku. No właśnie. Ile wobec tego jest teraz obiektywizmu w moim spojrzeniu na ciebie? – spytałam Artura. - Mniejsza z tym, bo nie wiem i ty też tego nie wiesz – odpowiedziałam sobie.

- Mówię „w końcu się zakochałam”, bo Eneasz ani urodą, ani niczym innym nie powalił mnie na kolana. Nie tak, jak ty... Ale był wytrwały. Miał fantazję i robił takie numery, na jakie każda dziewczyna poleciałaby bez ceregieli. Na przykład... może to głupie i prostackie, ale na moje dwudzieste trzecie urodziny zjawił się w umówionym miejscu... na białym koniu!

Czekałam na niego w kawiarnianym ogródku z samym rynku miasta, wówczas była też piękna, bujna wiosna. W sam raz, okoliczności najlepsze dla drżenia serc i buzowania hormonów. A on zeskoczył z tego konia, przywiązał go do pobliskiej akacji, podszedł do mnie i wręczył mi pudełko z prezentem. To była jakaś mało gustowna apaszka, ale mniejsza z tym. Byłam taka dumna! Ludzie patrzyli na mnie z otwartymi ustami, pewnie zastanawiając się, czym sobie zasłużyłam na taki gest? Bo wybitną urodą to raczej nie... Owszem, zawsze byłam smukłą, dość wysoka, zgrabna, moje długie, naturalne blond włosy w owych czasach zwracały na mnie uwagę. Ale uważam, że dziś, jako dojrzała kobieta jestem o wiele bardziej atrakcyjna. Wtenczas byłam taka... sotee, jak mnie pan Bóg stworzył.

- No właśnie, Eneasz robił takie numery - kontynuowałam. - Ujął mnie również tym, że był bardzo miły dla moich dziadków. Ich uwiódł jako pierwszych... A potem? Potem to już poszło z górki. Przedstawił mnie

swoim rodzicom i nastoletniej wówczas siostrze jako swoją przyszłą żonę i ten jego wybór nie podlegał żadnej dyskusji. To nawet było widać, że Filippa, jakkolwiek zupełnie mną nie zachwycona, odnosi się do mnie poprawnie i grzecznie, bo musi. Ponieważ synek, który był jej oczkiem w głowie mógłby się poczuć urażony. A co za tym idzie, zostawić kochającą mamusię i zamieszkać u mnie, w odległym (o zgrozo) o całe pięćdziesiąt kilometrów mieście. Szczerze mówiąc ja tak to sobie właśnie wyobrażałam - że po ślubie zamieszkamy w kamienicy dziadków, w końcu miejsca było dosyć. Ale Filippa się uparła, że w prezencie ślubnym dobudują dla nas jeszcze jedno piętro w swojej willi i urządzają je na tip-top. Tak szybko, byśmy noc poślubną mogli spędzić już we własnej sypialni.

- A ja nie byłam łatwą panienką, Artur. Wiesz? - chciałam mu to powiedzieć i powiedziałam. - Może nawet nie tylko z powodu wrodzonej cnotliwości, ale też dlatego, że byłam wychowywana przez dziadków. W związku z tym o seksie miałam dokładnie takie pojęcie, jak moja babcia w moim wieku: że jest to czynność raczej nieprzyzwoita, dozwolona w ramach związku małżeńskiego, ale właściwie to nie ma się nad czym rozwodzić. Bo tak zawsze było, jest i będzie i, ogólnie rzecz biorąc, jest to ludzka powinność względem całej populacji. No więc i ja tak do pewnego czasu myślałam. I tak mocno utożsamiałam się z tym poglądem, że z moim poprzednim chłopakiem zerwałam dlatego, że w trakcie pocałunku włożył mi rękę do stanika...

- Śmiejesz się? - spojrzałam na Artura, bo wydawało mi się, że jego prawy kącik ust lekko uniósł się ku górze - Eee... nie śmiejesz się. Nie dlatego że nie ma z czego, tylko że to wcale nie jest śmieszne... To żałosne! Moje życie intymne przez długi czas pokutowało za takie wychowanie. To Eneas uczył mnie odkrywania przyjemności z seksu. Bo ja do tej przyjemności za żadne skarby nie chciałam się przyznać nawet sama przed sobą. Trochę więc trwało, zanim całkiem bez wstydu zaczęłam oddawać się sypialnianym igraszkom z własnym mężem. Ale nigdy nie pozwoliłam mu na nic, co moim zdaniem odbiegało w tej kwestii od przyjętej normy. Mniejsza o detale...

I znów wydało mi się, że kącik ust Artura nieznacznie drgnął.

- No ja nie wiem, czy to jest śmieszne – skomentowałam, jak gdyby on się naprawdę uśmiechnął. – Tak czy inaczej, Eneasza nie sprawiał wrażenia nieszczęśliwego z tego powodu. I skończmy ten temat.

Nie chciałam się w tych opowiadaniach posunąć za daleko, do najbardziej traumatycznych wydarzeń...

- Dbać sama o siebie zaczęłam dopiero wówczas, gdy się porządnie otrząsnęłam po tym małżeństwie. Po ucieczce Eneasza, po śmierci dziadków. Miałam już też swoją galerię, co z pewnością nie było bez wpływu na mój nowy sposób rozumowania. Wtenczas mi się jakoś tak wszystko przewartościowało, że pomyślałam sobie: „a dlaczego do cholery wszyscy inni wokół mnie mają być dla mnie ważniejsi niż ja sama?” A kiedy gotowa byłam w końcu na kolejny związek, wymyśliłam sobie wówczas koncepcję „układu”. I co? I nic! Świat się nie zawalił, kiedy to ja zaczęłam ustalać reguły, żądać i egzekwować.

Jako egzemplarz eksperymentalny pojawił się u mojego boku Krzyś. Krzyś był duszą wysoce wrażliwą artystycznie, w porywach pisał nawet wiersze. Fascynował się Edwardem Stachurą i wczesnym Andrzejem Bursą, czyli jego „normalną” jeszcze poezją.

Krzyś często Stachurę cytował, mawiał do mnie Stachurą, czasem zostawiał na wierzchu tom jego wierszy otwarty na konkretnej stronie, by dać mi coś do zrozumienia. Wyglądem Krzyś mnie również nie zachwycał, ale miał piękne dłonie, z długimi palcami. Mogłam się w te jego dłonie wpatrywać bez końca, a sposób, w jaki nimi gestykulował, najzwyczajniej mnie podniecał. Cały szkopuł polegał na tym, że kiedy już zaczęłam dominować nad Krzysiem... zdominowałam go doszczętnie. Mój... niech będzie: partner, stał mi się podległy w takim stopniu, że to nie było nawet zabawne. A kiedy zaczynał pytać mnie o zdanie nawet w swoich własnych kwestiach zawodowych (pracował w oświacie) postanowiłam go zostawić. Nie było to takie łatwe, ponieważ moje teoria „układu” nie zawierała jeszcze punktu o rozdzielnosci mieszkania i budżetu. Krzyś się więc zaparł zadnimi łapami i postanowił, że żyć beze mnie nie może, a co za tym idzie, nie wyprowadzi się z mojego mieszkania. Teraz ja zaczęłam przemawiać do niego Stachurą i zostawiać

mu otwarty tom jego poezji, ale to nie skutkowało. On zawsze znalazł kontrargument. W wierszach Stachury, rzecz jasna. Rozstałam się z nim sposobem: ponieważ Krzysiek posiadał spore mniemanie o sobie, postanowiłam tknąć go w tę właśnie materię. A raczej dotknąć. Nie pamiętam już, co mu konkretnie powiedziałam, w każdym razie on całkiem szybko spakował swój wierzchni, artystyczny imaż, a także duchowy, w postaci tomów poezji Stachury i z odpowiednio poetycką dramaturgią zostawił mnie samej sobie. I to już pamiętam:

- Porzucam cię Adelo – oznajmił łamiącym się głosem – choć do wczoraj sądziłem, że żyć bez ciebie nie mogę! Dziś jednak wiem, i z tobą żyć nie mogę.

Co rzekłszy (nie zgodnie ze stanem faktycznym zresztą, bo to przecież ja go rzuciłam), wyszedł i nie wrócił.

Po Krzysiu nastał Romcio. Był od niego znacznie ładniejszy i zdecydowanie konkretniejszy. Smagły brunet, o wyrazistych oczach i urokliwym uśmiechu. Był też ładniej zbudowany, ale... miał pospolite dłonie z łopatowatymi paznokciami. Za to umiał podejmować decyzje i tym ujął mnie najbardziej. Nie chodziło o to, żeby miał decydować w czymkolwiek za mnie, ale żeby miał własne zdanie. I żeby był dla mnie partnerem w życiu i dyskusji, choć i w jednym i drugim to ja lubiałam stawiać na swoim. Chodziło... o odpowiedni stopień trudności. Pierwsza taka dyskusja rozgorzała, gdy (nauczona doświadczeniem) oznajmiłam mu, że wszystko pięknie, ale mieszkać razem to my nie będziemy. Ani u mnie, ani u niego, ani „na swoim”. Romcio w końcu skapitulował.

W przeciwieństwie go do swego poprzednika, Romcio nie był intelektualistą. Czytał wyłącznie gazety, oglądał najchętniej sport i filmy kryminalne, ale po nadwrażliwym na piękno Krzysiu, to mi się w nim właśnie podobało. Romcio był bowiem pracownikiem fizycznym, a konkretnie ślusarzem. Ale w pewnym sensie był „kimś”, ponieważ pełnił funkcję majstra. Pracował w państwowym zakładzie pracy, zarabiał całkiem nieźle, aczkolwiek ja (znów kierując się doświadczeniem) od razu zarządziłam całkowitą oddzielność finansową. Zero wspólnych rachunków, zakupów, żadnych zobowiązujących prezentów.

Co mi się w Romciu odwidziało? Romcio był jak na mój gust zbyt konkretny, za bardzo praktyczny. Jasne, są to przede mną cechy pożądane u mężczyzny, ale do pewnego, rozsądnego stopnia. Podobnie jak subtelność i umiłowanie dla literatury. I mimo, iż sama byłam od pewnego czasu kobietą praktyczną, Romcio bił mnie na głowę. Wszystkie, nawet najdrobniejsze nawet przedsięwzięcia bardzo szczegółowo planował i trzymał się tych planów bezlitośnie. Nawet, gdyby całkiem zmieniły się okoliczności, do których ten plan był dostosowany. On, czasem ze szkodą dla siebie, czy nawet dla mnie i tak go realizował. W tych działaniach Romcio był niewzruszony i niereformowalny. Na przykład, gdy wyjeżdżaliśmy razem dokądś na weekend, Romcio logistycznie rozplanowywał naszą drogę tam i z powrotem (jaką pojedziemy trasą, w jakim czasie pokonamy dany etap, gdzie się będziemy w podróży posilać), robił też plany na czas pobytu. I nie było uproś. Nasza znajomość zakończyła się w ten sposób, że podczas jednego z takich, niemiłosiernie rozplanowanych wyjazdów, spakowałam się i wróciłam sama. Autobusem, zamiast wypasionym autem Romcia, zakupionym wedle ściśle określonych przez niego kryteriów. Romcio, rzecz jasna pozostał do końca pobytu. Zgodnie z planem.

Zdaniem Olgi ani w jednym, ani w drugim przypadku nie miałam wystarczających powodów, żeby się z oboma panami rozstać.

- I co? To też jest śmieszne? – zapytałam Artura patrząc na niego uważnie.

Uznałam, że widocznie, czego wcześniej nie zauważyłam, prawy kącik jego ust jest chyba na stałe nieco uniesiony ku górze. Widać taki już element jego element urody...

* * *

- My tu sobie gadu-gadu, a tu się ktoś do mnie intensywnie dobija – poinformowałam go, spoglądając na komórkę chcąc sprawdzić godzinę. – O, o wilku mowa! To Olga – zdziwiłam się, bo jakoś mi się wydawało, że

wyraźnie zabroniłam jej kontaktów z sobą. No chyba, że w jakiejś super ważnej sprawie.

Kiedy do niej oddzwoniłam już w domu, zdała mi relację z przebiegu remontu galerii. Okazało się, że w samym pomieszczeniu bandziory nie narobili aż tylu szkód, ot, w kilku miejscach podziurawili ściany i zerwali niemal całą podłogę. Najgorzej obeszli się z eksponatami. Wszystko, co było większe od podręcznego budzika potłukli bądź wybebeszyli. Olga przy pomocy kilku zręcznych fachowców dość szybko uporowała z doprowadzeniem galerii do stanu używalności. Umyśliła sobie, że powinna ona wyglądać dokładnie tak, jak przed napadem: ten sam kolor ścian, takie same, dębowe deski na podłodze, identyczne drewniane wsporniki i belki na sufitach. Bo te również nie zostały oszczędzone. I identyczne gabloty na miejsce tych, które ucierpiały w zająsci. Według koncepcji Olgi wszystko miało wyglądać tak, jakby nic się nie wydarzyło. Po chwili zastanowienia uznałam, że ma rację. W końcu galeria ze starociami powinna wyglądać jak miejsce, w którym czas się zatrzymał...

Mimo późnej pory postanowiłam zobaczyć osobiście jak to teraz wygląda. Olga też zechciała wpaść, pewnie żeby zobaczyć jakie jej wysiłek zrobi na mnie wrażenie.

- Wygląda tu, jakby... zupełnie nic nie zaszło – powiedziałam, mimo wszystko trochę zaskoczona efektem. – Gdyby nie zapach świeżej farby i całkiem nowa ekspozycja, pomyślałabym, że tamto to był tylko zły sen!

- Podoba ci się? – spytała wyraźnie zadowolona z pochwał i z siebie Olga.

- Pewnie! Olgunia, jesteś genialna, chodź, czuje, że musze cie uściskać!

Olga z dużym zaskoczeniem i pewną nieufnością poddała się mojemu aktowi wdzięczności.

- Ada... nie poznaję cię – skomentowała ten mój gest zduszonym głosem.

Zduszonym, bo tkwiąc w moich objęciach inaczej nie dała rady.

- A co u ciebie? U... twojego Artura? – spytała, gdy ją w końcu puściłam. – Chyba już lepiej, sądząc z nastroju?

- Nie, nie lepiej – westchnęłam. – Ale ja już chyba do tego jego stanu przywykłam. Oczywiście, absolutnie nie pogodziłam się z tym, ale wiesz... Człowiek chcąc nie chcąc dostosowuje się jakoś do realiów. Już przecież mija trzeci tydzień, gdy on tak leży.

- I tylko ty go odwiedzasz?

- No, nie. Jeszcze pewnie koledzy z pracy. Osobiście spotkałam tam tylko taką jedną Agnieszkę, ale często zastaję ślady innych wizyt. Na przykład w postaci darów jakie mu tam znoszą: kwiatków, aniołków, jakichś policyjnych gadżetów, czy nawet słodyczy i owoców.

- Bo tak sobie pomyślałam... Czy on nie ma żadnej rodziny, skoro to tobie najbardziej zależy na jego dojsciu do zdrowia?

- A wiesz, że mnie to do tej pory jakoś nie zdziwiło – odparłam w zadumie. - Ale ty masz rację. To zastanawiające. Musiałabym spytać o to Agnieszkę, ona prawdopodobnie wie o nim wszystko.

- Kto to jest... ta Agnieszka?

- Jest policjantką. Pracuje z Arturem, a znam ją jeszcze z liceum.

- Aha. To jak, kiedy zaczynamy pracę? – zmieniła temat.

- A ty jak uważasz?

- Jeśli chodzi o mnie, możemy już od jutra.

- Od poniedziałku. Jeśli chodzi o mnie. Ty możesz zaczynać już jutro.

* * *

- O czym my to sobie ostatnio gwarzyliśmy? – zagadałam na wstępie przy następnej wizycie u Artura, czyli nazajutrz rano. – A... skończyliśmy na Romciu. Po nim był już tylko Grześ, no i... ty. Chcesz posłuchać? No, nie wiem, nie wiem... ale wydaje mi się, że moje wczorajsze opowieści cię miejscami bawiły. A skoro tak, dokończę ci tego Harlequina w odcinkach.

Grześ był wypadkową moich dotychczasowych facetów, a mój „układ” z nim wypadkową moich dotychczasowych doświadczeń. Jak ci już wspomniałam, poznałam go w Zakopanem na wyjeździe sylwestrowym. Zrobił na mnie lepsze wrażenie, niż mogłabym przypuszczać. Szczerze

mówiąc spodziewałam się jakiegoś lekko podtatusiałego mamlasa, który do tej pory nie ułożył sobie życia, bo... był mamlasem właśnie. A tu oczy moje ujrzały wysokiego, zgrabnego faceta po trzydziestce, w typie, o jakim oględnie mawia się: przystojny. Grześ nie powalał co prawda piękną twarzą, ognistym wzrokiem, uroczym uśmiechem, ani nawet pięknymi dłońmi. Ale cały był jakiś taki... w sam raz. W każdym razie mógł i z pewnością podobał się kobietom. A przez pryzmat tego czego się spodziewałam, i mnie się spodobał. Nie był też jakiś nadmiernie wyrazisty z charakteru (jak moi poprzedni), był raczej spokojny, stonowany, taktowny. Miewał nawet czasami poczucie humoru.

Bez specjalnego wahania utrzymałam więc tę znajomość po powrocie z Zakopanego. Od razu bowiem między nami... nie, nie powiem zaiskrzyło, ale... jakoś tak... zagrało. Grześ od porządku sprawiał wrażenie, że rozumie czego od niego oczekuję. Przyjął też bez specjalnych oporów i zaakceptował moją teorię układu. Jediną jego rażącą wadą była Jolanta. Starsza siostra, która w jakiś sposób zawsze była między nami obecna. Ale Grześ sprawiał wrażenie, że mimo wszystko nie pozwalał się jej zdominować. Prawda wyszła na jaw dopiero przy końcu naszej znajomości.

Muszę przyznać, że kiedy Grzesiek zabronił mi wyjazdu na ślub Estery, byłam dość mocno zdziwiona. Do tej pory, a byliśmy z sobą już ponad rok, nie przejawiał żadnych tendencji do ograniczania mnie w czymkolwiek. I nagle mu coś odwalilo. Zazdrość? I to w dodatku o byłego, nieżyjącego już męża? Zerwałam więc z nim natychmiast, przysięgając sobie, że już nigdy w życiu nie zadam się z facetem, którego imię da się tak idiotycznie zdrobnić. Zero Krzysiów, Romciów i Grzesiów. I oczywiście zero facetów, którzy noszą imiona idiotyczne już same w sobie, jak Eneasz.

Wówczas, będąc w niejakim szoku i pod wpływem ogromnego wzburzenia, nie zastanawiałam się nad absurdalnością całej tej sytuacji. Ale teraz... właśnie t e r a z, mówiąc ci o tym, widzę ją w całej rozciągłości. No właśnie! Artur – ścisnęłam mocniej jego rękę. – czy on mógł mieć jakieś inne powody, by nie chcieć abym pojechała na ten ślub? Co?

Artur w tym momencie nie sprawiał już wrażenia rozbawionego. Przeciwnie, ten sam kącik ust, który wczoraj postrzegałam jako uniesiony w uśmiechu, dziś nadawał jego twarzy wrażenie dezaprobaty. Albo... złości?

- Może już wówczas Jolanta, albo nawet oni oboje tkwili w świecie przestępczym i zwyczajnie nie chcieli, obawiali się jakiejś konfrontacji? W końcu to Eneaszy był sprawcą całego zamieszania z diamentami. A tu ja, ni z tego ni z owego wybieram się na spotkanie z jego najbliższą rodziną...

Spojrzałam niepewnie na Artura.

- To niby jest całkiem logiczne, ale nie umiem wymyśleć, czego oni mogliby się w związku z tym weselem obawiać? Wiesz co? – podzieliłam się z nim swoim planem. – Pójdę do Agnieszki. Ona na pewno wie sporo na ten temat. Co ty na to?

Ja nie wiem, czy to moja wyobraźnia, czy też moje oczekiwania nadawały twarzy Artura różnych subtelnych odcieni, ale naprawdę miałam wrażenie, że on prowadzi ze mną ledwo dostrzegalny, bardzo subtelny dialog. Teraz bowiem uznałam, że on pochwała mój zamiar spotkania się z Agnieszką. A skoro tak, wysłałam na korytarz, zadzwoniłam na komendę i zaprosiłam ją do siebie wieczorem na kawę. A ona je bez najmniejszego „ale” moje zaproszenie przyjęła.

ROZDZIAŁ XXI

Czy to jawa, czy sen?

Po drodze ze szpitala kupiłam jakieś ciastka, rzezoną kawę i dwie butelki czerwonego wina. Od dawna nie miałam okazji delektowania się moim ulubionym trunkiem, a takowa nadarzyła się właśnie dzisiaj. Miałam nadzieję, że Agnieszka gustuje w podobnym napitku i że nie będzie żadnych przeciwwskazań by mogła do spółki ze mną owe butelczyny opróżnić. I że, jakby co, uczynią ja one rozmowniejszą.

Nie zamierzałam jej wypytywać zbyt obcesowo o Artura, szczerze mówiąc liczyłam na to, że przy okazji odpowiedzi na inne, nurtujące mnie pytania, sama zagłębi się w temat.

- Nieźle się tu urządziłaś – oceniła, wpierszawszy nie zachęcana do tego całe mieszkanie. – Moja koleżanka też mieszka na tym osiedlu, jednak nie ma takiego zmysłu estetycznego jak ty. Ale w końcu ty jesteś galerianką, nie? – długo śmiała się ze swojego dowcipu. – To gust jakiś masz!

- Dzięki, Aga. Mam nadzieję, że oprócz kawy pijesz coś jeszcze?

- Wszystko oprócz lepiku – zarechotała ponownie. – Ale zawsze po robocie i nigdy w czasie jazdy!

Widać lata spędzone w surowym męskim towarzystwie zrobiły swoje. W liceum Aga była cichą, szarą i niepozorną dziewczyną. Ale ambitną, dobrze się uczyła, zawsze była przygotowana, zaopatrzona we wszelki pomoce. I uwielbiała sport. Podczas gdy ja i parę moich koleżanek robiłyśmy wszystko, by uniknąć lekcji WF-u, Aga ćwiczyła w pocie czoła, grała w kosza, w siatkówkę, chodziła nawet na WF do chłopaków, między

nami nie miała partnerek dla swoich zainteresowań. Teraz Agnieszka była dobrze zrobioną blondyną, świadomą swoich kobiecych atutów. Zewnętrznych raczej, bo pod innymi względami to ona kobieca nie była.

- Czemu zawdzięczam to zaproszenie? – spytała wpatrując się, jak mocuję się z korkociągiem.

- Chciałam pogadać o włamaniu do galerii, a konkretniej o ludziach, którzy w nim brali udział.

- Aaaa... myślałam, że o kim innym – puściła do mnie oko.

- Mam nadzieję, że lubisz wino? – zmieniłam temat.

- Szczerze mówiąc wolę bardziej higieniczne trunki, ale może być.

- Higieniczne?

- Czystą wódkę – zaśmiała się znowu. – Ale nie pogardzę i winem.

Wstępnie pogawędziłyśmy trochę to o tym, to o tamtym, powspominałyśmy liceum i wspólnych znajomych. Od pewnego czasu nie miałam już oporów ani innych trudności we wspomnianiu minionych lat. A konkretniej od czasu włamania. To ono wymusiło na mnie pewną, wyrwykową retrospekcję mojego życia i skoro się jej zaczęłam poddawać, moja przeszłość stała się znacznie wyraźniejsza.

Agnieszka nadała naszej biesiadzie dość ostre tempo i pierwsza butelka skończyła się, zanim o cokolwiek zdążyłam zapytać. I teraz z pewną dezaprobatą patrzyła jak otwieram kolejną.

- Jak chcesz, mogę skoczyć po czystą – zaproponowałam. – Niedaleko jest sklep.

- Nie, no co ty – zaproponowała Aga. – Jak nie masz, to nie będziesz przecież teraz latać.

- Nie mam, niestety... Ale mam... nalewkę na spirytusie po babci, jak chcesz.

- Na czym?

- No mówię, że na spirytusie.

- To wiem, ale na czym? Bo na przykład tej na korzeniu łopianu to ja nie trawię.

- Na korzeniu na pewno nie. Nie wiem na czym, na agreście chyba.

- Na agreście? Agrest na coś pomaga?

- Abo ja wiem? Może mojej babci pomagał.

- Dawaj – zdecydowała się. – Ty się możesz raczyć winkiem jak chcesz, a ja skosztuję babcinej naleweczki.

Nalewka od czasu gdy ją widziałam po raz ostatni zrobiła się gęsta, lepka i mętnie żółta.

- A, już wiem! – wypaliłam i zaraz pożałowałam.

Bo a nuż się Agnieszka wystraszy?

- No? – spytała oglądając flaszkę pod światło.

- Z pigwy, pomarańczowej skórki, miodu i z bursztynu. Taki miszung.

Przypomniało mi się, że babcia zamierzała połączyć kilka przepisów na nalewki w jeden, żeby działała na raz na więcej schorzeń.

- Lej – zażądała. – Będzie przyjemne z pożytecznym. Może ja też mam takie schorzenia jak twoja babcia?

- A masz?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale mogę w genach mieć, no nie?

Najwyraźniej ochota Agnieszki na babciną nalewkę była tak duża, że jej zawartość kompletnie jej nie odstraszyła.

- Dobrze! Siarczyste, że tak powiem – pochwaliła po wypiciu pierwszego kieliszka.

- Cieszę się – odparłam – w imieniu swoim i babci.

- A tak w ogóle, co ciebie interesuje w tym włamaniu? I kto? – nawiązała uczciwie do sedna sprawy.

- Niejaka Jolanta. Jolanta Miron. Rozpoznałam ją w towarzystwie bandziorów w galerii, a tak się składa, że znam ją prywatnie.

- To oczywiście – prychnęła Aga. – Bandziory często montują się w środowisku ofiar, w szczególności jak mają do rozkminienia coś nadzwyczajnej wagi. Liczą na nieumyślną pomoc, że tak powiem.

- W przypadku Jolanty też tak było, czy mówisz to bardziej ogólnie?

- Ogólnie. Ale i tu musiało być podobnie, nie ma takich przypadków.

- Ale wiesz coś więcej na ten temat, czy nie?

- Wiem, że ta babka to nie żadna Jolanta tylko niejaka Roxi, flama oraz prawa ręka pewnego bardzo mocnego koleśia.

- Jakiegoś... głównodowodzącego? Mafią?!

- Właśnie.

- To by znaczyło, że... ona nie zapoznała się ze mną przypadkiem?

- A jak się zapoznała, jeśli można?

- Przez jednego znajomego.

- A ten znajomy to kto?

Na samą myśl o Marcinie, którego do tej pory miałam za kolegę aż we mnie zawrzało.

- Taki... zbieracz historycznych pamiątek. – Marcin... Kotlarski zdaje się.

- Znamy. Ale to nie jest żaden przestępca. Raczej nieszkodliwy maniak. Nie martw się, jeśli to jakiś twój bliższy znajomy. On sam został w to wmanipulowany.

- Nie, to nikt ważny, ale miło usłyszeć, że się miało obok siebie o jednego skurwiela mniej...

- No... ja też tak lubię – zaśmiała się Aga swoim zwyczajem.

- Kurcze, ale żeby Jola? – teraz dotarło do mnie wyraźnie, że to nie była żadna skrzywdzona przez los niunia, ale regularna przestępczyni! Zdolna do wszystkiego!

- Tak bywa. Pozory często mylą – westchnęła Aga filozoficznie.

- Powiedz mi jeszcze wobec tego, co wiesz o niejakiem Grzegorzu Mironiu?

- Polej – zażądała, gdyż objąłam się krytycznie w obowiązkach pani domu.

Polałam i zrobiłam sobie mocne postanowienie poprawy.

- Mironi Grzegorz... nie jest przestępcą. Ale, że tak powiem, beknie za współudział. Od zawsze wiedział, skąd jego siostra bierze pieniądze na jego utrzymanie i wykształcenie. U nich w domu się nie przelewało, dopiero kiedy Roxi cycki urosły, sytuacja się poprawiła.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Zaczynała w gorszych, potem lepszych knajpach, a potem, już jako ekskluzywna panienka kręciła się między kilkoma gośćmi z wyższych sfer.

- Przystępczych?

- Nie tylko. Ponoć politycznych też. Wiesz, że lata dziewięćdziesiąte to były złote czasy dla różnych „obrotnych” w biznesie osób? Wtedy i mafia i polityka rządziła się podobnymi prawami. A Jolanta... młodziutka wtenczas, ładna, sprytna, przygruchała sobie takiego gościa, że mogła całkiem z zawodu zrezygnować.

- Wiesz Agnieszka, ja byłam ponad rok z Grzeskiem. Jako para, czy coś w tym rodzaju.

- Tak? Tego nie wiedziałam – zdziwiła się raczej autentycznie i wychyliła kolejny, teraz już regularnie napełniany przeze mnie kieliszek.

- Bo wiesz, wątek tego gostka na pewnym etapie przestał nas interesować. Ale weź też pod uwagę, że ja tego śledztwa nie prowadzę, więc wiem tyle, ile wiem.

- Domyśliłam się tego.

- Co jeszcze ci nie daje spokoju?

Przede wszystkim spokoju nie dawał mi Artur, ale o niego nie miałam śmiałości dopytywać.

- To wszystko by oznaczało, że Grzesiek kręcił się koło mnie na polecenie Jolanty? – skonkludowałam zamiast tego. – Że był ze mną przez tyle czasu, bo... ona mu kazała?

- Niekoniecznie – pocieszyła mnie Aga. – Ona była cholernie dobrą manipulatorką i mogła tak to zainicjować, że on o niczym nie wiedział. Zresztą, gdyby wtajemniczała go w swoje ciemne sprawy, za daleko by nie zajechała. I musiała o tym wiedzieć, znała przecież swojego brata.

- To znaczy?

- On był... jest, typowym, zwyczajnym facetem. Prostodusznym i raczej naiwnym. Mógłby wszystko zepsuć. I na pewno by zepsuł, znam taki typ.

- Ja też... Wobec tego gdy mi zabronił jechać na wesele do rodziny mojego ex męża, pewnie sam nie wiedział, czemu to robi. Ale ona wiedziała.

- Najprawdopodobniej. Masz na myśli rodzinę tego... Jonasza, czy jak mu tam?

- Eneasza, tak. To mój nieboszczyk małżonek. Też z podobnych kręgów, z tego co wiem.

- A tu już wiem nieco więcej, bo tę sprawę prowadzono w naszej komendzie. A konkretnie Artur się tym zajmował. Mogę ci powiedzieć, co zechcesz.

- Agniesz... sz.. Aga...

Coraz trudniej wymawiało mi się jej pełne imię. Za to jej, choć wytrąbiła już pół butelki o pojemności „zero siedem” babcinej nalewki, najwyraźniej nic nie było.

- A czy ty nie zdradzaszcz... szcz... czasami jakiejś tajemniczej służbowej? – zaniepokoiłam się poniewczasie.

- Masz mnie za głupią, czy jak? – zaśmiała się, jak to ona. – Tego co mogłoby zaszkodzić śledztwu nie wyciągniesz ode mnie na piekarskich mękach. Już ja wiem, co mogę, a co nie.

- To świetnie. Mów mi tu takim razie.

- Ale o czym konkretnie? Ty się mnie o coś pytaj może, okej?

- Co Enasz... E-ne-asz miał z tym wszystkim wspólnego? Pełnił też jakąś funkcję w tym całym... ambarasie?

- On? Nie – Ada poklepała mnie po ręce. – Tyle tylko, że ukradł im nieprawdopodobnie wielki majątek. Z pewnością sam nie wiedział, jak wielki.

- Jakim cudem?

- Bo był niedoukiem najwyraźniej.

- Jakim cudem im ukradł? – doprecyzowałam, ponieważ mój były mąż nie należał ani do zbyt odważnych, ani do szczególnie sprytnych.

- Same mu się nawinęły. A on nie wiedział, że gra własnym życiem. Twój Jonasz...

- Eneasz...

- A niechby i Barabasz. On się zajmował modernizacją kradzionych aut przed sprzedażą. Kiedy jedno mu jakoś w trakcie tej operacji „zginęło” i nic szczególnego mu się nie stało, poczuł się pewniej. Poprzestał na wymontowywaniu oryginalnych części i zastępowaniu ich używanymi badziewiami i buchnął jeszcze kolejne. Aż pojawiło się w jego życiu trzecie, a był to wóz odstawiony do dziupli straszliwie pechowym przypadkiem. I dla gangsterów i dla niego.

To auto wiozło akurat diamenty na kontrabandę, a że po drodze wyniknął jakiś drobny problem z zapłonem, bandziory podjechały do swoich ulubionych mechaników. Był to rzeczywiście jakiś drobiazg, bo uporał się z nim twój Barabasz w czasie przerwy obiadowej swoich pracowników. Przy okazji natknął się na ukryte kosztowności, a być może to nawet one sprawiły jakiś problem w działaniu auta. Skojarzył sobie z filmów czarną irchową sakiewkę pełną błyszczących szkiełek z ogromną szansą dla siebie i z niej skorzystał. Kombinował pewnie, że zanim się zorientują, on będzie już daleko. Ale przekombinował.

- Zachściła mu się jeszcze pieniędzy z kamienicy – olśniło mnie wbrew naturze.

- Pewnie ich potrzebował na start. Nie od razu przecież udałoby mu się upłynnić takie bogactwo... W obcym kraju, obcym środowisku.

- Ciotkę ma w Berlinie przecieźsz – przypomniałam sobie.

- A niechby i miał, ale co? Taka zwyczajna ciotka diamenty mu upłynni?

- Czy ja wiem, czy zwyczajna? To macocha moja.

- Oj, zła macocha – przytaknęła nie wiem czemu Agnieszka.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo macochy zawsze są złe.

- No tak, Tak, tak muuu.... usiało być – ziewnęłam, nie mogąc dłużej ukrywać senności. - Ale on je zgubił przy okazji, te diamenty. Jak to moszszliwe?

- No właśnie, tego akurat do tej pory nie wiadomo. Ani tego, gdzie je zgubił.

I to były ostatnie słowa, jakie odnotowała moja pamięć owego wieczoru.

* * *

Kiedy się przebudziłam (w fotelu i kompletnym stroju), Agnieszki już nie było. Były ślady po imprezie oraz kartka o następującej treści:

„Świetnie się z tobą biesiaduje, ale krótko. Schowaj resztę nalewki, mam nadzieję że jeszcze to powtórzymy”.

- Jasne, że powtórzymy – powiedziałam na głos. - Wiem to na pewno. I cieszę się, że jesteś taka chętna, koleżanko... - O Rany, już po ósmej!

Niestety, fakt był faktem. Do odwiedzin w szpitalu (to znaczy do godziny ustalonej przeze mnie samą i respektowanej od wielu, wielu dni) była niecała godzina. Nie miałam więc nawet czasu zastanowić się nad swoją aktualną kondycją, wzięłam szybki prysznic, włożyłam na siebie co było pod ręką i nawet nie upinając włosów, wybiegłam z domu. Zdążyłam na akurat na czas, to znaczy na kwadrans po dziewiątej. Ubzdurałam sobie bowiem już jakiś czas temu, że im bardziej życie Artura będzie systematyczne, tym prędzej wróci do zdrowia. Nie wiem na jakiej podstawie, ale dla mnie regularność i systematyczność zawsze łączyła się z poczuciem bezpieczeństwa – ono zaś było lekarstwem na wszystko.

- No, jestem – zameldowałam mu od progu.

Całkiem jeszcze odważna po wczorajszym wieczorze pocałowałam go nawet w policzek, a następnie zastanowiłam się, czy mógł wyczuć wczorajsze promile. Ja w każdym razie nie wyczytałam tego z jego twarzy. A, zresztą, co mi tam!

- Była u mnie wczoraj Agnieszka – poinformowałam go. – Wypiliśmy sobie trochę. Wiesz, miałam trochę nurtujących mnie pytań w związku z tymi... diamentami, z rolą Jolanty w tym wszystkim i takie tam...

Agnieszka trochę rozjaśniła mi w głowie. Ale o tobie nie rozmawialiśmy – dodałam, nie wiem po co.

Ty chyba wciąż jeszcze jesteś pijana Adelo – skrytykowałam się w myśli.

- Jak się dzisiaj czujesz? – spytałam, pochylając się nad Arturem.

Miałam wrażenie, że jest dziś bardziej nieruchomy niż wczoraj. Zmartwiło mnie to.

- A może ja cię męczę?

- Nie męczy go pani – odpowiedziała mi wchodząca o dość nietypowej porze do sali pielęgniarka. – Przeciwnie, osoby w jego stanie potrzebują jak najwięcej bodźców zewnętrznych, kontaktu z ludźmi, a szczególnie z bliskimi. Pani jest jego dziewczyną, jak się domyślam?

- Nie, to on jest moim chłopakiem – odparłam.

O ile w przypadku ludzi po trzydziestce można używać takich określeń.

- A to chyba na jedno wychodzi? – roześmiała się pielęgniarka.

- W sumie tak – przyznałam – tylko że na odwrót. Czy ja mam wyjść?

- Nie, zmierzę mu tylko ciśnienie.

Pielęgniarka robiła swoje, ale kątem oka spoglądała na mnie. Musiałam jej się wydać co najmniej oryginalna. Nie szkodzi.

- A wiesz, Agnieszka ma całkiem sporą wiedzę na temat tej historii, która ma swój początek w głupocie mojego byłego małżonka - powiedziałam po jej wyjściu. – Nie miałam pojęcia, że wie aż tyle o ludziach z mojego otoczenia, głównie z mojej przeszłości. Boże, mój Boże, jaka ja kiedyś byłam głupia! Jaka naiwna!

Ścisnęłam nieco mocniej jego dłoń. Teraz myślałam o tym, jak mogłam dla kogoś tak płytkiego, tak samolubnego i nawet już wówczas nie kochanego sprzeniewierzyć schedę po dziadkach.

- Że też mi ręka nie uschła, jak sprzedawałam kamienicę – szepnęłam ze zgrozą. – Ona była w naszej rodzinie od pokoleń, nie zrujnowały jej wojny, nie rozgrabiła komuna, zrobiłam to ja, wniosia i oczko w głowie moich dziadków!

Przytuliłam twarz do jego dłoni i z moich oczu poleciały łzy.

- Popatrz, ja umiem płakać! Umiem przez ciebie, wiesz? Dopóki nie wlałeś w moje życie, miałam oczy suche jak pieprz! Tak, to są moje łzy – na dowód swoich słów otarłam policzki jego bezwładną dłonią.

- Przepraszam, ja już nie wiem chyba co mówię – zreflektowałam się zaraz potem. – Chyba pijana jeszcze jestem. Mniejsza z tym. Czy ty wiesz, że jak Eneasza zażądał sprzedania kamienicy, wcale nie przystawił mi pistoletu do durnego łba, nie groził siekierą, nie wziął dziadków jako zakładników?! Rozpłakał się i to wystarczyło. Bo łzy to takie cholerstwo jest. Gdyby zastosował przemoc, może bym się nie ugięła, przez wrodzony upór i przekorę. Ale żal mi się go zrobiło. I wyobraź sobie, ja już wtedy wiedziałam, że przez całe niemal małżeństwo zdradzał mnie na lewo i prawo. Że mnie wykorzystywał przez cały ten czas, kręcił, motał a nawet ćpał. Długo trwało zanim uwierzyłam twardym dowodom, natykałam się co prawda czasem na liściki, SMS-y, ślady szminki na koszuli. I nic. O, durna ja, durna! A gdy mi ktoś ze znajomych powiedział, że widział Eneasza w niedwuznacznej sytuacji z jakąś pindzią, uznałam, że miał omamy. Nawet jak pewna małolata przyszła do mnie i poprosiła, żebym zwróciła mu wolność gdyż ona go kocha i być może spodziewa się jego dziecka, roześmiałam się jej w twarz. Ale kiedyś, gdy zrobiło się tego już o wiele za dużo, poleciałam na pewniaka i powiedziałam, że wiem o jego drugim życiu, a on... się przyznał!!! Sam, bez specjalnych nacisków z mojej strony! Potem, jednym tchem obiecał poprawę, a ja, zamiast wywalić go z domu (to znaczy z kamienicy, która już była wówczas moją własnością) dałam mu drugą szansę. Dziadkowie oddali mi kamienicę jeszcze za życia, bo Eneasza nalegał na jej przepisanie.

- Spójrz kochanie – mawiał. – Skoro ta chałupa i tak ma być twoja, chętnie bym w nią zainwestował już teraz. Nie wiem, okna powymieniał chociaż na szczelniejsze? Rynny wymagają wymiany, a może nawet i dach, ale kto mi zagwarantuje że się dziadkom nagle nie odwidzi?

Wówczas jeszcze i ja i dziadkowie myśleliśmy, że Eneasza ma własny, spory kapitał, a oprócz tego nieźle zarabia w tym swoim warsztato-salonie samochodowym. I za któryś razem dziadkowie się złamali, przekonani

przez Eneasza o konieczności pilnych napraw i ujęci jego troską o rodowe dobra. Właściwie miałam powiedzieć: na szczęście byli na tyle ostrożni, że przepisali ją tylko na mnie. Ale nie powiem, bo co to za różnica? Oddałam mu w końcu obie połowy po dobremu...

Dziadkowie za wieloletnie oszczędności kupili sobie mieszkanie, to, w którym ja teraz mieszkam, na Złoty Łanów. Wszystkie swoje rzeczy, których nie mogli z sobą zabrać: meble, obrazy, pamiątki rodzinne, ulokowali na parterze w kilku pomieszczeniach, a nam zostawili całe pierwsze piętro. Reszta przez cały czas, od lat była zamieszkała lub wynajęta na inne cele przez tych samych ludzi, jak pan Antoni na przykład, bądź ich potomków, jak rodziny Barańskich czy Odrzywołków. Teraz ja byłam właścicielką całych tych włości, łącznie z comiesięcznymi wpływami. Wyprowadziliśmy się od teściów i zamieszkaliśmy na swoim. A ściślej: na moim. Eneasza nadal dość często wpadał do Krakowa, by kontrolować swoje interesy. Lada chwila miał wszystko sprzedać i rozkręcić podobny biznes w moim mieście. Ale nie zdążył, bo się na nim poznałam...

Byliśmy już od najmniej roku w separacji, kiedy Eneasza wpadł do mnie w nocy, wyglądał jak upiór, albo raczej jak cień. Niespokojny, wymizerowany, wylękniony. Od razu wzbudził moją litość, a po chwili i poczucie winy.

- „Kiedy mnie wyrzuciłaś z domu” – tak zaczął swoją opowieść. - „Gdy już zostałem sam jak palec na tym świecie” albo: „gdy pozbawiłaś mnie resztek nadziei” - takimi zwrotami operował co kawałek. Żalił się, że wziął spory kredyt by móc zacząć nowe życie, zmienić w nim wszystko, celem szybszego zapomnienia o mnie. Jedynej, prawdziwej miłości, teraz wie to już na pewno... Mówił, że kupił za tę pożyczkę mały dom z na obrzeżach miasta (jak najbardziej z ogródkiem) by już nie musieć broń Boże wracać do rodziców. Sprzedał warsztat i rozkręcił w pobliżu domu mały, spokojny acz niestety... zupełnie niedochodowy interesik. A kredyt trzeba spłacać, odsetki rosną w szalonym tempie – lkał.

Drżącym głosem wyznał, że dwukrotnie został przez pożyczkodawców dotkliwie pobity, ponieważ... ponieważ nie była to, niestety, pożyczka

bankowa. I teraz grozi mu już niechybna śmierć! Wyznaczyli mu termin spłaty do jutrzejszego wieczora i ani sekundy dłużej.

Ja się naprawdę przejęłam, Artur! Widziałam takie rzeczy w telewizji, gdy za znacznie mniejsze kwoty ludzie tracili całe dobytki, a nie rzadko i życie! Pomyślałam... (choć procesu, który wówczas zachodził w mojej głowie dziś nie nazwałabym myśleniem), że jeśli go zamordują, będzie to dla mojego sumienia znacznie większe obciążenie, niż sprzedaż kamienicy. Bo w końcu pieniądze to tylko pieniądze, raz są a raz ich nie ma – a życie ludzkie to wartość najwyższa i jedyna.

- I wyobraź sobie, ja, durna jeszcze wówczas jak niemowlę i naiwna jak szczenię we mgle, ulokowałam go na noc na parterze, w pomieszczeniach, gdzie dziadkowie zostawili część mebli. Sama zaś obudziłam, znacznie lepiej niż dziś słyszącego Antoniego i umówiłam się z nim na rano na wizytę u notariusza. Jego chęć kupna kamienicy była bowiem od lat niezmienna. Okazało się, że formalności potrwały dłużej niż jeden dzień, jednak poczciwy Antoni na moją prośbę wypłacił mi z góry żadaną kwotę. Eneasz, kiedy wręczałam mu pieniądze płakał z wdzięczności i kłęcząc całował mnie po rękach. Ja też płakałam...

Jednak kiedy poszedł na dół by zabrać swoje rzeczy, nagle zmienił się nie do poznania. Krzyczał, że go okradłam, że skazałam go na śmierć, wyzywał. Teraz nie byłam już jego wybawczynią, ale głupią dziwką, babą ze wsi, świnią, złodziejką i morderczynią...

Stałam jak wrośnięta w ziemię wysłuchując tych jego obelg i niczego nie pojmując.

- Ty naiwna suko, myślisz, że mnie w ten sposób przy sobie zatrzymasz? – wrzeszczał. – Grubo się mylisz! Oddawaj co nie twoje, bo nic tym nie wskórasz, mam cię dosyć już od dawna!

Kiedy skończył mu się repertuar wyzwisk, uderzył mnie. Raz i drogi a następnie zwałił za włosy ze schodów.

- Gadaj diablico, gdzie to schowałeś? – dopytywał.

Dla urozmaicenia naigrywał się ze mnie, z mojej głupoty, wówczas dowiedziałam się, że, nie ma żadnego domu z ogródkiem, żadnego

„nowego życia” i że pieniądze z kamienicy mu się po prostu należą jako gratyfikacja za pożycie ze mną. I że ma na pęczki lepszych niż ja.

Pomyślałam, że jest pijany albo naćpany. Ale raczej nie mógł się tak prędko i niespostrzeżenie do podobnego stanu doprowadzić...

A kiedy pod kamienicę zajechał jakiś samochód i po chwili rozległ się dzwonek u drzwi, Eneas złapał za swój plecak i wypadł jak burza tylnym wyjściem. Wówczas go widziałam po raz ostatni.

To był dziadek. Pytał czy nie ma u mnie babci, bo wyszła jakąś godzinę temu z zamiarem zajścia do kamienicy. Nie dałam rady ukryć przed nim ani swoich emocji, a tym bardziej wyglądu: potarganych włosów i ubrania, siniaków, zadrapań na twarzy i rękach. Spontanicznie opowiedziałam mu o wszystkim i to był mój błąd, bo kiedy pobiegłam do nich rano by się upewnić, czy babcia się odnalazła, ona klęczała przy nim na podłodze, a on już nie dawał oznak życia. Babcia tuliła go w ramionach i kołysała na zmianę. Nawet gdy przyjechało pogotowie, nie pozwoliła się lekarzowi do niego zbliżyć. Dopiero gdy dostała zastrzyk i popadła w jeszcze większą apatię, dziadka zabrano. I tu nastąpiła historia jak z Olgi opowiadań o magicznych pierścionkach zaręczynowych: „on odszedł pierwszy, a ona dołączyła do niego jeszcze tej doby”.

Taaak, Arturze. Na pogrzebie dziadków płakałam po raz ostatni. Aż do teraz... Przeprowadziłam wówczas na Złote Łany, a w pomieszczeniach, w których została część ich dobytku otworzyłam galerię. Ten dobytek posłużył mi zresztą za pierwszy towar, bo ja w tej sytuacji naprawdę nie miałam z czego żyć. Być może z tego powodu zrodziła się fama, że oto szlachcianka Adela herbu Topór wysprzedaje pamiątki rodzinne... Sprzyjała mi ta legenda wówczas i sprzyja do dziś...

- Artur, co ci jest? – krzyknęłam, widząc na jego skroniach kilka kropeł potu.

W panice zawołałam pielęgniarkę.

- Czy to mogłaby być reakcja na to, o czym pani do niego mówiła? Opowiadała mu pani o czymś istotnym, poruszającym?

- Tak. Raczej tak – przyznałam.

- Poinformuję lekarza. To mogłaby być oznaka, że łapie powoli kontakt z rzeczywistością.

Mówiąc to pielęgniarka wyszła z sali energicznym krokiem.

ROZDZIAŁ XXII

Koło fortuny

Nie czekałam na przyjście lekarza. Poszłam do kościoła. Nadal nie potrafiłam się modlić i nie zamierzałam nawet próbować. Uklęłam w jednej z ostatnich ławek i ta cisza, półmrok i chłodne, przesycone zapachem starego drewna, kadzidła i świec powietrze sprawiało mi ulgę.

Nie wiedziałam, czego właściwie chcę i czy ja w ogóle czegoś chcę. Kochałam Artura. Bardzo go kochałam, mało tego, odczuwałam, że jest mi dziwnie bliski, że jest dla mnie znacznie ważniejszy niż jakikolwiek facet do tej pory i zależało mi na nim o wiele bardziej, niż byłam to sobie w stanie racjonalnie wytłumaczyć. Ale nie wiem, czego chciałam. Z pewnością tego, żeby się obudził, żeby mógł normalnie funkcjonować, chodzić, żyć jak przedtem. Ale czego chciałam dla siebie?

Kiedy się nie zastanawiałam nad tym, skupiając się przede wszystkim na Arturze i jego stanie zdrowia, łudziłam się że on z tego wyjdzie i że wówczas będziemy razem. Teraz w całej rozciągłości zobaczyłam ułomność tego planu. Bo jak? Jak miałyby to wyglądać?

Zamknęłam oczy, ale kompletnie nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. A nawet znaleźć powodu, dla którego on miałby chcieć być za mną. Bo przecież do cholery, nie mógł sobie tego postanowić podczas snu! Ani się do mnie przekonać. Więc czemu? Z wdzięczności, że przy nim wysiadywałam każdego dnia? A cóż to jest niby za zasługa?

Kiedy tak uświadamiałam sobie kolejne fakty, gęsia skórka pokryła całe moje ciało. Bo zobaczyłam całą swoją przeszłość, a w niej to, że właściwie nigdy nie żyłam naprawdę. Od czasu, gdy stałam się

samodzielną, autonomiczną jednostką ludzką, aż do dziś przez cały czas pławiłam się w kłamstwie. Najpierw Eneaszowym, w świecie zbudowanym przez niego wyłącznie na oszustwie i draństwie, a następnie w swoim własnym, skonstruowanym na całkowicie fałszywej rzeczywistości. Rzeczywistości wykreowanej przeze mnie samą...

A teraz? Jakie będzie moje życie? Co będzie moją prawdą? Nagle poczułam wokół siebie nieprawdopodobny ogrom tego świata, poczułam jego ciężar na swoich barkach i uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem samotna. Tak, s a m o t n a! Nie: „sama z wyboru”.

Zrobiło mi się niedobrze. Wyszłam z kościoła w obawie, że zaraz zwymiotuję. I poszłam przed siebie, nie wiadomo dokąd.

* * *

- Ada, to ty?

Spojrzałam w górę. Olga pochylała się nade mną i trącała w ramię. Okazało się, że moja droga donikąd zaprowadziła mnie na ławkę w pobliżu galerii.

- Co ty tu robisz?

- Odpoczywam – odparłam bez sensu. – A ty?

- Pracuję. Zobaczyłam cię przez okno. Ada, wszystko z tobą w porządku?

- Nie, ale mniejsza z tym. Zrobisz mi kawę?

- No oczywiście. Chodź.

Olga usiadła naprzeciw mnie w kuchence, z kubkiem w dłoniach.

- Wyobraź sobie, że ruch mamy jak mało kiedy. Teraz się dopiero zrobiła chwila spokoju – zagaiła neutralnie. – Chyba galeria obrosła w kolejną legendę...

- Tak? – uśmiechnęłam się, bo było to całkiem prawdopodobne. – A co mówią? Słyszałaś coś?

- Ludzie przypomnieli sobie jakąś historyjkę, że niby przed kilkoma wiekami jacyś twoi przodkowie ukryli w kamienicy skarb i że teraz jakaś

szajka postanowiła go odnaleźć.

- I odnalazła?

- Tak, ale nie zdążyła wynieść na zewnątrz bo zjawiła się policja, szajkę zamknęła, a skarb oddała tobie.

- Ho, ho, to dopiero teraz mnie będą oglądać! A ty możesz co poniektóre okazy sprzedawać, jako pochodzące z tegoż skarbu.

- Bez przesady. Przecież ja aż tak naciąganych historii ludziom nie opowiadam.

- Jasne, że nie. Poza tym, że każdy pierścionek, bransoletka czy wisior ma według ciebie magiczną moc.

- Nie magiczną moc, tylko romantyczną historię – sprostowała Olga. – I to jest święta prawda, bo każdy stary przedmiot taką ma.

- Niech ci będzie – zgodziłam się bez walki.

- Kiedy przychodzisz do pracy? W poniedziałek, tak jak mówiłaś?

- Nie, już od jutra. A właściwie – spojrzałam na zegarek – od dzisiaj.

Było dopiero po dwunastej, więc jeszcze nie najgorsza pora na rozpoczęcie dniówki.

- Świetnie, ale może... - Olga spojrzała na mnie skonsternowana - może się choć trochę... uczesz.

Wstałam i podeszłam do lustra. Rzeczywiście, nie wyglądałam zbyt reprezentacyjnie. Włosy w nieładzie, podkowy po oczami, spierzchnięte usta. A i mój strój pozostawiał wiele do życzenia. Zapomniałam, że rano złapałam w pośpiechu zwyczajny, luźny sweter i džinsy.

- Racja – roześmiałam się. – Chyba dziś nie bardzo wyglądam jak spadkobierczyni drogiego skarbu. Idę wobec tego do domu, a pracę zacznę od jutra. Ale... no właśnie, miałam ci powiedzieć, że będę teraz przychodziła najwcześniej na jedenastą.

- Rozumiem – odparła z powagą Olga. – A co z nim?

- Chyba... bez zmian – westchnęłam i wyszłam, zanim jakiś klient zobaczył mnie w tak niezwykłej dla mnie formie.

* * *

Do szpitala wchodziłam z sercem w gardle. Bo... jeśli coś się zmieniło? I Artur na przykład odzyskał świadomość? A co, jeśli tak i powie mi na przykład... żebym go zostawiła w spokoju?

Do sali weszłam więc dodatkowo ze skurczem żołądka. Artur leżał, jak przedtem. Może wyglądał nieco lepiej na twarzy, ale nie byłam tego pewna. Ja naprawdę po tylu godzinach wpatrywania się w jego twarz, nie byłam w stanie spojrzeć na niego obiektywnie.

- Cześć – przywitałam się i jak zwykle chwyciłam go za rękę. – Wracam od dzisiaj do pracy. Olga przeprowadziła remont w galerii i wszystko tam już tylko czeka na mnie. Było trochę strat w towarze, ale i tak jest z czym ruszyć na nowo... Wiesz?

Dziś „rozmowa” nam się jakoś nie kleiła. Być może dlatego, że czas mnie gonił i trochę byłam już myślami w galerii. Większość czasu przesiadywałam więc w milczeniu, trzymając go za rękę.

Wychodząc zajrzałam do pokoju pielęgniarek z nadzieją, że spotkam tę samą, z którą rozmawiałam wczoraj. Niestety, nie było jej, ale jakaś inna sama do mnie zagadała.

- Pani pewnie chciałaby dowiedzieć się czegoś o panu Strońskim?

- Tak, właśnie.

- Wobec tego proszę pójść do pokoju lekarzy, jest tam pan doktor Brzoza, to jego lekarz prowadzący.

- Ale... ja nie wiem, nie jestem nikim z rodziny...

- Jest pani narzeczoną, to wystarczy.

Nie. Nie byłam żadną cholerną narzeczoną i już mnie mierziło podszywanie się pod nią. Przypomniał mi się taki film, gdzie dziewczucha wmawia facetowi wybudzonemu ze śpiączki, że jest jego ukochaną. Facet ma jeszcze pewne kłopoty z pamięcią, więc ulega tej manipulacji... Ale życie to nie film, a ja to nie Sandra Bullock.

Lekarz na szczęście nie dociekał kim jestem, więc nie musiałam się zmagać z wypowiedzeniem tego kłamliwego słowa.

- Stan pana Strońskiego jest stabilny – zaczął bez wstępów. – Jak pani zauważyła, oddycha sam, wszystkie procesy fizjologiczne normalnie zachodzą w jego organizmie. Układ krążenia funkcjonuje bez zarzutu. Pacjent reaguje na silniejsze bodźce zewnętrzne. I właściwie tyle mogę pani powiedzieć.

- A... czy może pan określić, jaka jest szansa, że on z tego wyjdzie? To znaczy... wybudzi się i że wszystko wróci do normy?

- Proszę pani, to wie tylko Ten u góry... - westchnął lekarz. - Pacjent, z którym nie ma kontaktu nie jest do końca zdiagnozowany, ponieważ nie wiadomo, czy zachował świadomość, czy też nie. A skoro pan Stroński nie wysyła żadnych sygnałów, nie jesteśmy się w stanie o tym dowiedzieć. I tym samym przewidzieć, jak to będzie wyglądało dalej.

- Ale... jak to, nie wysyła? Ja jestem prawie pewna, że wysyła! – zaprotestowałam. - Na przykład... za pomocą mimiki twarzy. Bardzo słabej, ale ja to zauważam. A wczoraj? Zaczął się pocić!

- Tak, ale mówiłem pani, że czynności fizjologiczne pozostały bez zmian. Pot to fizjologia.

- On zareagował w ten sposób na to, o czym mu opowiadałam – upierałam się.

- Nie twierdzę, że nie. Dlatego ważne jest, żeby pani przebywała z nim jak najczęściej, mówiła do niego, dotykała go, wspominała jakieś wspólne, miłe wydarzenia, a nawet nuciła jego ulubione piosenki. To zawsze pomaga. Poza tym śpiączka pourazowa daje nieco większe szanse na odwracalność tego stanu, niż taka, która nastąpiła w wyniku choroby.

Jasne – pomyślałam. – Tylko skąd ja mam wiedzieć, co on lubi, a czego nie?

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinna pani wiedzieć – lekarz jakby zawahał się na moment.

- Tak?

- Jeśli pan Stroński się wybudzi, to... niekoniecznie wróci do stanu sprzed wypadku. Bo tu w grę chodzi przede wszystkim uraz, jaki do śpiączki doprowadził. W jego przypadku chodzi między innymi kręgosłup.

- Czy to znaczy, że on nie będzie chodził?

- Jest takie prawdopodobieństwo – odparł, rozkładając ręce.

Do galerii szłam tak zamyślona, że o mały włos znów nie wpadłam pod auto.

- Pies! A co z jego psem? – pomyślałam, bo mi się skojarzyło.

Zatrzymałam się na chwilę i wybrałam na komórce numer Agnieszki. Też komórki tym razem, bo ostatnio wymieniliśmy się prywatnymi numerami telefonów.

- Aga, co jest z psem Artura? – wypaliłam bez wstępu.

- Jest w komendzie, razem z naszymi psami. A co, chcesz się nim zająć?

- Nie, nie... tak tylko pytam, bo mi się przypomniało, że on miał psa.

- Dość sporo o nim wiesz – zauważyła Agnieszka.

- Wiem o psie i na tym się moja wiedza kończy – odparłam dość chłodno.

- Ejże, bez fochów koleżanko – roześmiała się. – Ja tylko tak, pół żartem, pół... serio.

Zaśmiała się ponownie, głośniej i dłużej.

- Aga, co ty sugerujesz? – postanowiłam raz i na zaś wyjaśnić te jej spekulacje.

- Nic. Tylko nie wiem czy wiesz, ale w notatkach Artura nie funkcjonujesz z imienia i nazwiska, jak wszyscy inni z tej sprawy.

- Tylko z czego funkcjonuję?

- Ze zdrobnienia.

- Ja... jakiego... - poczułam, że uginają się pode mną nogi i serce podchodzi do gardła.

- Ada.

- Co?

- No tak on właśnie o tobie pisze: Ada.

- Grzebiecie w jego notatkach? – zniesmaczyłam się i zaniepokoiłam zarazem.

Bo a nuż on tam nasmarował coś więcej?

- Nie, nie w notatkach, źle się wyraziłam – sprostowała Agnieszka z nagłą powagą. – W raportach. Ale on zawsze te raporty robił, że pozał się Boże. Bez ładu i składu, wtrącał na marginesach jakieś złote myśli, pstrzyły rysunkami. I nie było na niego sposobu.

- Aha – uspokoiliłam się nieco. Ale tylko nieco.

- A jak tam nasza nalewka? – spytała nagle z innej beczki.

- Cała i zdrowa – odparłam. – To znaczy, pół.

- Może wobec tego spotkamy się wieczorkiem, co?

Jeśli o mnie chodzi, byłam bardzo chętna. Nie tyle na wspólne raczenie się alkoholem, co na uzupełnienie mojej wiedzy o Arturze. Skoro Agnieszka okazała się taka rozmowna, postanowiłam z tego korzystać. Miałam jednak obawy, że po takiej sesji jak poprzednio, znów pozawalam wszystkie swoje sprawy.

- Chętnie, ale wiesz co? Może jutro, jeśli nie masz nic przeciwko? Będzie piątek, nie wiem jak ty, ale ja w soboty nie pracuję.

- Ja różnie, ale czekaj... tę też mam wolną.

- Super! – ucieszyłam się. – To jesteśmy umówione, tak?

- Jak najbardziej – również ucieszyła się Agnieszka.

* * *

- Patrzę na ciebie od chwili, jak minęłaś Biedronkę – wyznała Olga na powitanie. – Idziesz, idziesz i dojść nie możesz. Już myślałam, że sobie załączyłaś GPS-a w komórce, bo zapomniałaś drogi!

Teraz Olga popisała się dowcipem.

- Nie, wyobraź sobie, że najzwyczajniej w świecie rozmawiałam. A co? Stało się coś? Coś pilnego może?

- I tak i nie. Nie u nas w każdym razie.

- A u kogo?

- Pogotowie zabrało pana Antoniego. Chyba z nim nie najlepiej.

- O mój Boże – na samą myśl o szpitalach i lekarzach dostałam gęsiej skórki. – Co mu się stało?

- Nie wiem konkretnie, w każdym razie on strasznie ten swój wyczyn przeżył. Bardzo. A gdy się dowiedział, że ten policjant jest w tak kiepskim stanie, popadł w jakieś odrętwienie. Prawie nie jadł i nie spał.

- Skąd to wiesz?

- Był tu ze dwa razy, wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Potem ja go odwiedzałam.

- Ty mu powiedziałaś o Arturze?

- Nie, policja...

- Biedny staruszek – zmartwiłam się autentycznie, bo to był niezwykle życzliwy i dobry człowiek.

Nie winałam Antoniego za to, co się stało. W końcu jakby nie było, za wszystko co było związane z tym wydarzeniem byli odpowiedzialni bandyci i tylko oni.

- A nie wiesz... czy grozi mu coś z tego tytułu? Chodzi mi o sankcje prawne.

- Myślę, że nic mu nie zrobią, ale tak czy inaczej rozprawa musi się odbyć.

- Dobrze, że go chociaż nie aresztowali – westchnęłam, uświadamiając sobie, że to przecież nadgorliwy Król prowadzi śledztwo w tej sprawie. – Oby nie umarł, a w każdym razie nie z poczucia winy... Pan Antoni ma już grubo ponad osiemdziesiąt lat i nie na taki koniec sobie zasłużył.

- Też tak uważam – przytaknęła Olga i na tym poprzestała, ponieważ do galerii wszedł... ksiądz.

- Dzień dobry – przywitał się po świecku. – Szukam czegoś na prezent. Moja kuzynka wychodzi za mąż i chciałbym ją z tej okazji obdarować czymś nietuzinkowym. Pomyślałem więc, że gdzie, jak nie w galerii staroci znajdę odpowiednią rzecz?

- Chodzi o coś... z dewocjonaliów? – spytałam.

- Nie – uśmiechnął się ksiądz. – O coś ładnego, oryginalnego i wartościowego. Co nie znaczy, kosztującego fortunę.

- Pokaż księdzu, co tu mamy, a ja rzucę okiem do magazynu – zwróciłam się do Olgi.

Szukałam na tyle długo, że miałam już teraz obawy, czy nasz niecodzienny klient sobie nie poszedł. Ale ciągle jeszcze był.

- Proszę spojrzeć na to – postawiłam na ladzie duży, mosiężny zegar, którego tarcza powstrzymywana była przez dwie wdzięczne figurki, kobiety i mężczyzny. Na podstawie zegara był grawer: „To jest nasz czas.”

Księżda niemal zatchnęło z zachwytu.

- Boże mój - wyszeptał. – Przecież to jest prezent absolutnie idealny dla Gabrysi! Dokładnie z okazji ślubu!

- Miło nam – odparłam skromnie w imieniu swoim i Olgi.

- A ja księżda zaje się nie znam – wypaliła ni z tego ni z owego mocno praktykująca Olga. – Ksiądz chyba nie z naszej parafii?

- Nie, nawet nie z waszego miasta. Przyjechałem do stryja, powiadomiono mnie, że nie najlepiej się czuje. Powinny go panie znać, był właścicielem tej kamienicy.

- Pan Antoni? Jak to... był? – zaniepokoiłam się.

- Stryj niestety zmarł przed godziną. Miał atak serca, nie odratowano go.

- Och! – tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć.

Przypomniałam sobie teraz kilka sytuacji, w których pan Antoni śpieszył z bezinteresowną moim dziadkom, a potem i mnie. Nigdy nie wahał się, gdy mógł się komuś na coś przydać. Poczułam, jak łzy zbierają mi się pod powiekami.

- Stryj był dla pań kimś bliskim? – spytał ksiądz, zaskoczony moją reakcją.

- Tak... Był przyjacielem. I cudownym człowiekiem.

- Co wobec tego będzie teraz z kamienicą? I... z nami? – spytała nieprzyzwoicie praktyczna jak na tę sytuację Olga.

- A to już pewnie zależy od nowych właścicieli.

- Czyli że... od księdza? Czy kogoś innego z rodziny? – drażyła.

- Nie, stryj nie ma bliższej rodziny ode mnie. Ale ja mu już jakiś czas temu powiedziałem, żeby znalazł sobie innego spadkobiercę, bo co ja bym z tą kamienicą robił?

- Czyli, że ta kuzynka nim będzie? Tym... tą spadkobierczynią?

Olga nadal dręczyła księdza pytaniami. Zrobiło mi się za nią wstyd.

- Dajże już spokój – upomniałam ją. – Nie widzisz, że to nie czas i nie miejsce na takie rozważania? Czas pokaże co będzie.

- Nie, dlaczego – wziął jej stronę ksiądz. – Skoro pani się niepokoi o swoją przyszłość, ma prawo pytać. – Nie, kuzynka nie wchodzi w rachubę, to moja krewna ze strony matki. Sugerowałem stryjowi, że może na jakiś zbożny cel przekazał swój majątek, ale on znalazł inne rozwiązanie.

- To znaczy? – spytała Olga, a już nie protestowałam.

- Uznał, że budynek powinien wrócić do wieloletnich właścicieli. Zapisał go więc w testamencie osobie, od której ją nabył.

Na tę informację Olga najpierw otworzyła usta, a potem dopiero zastygła.

- Czy to może o panią chodzi?

- Nie, o mnie – odparłam wiedząc, że przez najbliższą chwilę nie będzie z nią kontaktu.

Ksiądz przyjrzał mi się z uwagą.

- Mam nieodparte wrażenie, że stryj postąpił słusznie – powiedział, z uśmiechem. – Ale my tu gadu gadu, a pociąg nie będzie czekał. Ile panie życzą sobie za ten zegar?

- Proszę do wziąć i życzyć kuzynce szczęścia.

- Ale... jak to tak?

- Proszę go przyjąć przez pamięć dla stryja, po prostu.

- Bóg zapłać! I szczęść Boże – ucieszył się ksiądz i pożegnał się, już nie po świecku.

- Kurczę, Ada! – wykrzyknęła Olga jak tylko doszła do siebie. Rzecz jasna, po wyjściu księdza. – Ty byłaś właścicielką kamienicy? Kiedy? Czemu ja o niczym nie wiem?!

- Bo tu nie ma o czym rozprawiać. To nic przyjemnego dla mnie.

- Aha – Olga spojrzała na mnie ciekawie, ale nie zapytała o nic. – tak czy owak, popatrz, jak się to koło fortuny obraca. Ja nie wiem, czy dobrze

myślę, ale to chyba jakaś rekompensata dla ciebie od losu? Za coś tam?

- Może ci kiedyś o tym opowiem – odparłam. – Ale nie licz na to za bardzo.

ROZDZIAŁ XXIII

Oraz że cię nie opuszczę, czy tego chcesz czy nie...

Jakbym miała mało wrażeń na dziś, wieczorem zjawiła się Agnieszka. - Sorry, że tak bez zapowiedzi i że nie jutro, ale mi w sobotę rano dniówka nagle wypadła. I wiesz, tak sobie pomyślałam, że jak ty trochę wczorajsza pójdziesz do tej swojej galerii, to nie dramat, ale ja nie bardzo mogę. U nas takie numery nie przechodzą. A poza tym, tak cię jakoś... polubiłam od nowa, że nie mogłam sobie darować.

- Wchodź - zaprosiłam ją do środka. - Co to znaczy od nowa? Już mnie kiedyś lubiłaś, a potem przestałaś, czy jak?

- Dokładnie – potwierdziła z entuzjazmem. – W liceum cię lubiłam, do trzeciej klasy.

- A co ja ci potem zrobiłam, jeśli można wiedzieć?

- Wyrwałaś chłopaka, na którego i ja miałam chęć.

- Czarka? – coś sobie mgliście przypomniałam.

- Właśnie.

- Wobec tego, zamiast się obrażać, należało najpierw pogadać. Bo my nigdy nie byliśmy parą. Pomagałam mu z angielskiego i tyle.

- Nie mów! – Aga przysiadła z wrażeń na sofie, pobrzękując ekologiczną siatką.

- A wiesz co dziś u niego słyhać? – spytałam.

- Nie, skąd...

- To ja ci powiem, bo akurat wiem. Mieszka na tym samym osiedlu ze swoim chłopakiem.

- Ożesz w dupę – wyraziła się Aga. – A nie wyglądał!

- Bo mu się nigdy nie porządnie nie przyjrzałaś. Już wtedy wyglądał, zapewniam cię.

- Skoro tak, to cofam wszystko, co wówczas o tobie myślałam.

- Dzięki.

- A, i masz tu! Teraz moja kolej – rzekła, wręczając mi siate.

- Nie chcesz już babcinej nalewki? – spytałam, bo wewnątrz, oprócz dwóch flaszek wina były... dwie flaszki wódki.

- Czy ja mówię, że nie chcę? Ale to na koniec, na razie rozsmakuję się w czymś... bardziej neutralnym smakowo.

Muszę przyznać, że przeraziła mnie ta perspektywa. Ale co tam, postanowiłam tylko, że do mojej dzisiejszej degustacji podejść bardziej logistycznie i naznosiłam różnych rzeczy „na ząb”.

- A jak się właściwie wabi ten pies pana Strońskiego? – spytałam, kierując w ten sposób jej ewentualne wynurzenia na właściwe tory.

- Beza się wabi. Bo to jest ona.

- Beza??

Spodziewałam się raczej jakiegoś Belzebuba, Sznaucera, czy choćby Reksa.

- No tak, bo on... ona jest bez siusiaka. Więc Beza – objaśniła mnie Agnieszka.

- Jasne. Proste i genialne – zaśmiałam się i rozstawiłam kieliszki. Jeden do wódki i jeden do wina.

Dziś, jak i poprzednio pogawędka rozpoczęła się od wspomnienia czasów szkolnych. A konkretnie, rzezonego Czarka. I to Agnieszka zainicjowała ten temat, wprost, bez ogródek.

- Skąd wiesz, że on gustował w facetach? – spytała po wychyleniu pierwszego kieliszka.

Agnieszka nie bawiła się w żadne drinki czy inne sposoby łagodzenia smaku gorzały.

- Stał głównie, że nie gustował w dziewczynach – odparłam. –
A później zauważyłam, w czym rzecz.

- Jak?

- No wiesz... Mieliśmy podobny gust jak chodzi o filmy czy muzykę i on w takich rozmowach zawsze zachwycał się aktorami czy piosenkarzami, a nie aktorkami i piosenkarkami. Prenumerowałam katalog modowy i czasem leżał u mnie na ławie. Czarek zawsze oglądał wyłącznie modę męską...

- To co? Lubił się ładnie ubrać – Aga wpadła mi w słowo.

- ...a właściwie tylko strony ze slipami – dokończyłam. – Myślisz, że interesował się tylko bielizną?

- A nie mógł?

- Mógł, tyle tylko, że te moje podejrzania sprawdziły się w całej rozciągłości – spuentowałam, zamierzając zakończyć ten temat.

Nie chciałam, by nasza biesiada skończyła się w moim przypadku tak jak poprzednia, czyli, delikatnie mówiąc, utratą ciągłości myślowej. Miałam przecież swoje tematyczne plany...

- No dobra, to za Czarka i jego chłopaka – Agnieszka trąciła mój kieliszek swoim.

Boże – pomyślałam. – Jak tak dalej pójdzie, będę musiała ją spytać wprost o to, co tak bardzo chciała mi swego czasu o Arturze powiedzieć. A nie bardzo miałam na to ochotę.

- A co tam... naszego wspólnego znajomego? – spytała wreszcie, a ja odetchnęłam z ulgą.

- Na razie bez zmian. Chyba. W każdym razie tak to na oko wygląda. Ale ogółem jest tak, jak mówiłaś. Nawet, jeśli się wybudzi grozi mu wózek.

- O, w mordę – zmartwiła się Agnieszka. – Nieciekawie...

- Jak myślisz, czy w takim wypadku... miałby się kto nim zająć? Jakaś rodzina, czy coś...

- A co, ty byś chciała? - spytała Aga z wyraźną kpiną w głosie.

- Przestań! Pytam, bo nikt inny poza mną i policją go nie odwiedza. Dziwi cię to?

- Może i dziwi, a może nie. To zależy... Nie wiem, czy on ma jakąś rodzinę. Nigdy nie był skłonny do zwierzeń. Jeśli nawet ma, to daleko, z tego co wiem, pochodzi z okolic Szczecina.

- Aha. Ale powiedz mi w takim razie – nagle coś we mnie wstąpiło – skąd wiesz o nim cokolwiek więcej, skoro z niego taki milczek?

- Aaaa... o to ci chodzi?

- Nie wiem, o co. Coś mi kiedyś sugerowałaś. Że niby mi opowiesz, jak zechcę.

- I co? Chcesz?

- Nie w tym rzecz – zirytowałam się. – zastanawiam się, skąd wiesz to co wiesz, jeśli nie od niego?

- Bo wiem. Strasznie zakłamana z ciebie laska, wiesz? Jak tak dalej pójdzie to się posprzeczamy tylko przy tej wódzi i tyle.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Może ja i psychologiem nie jestem, ale twoje zainteresowanie Arturem jest dużo większe, niż mogłoby wynikać z całej sprawy. Mam rację? Nie chcesz – nie mów, ja cię na zwierzenia nie naciągam. Ale jeśli się w nim zabujałaś, tyle mogłabyś powiedzieć. Ja o nic więcej pytała nie będę, a przynajmniej zrozumieć cię choć trochę.

- Nie. Nie zabujałam się. Ja go kocham! - po chwili potwierdziłam jej przypuszczenia. – I... miałam z nim coś w rodzaju romansu.

Dodałam już sama od siebie.

- O, rany! Też mi coś? Wstydziłaś mi się o tym powiedzieć???

- Tak. Wstydziłam się, bo ty wiesz... jak on postępuje z kobietami.

- Bo to widziałam nie raz na własne oczy. Ale takiej kaskaderki, której by się udało, sorry, wleźć mu do łóżka, jeszcze na własne oczy nie widziałam.

Mówiąc to Agnieszka patrzyła na mnie ni to ze współczuciem, ni... z podziwem.

- Teraz widzisz. I wiesz.

- Dziwna jesteś, Ada. To trzeba było tak od razu, w końcu obie jesteśmy kobietami i się rozumiemy w tych kwestiach, no nie?

- Przepraszam cię Agnieszka, ale ja też nie jestem specjalnie wylewna w sprawach uczuć. Tak mam.

- Rozumiem. Więc jak, chcesz to wiedzieć, czy nie?

-Tak.

- I... jesteś pewna?

- No, mówże wreszcie!

- Artura znam od jakichś... czterech lat. Przeszedł do nas z województwa. Nie wiem, czy sam tak chciał, czy go po prostu przeniesiono. Myślę jednak, że skoro on tam prowadził dokładnie tę samą sprawę, to jakiś ważny wątek go tu doprowadził. Poznałam go, jako dość kontaktowego, raczej miłego i równego gościa. Że już nie wspomnę, iż był to najprzystojniejszy facet jakiego widziałam od czasu, gdy skończyłam sześć lat. Ten przed nim, to był Roger Moore w Bondzie.

- O, to pewnie miał spory wpływ na wybór twojego zawodu? Ten Bond?

- A miał, żebyś wiedziała. Ale najpierw na zainteresowanie filmami kryminalnymi.

- No tak. To akurat rozumiem – przyznałam. - I ja kiedyś lubowałam się w Bondach.

- Serio?

- Serio.

Agnieszka wyraźnie się ucieszyła, trącając mnie z łokcia. Na szczęście jeszcze nie dążyłam zacząć polewać.

- Za Bonda w takim razie – uniosła w górę tyle co napełniony przeze mnie kieliszek.

- Za Bonda – zgodziłam się.

- Ale przyznaj, że Roger był najfajniejszym Bondem! – zażądała.

- Był! – zgodziłam się na poły dyplomatycznie, a na poły zgodnie z prawdą.

- Wracając do Artura – Aga spoważniała nagle na twarzy. – Wówczas można mu było wyłącznie zazdrościć: facet tuż przed trzydziestką, zdolny, z rokowaniami na niejednego awans, tyle co kupił sobie furę, ale nie tą, którą teraz jeździ. Dom miał już od roku. Nabył taki, nieduży co prawda,

ale własny. Nawiasem mówiąc nie bardzo daleko stąd, na osiedlu willowym za stacją benzynową.

Było to w istocie całkiem niedaleko, dlatego pewnie łąził po moim osiedlu z tą swoją Bezą...

- Kupił ten dom, bo miał się żenić jeszcze tamtego roku. Cholerną szczęściarą była ta jego Justyna. Taki facet i w pakiecie wszystko, co potrzebne na start! Bez kiwnięcia palcem. No, choć może czym innym i owszem – skomentowała w swoim stylu Agnieszka.

- I co? Co dalej? – ponagliłam, by uciąć ten temat.

- O resztę zadbały bandziory. Te same, co napadły na twoją galerię. No, może nie dokładnie te same, ale z tej samej szajki.

- Jak? – spytałam, wstrzymując oddech.

- Najwyraźniej całkiem nieźle mu to śledztwo szło, skoro postanowili się go pozbyć. Dopadli go na urlopie. W bardzo typowy sposób dla tego typu zamachów. Zgadnij, co się stało?

- Podłożyli mu jakąś bombę, czy coś takiego? W aucie?

- Nie. Wracał skądś z tą swoje Justyną, kiedy usiedli mu na ogonie. Czekali na sposobność, by mu przywalić.

- Z pistoletu?

- Nie, z auta. To znaczy... autem. Rąbnęli w nich z takim impetem, że samochód Artura przekoziółkował kilka razy i stanął w płomieniach.

- O Jezu – szepnęłam ze zgrozą. - Teraz rozumiem, skąd ma te blizny...

- Stąd właśnie, ale nie zupełnie tak jak sądzisz – rzuciła Aga tajemniczo. - Jego wyrzuciło z auta, ale w środku była nadal jego narzeczona. To on ją wyciągnął ze środka, a kiedy nastąpił wybuch paliwa, zasłonił ją sobą.

- Co z nią? – spytałam pełna najgorszych przeczuć.

Bo gdyby ona wówczas zginęła, zrozumiałabym, że zakochany w niej po uszy Artur nie chciał się już później angażować uczuciowo.

- Nic, wyobraź sobie. Kompletnie nic, nie miała nawet jednego zadrapania!

- Ale... umarła, czy tak?

- Skąd! Przeżyła i żyje do dziś. Tylko że nie wiadomo gdzie i z kim, suka!

- Jak to?

- No tak właśnie. Kiedy Artur stracił przytomność, a potem sam zaczął się palić, ona stamtąd najzwyczajniej spitoła. Czaisz? Dała nogę!

Popatrzyłam na Agnieszkę z lekkim niedowierzaniem, bo skąd ona niby miała wiedzieć, co i jak tam się stało?

- Są świadkowie – rzuciła prędko, jakby uprzedzając moje wątpliwości.

- To była pora prac polowych, w pobliżu byli ludzie. I to oni mu najpierw pomogli, zanim przyjechała karetka.

- To... straszne... - skomentowałam po chwili zduszonym głosem.

- Zgadza się – przytaknęła Agnieszka. – Ale nie najstraszniejsze.

- A cóż mu się mogło przytrafić gorszego?!

- Co? To posłuchaj. Można by jeszcze od biedy zrozumieć, że ta jego niunia była w szoku. Ale nie to, że go zostawiła. I to wyłącznie z powodu blizn, kapujesz? A on suce życie uratował! Przecież te jego blizny wcale mu... niczego nie ujmują, nie? Ty to wiesz chyba najlepiej.

- Nie, nie ujmują... Ale że zostawiła go z ich powodu?

- Tak. I wcale się tego nie wypierała. Stwierdziła po prostu, że nie będzie go potrafiła już nigdy dotknąć. Bo się... brzydzi!

- A to skąd wiesz?? Też byli świadkowie?!

- Jak najbardziej. Lekarzom tak powiedziała.

- Sama z siebie? Ot, tak, poszła do szpitala i oznajmiła o tym lekarzom?

- No, nie tak bez kontekstu. Najpierw się dowiadywała czy te blizny mu znikną.

- Ale... przecież mógł mieć wówczas jakiś przeczep skóry zrobiony, mogło być i tak, że po bliznach nie byłoby śladu! Czemu nikt na to nie wpadł?

- Bo poparzenia nie zagrażały jego życiu. A takiego wyłącznie kosmetycznego to już on sam, nie chciał.

- Nie rozumiem... Nie chciał? Nawet dla niej?

- To teraz zrozum, że dla panienki nie miało znaczenia, czy on będzie miał te blizny na gębie, czy na dupie. To już nie był pierwszy gatunek faceta.

- O tym też powiedziała lekarzom?

- Nie. Pielęgniarkom. A ja mam wśród nich dobrą znajomą.

- On się o tym dowiedział?

- Trudno, żeby nie. To znaczy nie konkretnie o tym, co mówiła, ale kiedy laska zniknęła nagle bez pożegnania, trudno nie pokorzyć faktów. Artur w końcu głupi nie jest...

* * *

Nie, tego wieczoru nie urwał mi się film. Ale po takiej dawce szokujących informacji popadłam w totalne odrętwienie i nie było już ze mną żadnej zabawy. Agnieszka więc zebrała się i poszła. A ja... No cóż. Ja wówczas pojęłam mechanizm działania stanu, w który od czasu do czasu popadała Olga. Zastygłam bowiem na jakiś czas w żywy kamień. A potem, jak kamień, zasnęłam.

Paradoksalnie, obudziłam się w miarę wcześniej i bez fizycznych oznak zmęczenia. Ani opilstwa, bo w gruncie rzeczy było tego znacznie mniej (w moim przypadku), niż przy zwyczajowych wieczornych sesyjkach we własnym towarzystwie. Oczywiście, pierwszą myślą po otwarciu oczu byłam już przy Arturze. A być może i przed otwarciem, bo mimo, że nie pamiętałam co mi się śniło, byłam niemal pewna, że on.

Wzięłam kąpiel, starannie się ubrałam, uczesałam, umalowałam... i po prostu, wiedziałam co mam robić. Bez żadnej kalkulacji, zastanawiania się, wiedziałam to i już.

Poranek był, jak na początek maja wyjątkowo ciepły, szłam więc przed siebie nieśpiesznie, delektując zapachem kwitnących jaśminów, słońcem i powietrzem. Dawno nie czułam się już tak lekko i pewnie.

Do szpitala weszłam niemal jak do siebie. Przywitałam się z panią na portierni, z panią z kiosku, później z dwoma salowymi, oraz kilkoma

mobilnym pacjentami. Weszłam do sali Artura bez żadnych oczekiwań. Być może stąd ten mój nastrój, że nagle przestałam się spinać, wymagać, zabiegać, chcieć.

- Cześć Artur – przywitałam się z nim jak zwykle, usiadłam obok jego łóżka i wzięłam jego dłoń w swoje dłonie. – Czy ty wiesz, jaka dziś jest cudna pogoda? Maj całą gębą! Miesiąc zakochanych!

Musnęłam delikatnie ustami jego usta.

- Poczuleś? Pocałowałam cię. Pamiętasz, jak wtedy, u mnie, ty mnie całowałeś, gorliwie, niemętnie... niecierpliwie?

Artur się nie uśmiechał. Ani też nie skrzywił...

- Wiesz czemu ci to mówię? – spytałam. – Bo to wówczas sobie uświadomiłam, jak ważne są dla mnie te nieliczne chwile, które spędzałam z tobą. Jak... cudowne. I myśl sobie co chcesz, oburzaj się, grymasz, ale ja ciebie, niestety Kocham.

Niestety, bo tego nie planowałam. I nie ważne, że nie odwzajemniasz mojego uczucia, nie ważne, iż pomyślisz, że straciłam rozum, ale... mogłabym tak z tobą żyć. Tak, jak teraz. Widywać cię codziennie kiedy zechcę i jak długo zechcę, gadać do ciebie, milczeć z tobą, słuchać muzyki... A właśnie, zapomniałam zapytać Agnieszkę, jaką muzykę lubisz. Ale się dowiem. Co ty na to?

Do sali weszła pielęgniarka.

- Mam wyjść? – spytałam.

- Nie, ja tylko tak, na dzień dobry. Widzę, że ma pani dziś wyjątkowo dobry nastrój – zagadła z uśmiechem.

- A, tak, mam. Maj, proszę pani, wiosna – mówiąc to przytuliłam się do Artura i pocałowałam go w usta.

- Ten to ma szczęście – spojrzała na tę cikliwą scenkę z uznaniem.

- Tak pani myśli?

- Mało tego – spojrzała za siebie, a potem dodała szeptem. – Nie miałyby chyba serca, jakby się nie obudził...

- Nawet, jeśli się nie obudzi, to niczego nie zmieni – odparłam.

- Słyszałeś Artur? – spytałam po jej wyjściu. – Miałam ci to właśnie dzisiaj powiedzieć: nawet jeśli się nie obudzisz, będę przy tobie. Nie wiem jak to potem się ułoży, może sprzedam mieszkanie i kupię coś mniejszego, ale niżej, na parterze... Albo... O! Ja zapomniałam, ale ja przecież na powrót mam kamienicę! Będą pieniądze z wynajmów i nie będę musiała oczywiście płacić sama sobie czynszu! Wobec tego... może uda się nam kupić jakiś domek? Mały, parterowy, z wyjściem bezpośrednio do ogrodu. Co ty na to?

Spojrzałam na Artura.

- No tak, ja wiem, że ty masz już jakiś dom, ale on jest twój i nie potrzebuję, żeby mi ktoś potem powiedział, że poleciałam na chałupę. Nie, nawet nie muszę wiedzieć gdzie on jest. Damy radę, jeszcze będzie pięknie, zobaczysz.

Już to ujrzałam oczyma duszy: domek niewielki, niziutki, ale ogród wielki. Z mnóstwem ozdobnych krzewów i z kwiatami. Takimi rosnącymi gdzie chcą i jak chcą... I może... jakieś bajorko? Nie żadne oczko wodne, ale bajorko, takie, że mogłyby sobie w nim żyć na przykład kaczki. A czemu nie? – pofolgowałam swoje wyobraźni, zwłaszcza, że w sferze marzeń można było sobie pozwolić na wszystko.

- Od wiosny do jesieni będziemy przesiadywać w ogrodzie. A zimą w domu, przy kominku. I jak ci się to podoba?

Twarz Artura nie nosiła śladów żadnych emocji, ale była... jakby mniej blada.

- No widzisz? Już sama myśl o takiej ilości świeżego powietrza robi ci lepiej na cerę – skomentowałam.

- Artur – szepnęłam teraz już z całkowitą powagą, przybliżając twarz do jego twarzy. – I jeszcze ci powiem, póki mam okazję, powiem ci to jeszcze raz: KOCHAM CIĘ. K o c h a m! Czy tego chcesz czy nie, i... czy ja tego chcę, czy nie. Bo nie wiem, czy chcę. Ale tak się stało i tak jest: kocham cię. Będę z tobą bez względu na wszystko, czy się obudzisz, czy nie, czy będziesz jeździł na wózku, czy chodził o własnych siłach. Bo ja cię kocham i to mi daje prawo do bycia z tobą. Dlatego... nie odtrącaj mnie,

Artur, proszę. Proszę... Teraz twoje życie jest moim życiem i... nie mów mi do cholery, żebym się nie angażowała!!!

- Widziałam się wczoraj znowu z Agnieszką – nie wytrzymałam i poinformowałam go o tym. – Opowiedziała mi o twoim wypadku. To znaczy o... o twoich bliznach. Ja też mam takie blizny.

Wzięłam jego dłoń i położyłam na swojej lewej piersi.

- Czujesz? Artur... ja... Kocham cię i nic innego nie umiem ci powiedzieć.

Mój ukochany, któremu zadeklarowałam właśnie miłość, wierność i że go nie opuszczę aż do śmierci, leżał niewzruszony.

ROZDZIAŁ XXIV

Domek na Kopytku

- Jak ty dziś wiosennie wyglądasz! – nawet Olga dostrzegła mój optymistyczny imaż.

- Bo wiosennie się czuję – odparłam, rzucając torebkę na ladę.

- Nie dziwię się. Zostałaś, jakby nie było, kamieniczną panią.

- No tak – przyznałam. – Ale w ogóle jest tak jakoś... przejrzyściej.

- To znaczy?

- Nie wiem. Nie umiem tego wytłumaczyć. Jakby... lżej?

- A tu masz akurat rację. Ja też się tak czuję – przyznała Olga. – Może to ten spokój i brak ustawicznego poczucia zagrożenia.

- I stabilizacja jakaś – dorzuciłam. – Nowe poczucie bezpieczeństwa...

- O, właśnie, a propos stabilizacji, pójdę zrobić kawę.

- Słusznie – przyklasnęłam i weszłam razem z nią do kuchni.

- Jak Artur? – spytała, nalewając wodę do czajnika.

- Bez zmian – odparłam, a ona nie spytała o nic więcej.

- Powiedz mi, Ada ty naprawdę byłaś właścicielką tej kamienicy? Bo niby wiem, że to prawda, ale nie umiem sobie tego jakoś wyobrazić...

Oldze najwyraźniej ta sprawa nie dawała spokoju.

- Byłam. Przez... kilka miesięcy.

- Jak to?

- Normalnie, odziedziczyłam ją po dziadkach – powiedziałam w dużym skrócie. – A potem sprzedałam panu Antoniemu.

- Ale dlaczego? Przecież... ja tego nie rozumiem. A potem wynajmowałaś od niego pomieszczenia na galerię?

- Ja sama tego nie rozumiem. Przynajmniej dzisiaj – westchnęłam.

Olga spojrzała na mnie niepewnie. Zastanawiała się chyba co się pod tym kryje, ale już nie miała śmiałości więcej wypytywać.

- No właśnie, a propos kamienicy, sprzedaję mieszkanie. Nie chcesz kupić? – spytałam, czym wprowadziłam ją w jeszcze większą zadumę.

- A... rozumiem! – olśniło ją po chwili. – Jasne, po co je masz utrzymywać, skoro możesz zamieszkać w kamienicy!

- Otóż... właśnie – przyznałam, żeby nie musieć się tłumaczyć z prawdziwych powodów. Ale Olga miała rację, gdybym sprzedała mieszkanie szybciej, niż byłabym w stanie kupić kolejne lokum, mogłabym pomieszkać trochę w kamienicy. Choć wolałabym obu tych operacji dokonać jednocześnie, żeby móc zabrać Artura ze szpitala. Tak zdecydowałam i od dzisiejszego poranka cała żyłam tą myślą.

- To co, na pewno nie chcesz? – spytałam jeszcze raz.

- Nie, dziękuję, moje mi wystarczy, ale zapytam Oliwię. Ona chyba myśli o czymś większym, bo chyba zmieni niedługo stan.

- W ciąży jest?

- Nie, na razie cywilny. A co do ciąży to nic nie wiem.

- Dobra, to zapytaj ją, a tymczasem dam parę ogłoszeń.

- Tak ci pilno? – zdziwiła się Olga.

- Owszem. Wiem, że sprawa spadku jeszcze nie została sformalizowana, ale chyba nie sądzisz, że mnie ktoś stąd wyrzuci? Chyba nie ten ksiądz?

- Pewnie, że cię nikt nie wyrzuci, ale... nie widziałam u ciebie dotąd takiego spontanu.

- A ja nie słyszałam u ciebie dotąd takiego słowa.

- Język ewoluuje, wiesz?

- Człowiek też. Już Darwin o tym wiedział, a ty się nadal dziwisz – skomentowałam.

- No, wreszcie jesteś choć trochę do siebie podobna.

- A wiesz, czasem mam wrażenie, że jestem coraz bardziej podobna do ciebie. I to mnie zaczyna niepokoić – roześmiałam się teraz z jej miny.

- Wobec tego gratuluję przemiany na lepsze – podsumowała i teraz śmiałyśmy się już obie.

* * *

U Artura bywałam teraz krócej, ale częściej. Inaczej nie dałam rady tego rozwiązać, bo wciąż miałam jakieś spotkania z chętnymi na moje mieszkanie. Poza tym miałam wrażenie, że znalazłam idealny domek z ogrodem! Trochę dalej bym miała teraz do pracy, domek był w starszej dzielnicy miasta, o wdzięcznej nazwie Kopytko. Kiedyś była to obiegowa nazwa, używana wyłącznie przez okolicznych mieszkańców, osiedle zaś nosiło imię Bartłomieja Sękacza. Przy jakichś kolejnych zmianach nazw patriotycznych na jeszcze patriotyczniejsze (Bartosz zadaje się zdezaktualizował), ktoś wpadł na pomysł, żeby zostawić ludziom to Kopytko, skoro są już do niego tak przywiązani. I zostawili.

Domek na Kopytku nie był budynkiem nowym, ani nowoczesnym. Taki... podłużny, z dwoma oknami od frontu i tylko jednym schodem prowadzącym do drzwi wejściowych. (musałam brać przecież pod uwagę, że trzeba go będzie przerobić na podjazd dla wózka).

W środku były dwa pokoje dzieńne, kuchnia i sypialnia. I łazienka, osobna ubikacja, a także maleńka spiżarnia. Domek miał też przystosowane do zamieszkania poddasze. Wiem, bo skorzystałam z możliwości obejrzenia go wewnątrz. Od biedy nic tam nie wymagało pilnego remontu, o ile ktoś nie gustował w nowoczesnych rozwiązaniach przestrzennych. Ja nie gustowałam, przeciwnie, i chętnie bym urządziła ten domek w stylu vintage. Może... Artur nie miałby nic przeciwko temu?

Ogromnym atutem domku było jego otoczenie: spory ogród z już rosnącą tam roślinnością. Taką, jak lubiłam, krzewami, malwami, nagietkami. Były też dwie, podobno owocujące jabłonki.

Straszliwie napaliłam się na ten domek. Gdybym sprzedała mieszkanie, mogłabym sobie pozwolić na jego kupno. Co prawda na nic

więcej, ale na co mi cokolwiek, skoro wszystko miałam? Mebli do koloru do wyboru, dywany, sprzęt kuchenny. Może trzeba by było jedynie kupić jakieś firany i zasłony (u mnie w mieszkaniu były rolety), ale to już przecież pikus.

Teraz tylko tym żyłam: realizacją swoich marzeń. Nie wiem, jakie Artur miała marzenia (poza tym, aby wrócić do zdrowia), ale wobec niemożności ich wyjawienia, czułam się zobowiązana marzyć za nas oboje. I żyłam w jakimś amoku, pomiędzy galerią, mieszkaniem oraz chętnymi na jego kupno, a szpitalem oraz domkiem na Kopytku. Biegałam tam i z powrotem, w międzyczasie zdając Arturowi szczegółowe relacje z moich poczynań. On, jak to on, nie uzewnętrzniał żadnych emocji, a ja – robiłam wszystko, by nie dopuścić do siebie myśli, że mogłyby mu się nie podobać te moje działania.

A kiedy już pomalutku zaczęłam tracić nadzieję, że sprzedam to cholerne mieszkanie za dogodną cenę i w dogodnym dla mnie terminie, zjawiała się w galerii Agnieszka.

- Podobno sprzedajesz ten swój lokal na Łanach? – spytała po zdawkowym przywitaniu się. – A czemuż to ja o niczym nie wiem?

- Przeciwnie – odparłam. – Wygląda na to, że wiesz.

- No tak, ale dowiedziałam się przed chwilą. Mam nadzieję, że to jeszcze aktualne?

Spojrzałam na Agę jakbym ją ujrzała pierwszy raz.

- A co... jesteś zainteresowana? – spytałam, chowając pod ładę zaciśnięte kciuki.

- Właśnie. Ale byłabym jeszcze bardziej, gdy sprzedała je umeblowane. Mówiłam ci już, że bardzo mi się u ciebie podoba?

- Taaak... mówiłaś – potwierdziłam wciąż jeszcze nie dowierzając w prawdziwość jej zamiarów.

- A wiesz, ja nie mam ani głowy ani czasu na bawienie się w jakiś wystrój wnętrz, czy coś takiego. Mówiłam ci, że moje koleżanka z roboty mieszka na tym samym osiedlu?

- Mówiłaś.

- No. I ona się urządziła tak wiesz, ni w piernik ni w oko. My, kobiety z policji chyba po prostu nie mamy ręki do takich rzeczy – wyznała. – A mówiłam ci, że się będę chyba chajtać na jesień?

- Nie, tego mi nie mówiłaś. Gratuluje w takim razie.

- A, tam. Nie ma czego. Żyjemy już razem jakiś czas, więc to tylko formalność.

- Aha...

- No bo wiesz, chcąc się czegokolwiek dorobić wspólnie, trzeba się zabezpieczyć. A on ma jakieś tam dzieci, rozumiesz...

- Jakie? - wymusnęło mi się niechcący.

- Chłopaka z poprzednią żoną i drugiego, takiego luzem. A co ja będę, cudzym dzieciom mieszkanie kupowała?

- No tak, ale gdybyś to ty je kupiła, jako panienka, one nie miałyby do niego żadnych praw – podrzuciłam, być może wbrew własnemu interesowi.

- Zgadza się, ale nie wówczas, gdy to on wyklada na nie kasę – wyjaśniła i puściła do mnie oko.

* * *

Agnieszka i jej facet w ogóle się nie targowali, mimo iż policzyłam im bez ulg za każdy pozostawiony w mieszkaniu sprzęt. Mnie w zasadzie te meble nie były niezbędnie potrzebne, bo tych miałam akurat pod dostatkiem, i w galerii, i trochę w mieszkaniu, w które zajęliśmy swego czasu z Eneaszem. Pan Antoni nigdy go nie wynajął i to, czego nie udało mi się sprzedać w galerii, było tam do dziś. Była nierozkładana, ale za to wielgaśna sofa, stół kuchenny, mały stolik z sypialni i... wystarczy. Postanowiłam pójść tam przy najbliższej okazji i odświeżyć sobie pamięć. Tymczasem jednak pobiegłam do szpitala, żeby zdać Arturowi relację z ostatnich wydarzeń.

- Udało mi się sprzedać mieszkanie, wiesz? – oznajmiłam, nieco zdyszana. – To znaczy... nie tak zupełnie, bo jeszcze nie podpisałam

z nabywcami u umowy i pieniędzy jeszcze nie mam. Ale targ już został dobity i wszystko będzie załatwione w ciągu najbliższych dwóch dni! Ponadto Agnieszka obiecała mi pomoc w przeprowadzce, ale co to za przeprowadzka! Raptem trochę ciuchów, książki, parę naczyń.

Artur znowu wyglądał, jakby się uśmiechnął jednym kącikiem ust.

- Cieszysz się? – spytałam. – Czeka mnie co prawda teraz parę dni koczowniczego życia, ale to nic nie szkodzi. W moim starym mieszkaniu w kamienicy nie ma chyba szafy, ale kupię parę wieszaków, takich metalowych, na kółkach i będzie w sam raz. Z kuchni mogę korzystać w galerii. Widzisz, jak to wszystko obmyśliłam? Artur... jeszcze tydzień, no, góra dziesięć dni i można się będzie wprowadzić do domu na Kopytku!

Teraz wydawało mi się, a może nawet więcej niż wydawało – byłam niemal pewna, że Artur uniósł nieco w górę prawą brew. Takiego odruchu to ja jeszcze u niego nie widziałam.

- Dziwisz się czemuś? – spytałam. – Ale czemu? Mówiłam ci przecież o tym domku. Na pewno mówiłam... Więc w czym rzecz?

Przyjrzałam mu się jeszcze raz, porządniej, ale jak to zazwyczaj bywało, po raz drugi już tego nie powtórzył. Tak czy inaczej w drodze powrotnej miałam cały czas przed oczami te jego uniesioną brew.

Olga, którą w międzyczasie wtajemniczyłam w cały mój plan „dała mi” na czas przeprowadzki dwa dni wolnego, sama też, jeśli mogła, pomagała mi się urządzać. To znaczy przenosić moje rzeczy z auta narzeczonego Agnieszki do mieszkania, a następnie upychać je gdzie popadnie. Pierwszą rzeczą, jaką wtaskaliśmy na piętro (w czwórkę, inaczej nie dało rady) był mój stary, wyliniały fotel. Już zapomniałam, jaki jest ciężki i niewdzięczny przy przeprowadzkach. I mimo iż był jedynym meblem, jaki z sobą zabrałam, było tego dobytek znacznie więcej niż mi się zdawało: same książki i rozmaite pamiątkowe bibeloty po dziadkach zajęły niemal całą podłogę w salonie. Ciuchy, bielizna pościelowa, ręczniki i wszystko, co nie nadawało się do odsprzedaży, zajęły połowę kolejnego pokoju. Do tego jakieś naczynia, dwa pudła zdjęć i pudło niezbędnych do życia każdemu obywatelowi, urzędowych papierysk.

I właściwie mogłabym już odtrąbić półmetek sukcesu, gdyby to, że pod koniec pierwszego wieczoru spędzonego w kamienicy zadzwonił telefon i spadła na mnie jak grom informacja, że właścicielka domku rozmyśliła się co do jego sprzedaży. A w każdym razie na pewno nie sprzeda go w tym roku, bo... coś tam, smołam. Tego już nie słuchałam porządnie, bo mój cudny plan tymczasem runął mi na głowę.

* * *

- O mój Boże, tak mi przykro! – uzalała się nade mną nazajutrz Olga. – Naprawdę, cieszyłam się razem z tobą, że wreszcie wszystko idzie po twojej myśli. I... co teraz?

- Nic – wzruszyłam ramionami. – Grunt, że nie zostałam na bruku...

- O, no właśnie! – ucieszyła się Olga. – Spójrz na to właśnie w ten sposób.

- Próbuję – westchnęłam. – Ale tamten domek był taki śliczny...

- Wiem, Aga. Ale takich domków jest pewnie w naszym mieście na metry, lada chwila znajdziesz sobie nowy.

- Pewnie i jest – przyznałam – ale ten miał jeszcze jedną zaletę: było mnie na niego stać.

- Powiedziałas już o tym Arturowi?

- Nie. Nie byłam dziś u niego, wyobraź sobie. Po raz pierwszy opuściłam poranne odwiedziny!

- O Boże mój Boże – Olga po raz kolejny wezwała imienia boskiego na daremno. – To znaczy... że wszystko, całkiem wszystko weźmie teraz w łeb?

- Nie, Olga – westchnęłam. – Nie weźmie w łeb, tylko... się przesunie w czasie. A ja się musiałam po prostu jakoś pozbierać, by móc nu o tym powiedzieć. Ale już jestem gotowa, pójdę do niego o szesnastej i stawię czoła wyzwaniu.

Olga ścisnęła mocno moją rękę, a potem bardzo dzielnie pomagała mi przetrwać te kilka godzin. Może dzięki niej szłam teraz w stronę szpitala

niecو spokojniejsza i nieco silniejsza jakby.

Zamierzała wejść do sali jak najciszej, by zebrać jeszcze przez chwilę myśli, zanim zacznę mówić i zanim on wyczuje moją obecność. O ile w ogóle ją wyczuwał... Niemal bezszelestnie otworzyłam drzwi i... stanęłam jak wryta. Na miejscu Artura leżał jakiś inny facet! I to nie były zwidy, Artura tam po prostu nie było!

Wypadłam stamtąd jak oparzona i bez zaproszenia, ba, bez pukania nawet wpadłam do dyżurki lekarskiej.

Doktor Brzoza dzierżył w dłoniach wielką bułę częściowo zawiniętą w papier i właśnie zamierzał ją ugryźć, gdy z impetem podbiegłam do niego.

- Co się stało Arturowi Strońskiemu? – spytałam pełna jak najgorszych przeczuć. – Dlaczego go nie ma?

- Jest – odparł w miarę spokojnie lekarz. – Ale w innej sali, proszę pójść pod siedemnastkę.

W sali numer siedemnaście były dwa łóżka, na pierwszym siedział jakiś starszy, tęgi jegomość, a na drugim... ni to leżał, ni siedział... mój Artur!!! I patrzył się na mnie! Nogi się pode mną ugięły i odeszła mnie całkowicie zdolność mówienia. Ale co miałabym mu powiedzieć, cześć, jak zwykle? A jeśli... on zażąda, żebym sobie poszła? Ale najpierw, co gorsza, zapyta jakim prawem panoszyłam się przy jego łóżku przez okrągły miesiąc? W charakterze kogo? A co, jeśli słyszał to wszystko, o czym mówiłam, te deklaracje, wyznania... Te... plany!

Nie, teraz już nie byłam taka pewna swego. To znaczy... on sam znaczył dla mnie przez cały czas tyle samo, ale te moje mrzonki, ta determinacja, z którą dążyłam do ich realizacji nagle wydały mi się głupie. Głupie i śmieszne. I... nieosiągalne.

- Cześć – tym razem on się ze mną przywitał. – Co tak stoisz? Wejdz!

Podeszłam do jego łóżka i w pierwszym odruchu chciałam jak zwykle chwycić go za rękę, ale się opanowałam.

- Nie wiem, co powiedzieć – wyszeptalam. – Nie wiem...

- A to w sumie dziwne, bo mam takie wrażenie, że przez ostatnie dni buzia ci się nie zamykała – podsumował Artur.

Poczułam, że się czerwienię.

- Słyszałeś wszystko, o czym mówiłam?

- Pewnie nie wszystko, ale raczej mam świadomość tematów, które poruszałaś. Tak wiesz... wyrywkowo.

Artur spojrzał na mnie i po raz pierwszy od wielu, wielu dni uśmiechnął się tak, że nie miałam wątpliwości, iż był to uśmiech a nie inny jakiś, przypadkowy grymas.

- Czyli? Jakich... tematów?

- To ty mnie pytasz? A ja liczyłem na to, że będziesz kontynuowała swoje opowieści... Zawiodłem się?

- Nie, już mówię – odłożyłam torebkę na stolik i usiadłam przy nim.

Bez względu na to, czy sobie ze mnie żartował, czy nie, był to dobry moment na powiedzeniu mu tego, z czym przyszłam.

- Otóż... wyprowadziłam się z mieszkania na Złoty Łanach, wiesz? Sprzedałam Agnieszce mieszkanie wraz z całą zawartością i wygląda na to, że... zostałam w gołych ścianach w mieszkaniu nad galerią. Na jakiś bliżej nie określony czas, bo domek który chciałam kupić nagle zrobił się nieaktualny. Chciałam... wiesz zresztą, co chciałam.

Artur w milczeniu skinął głową i przyjrzał mi się teraz uważniej.

- I co teraz? – spytał.

- Nie wiem... jeszcze do wczoraj wszystko wydawało się takie proste... A dziś...

- To znaczy że dziś już chcesz czegoś innego?

- Nie, nie! Chcę... tego samego! – zaprzeczyłam gorliwie.

- Wobec tego wszystko nadal jest proste. A może nawet i prostsze, bo nie masz teraz innego wyjścia: musisz po prostu wprowadzić się do mnie!

- Jak to??? – spytałam, jak tylko wrócił mi głos.

- Ten pan pani wspólne lokum proponuje – objaśnił uczynnie facet z sąsiedniego łóżka.

- Dokładnie – potwierdził Artur. – Mój dom co prawda odbiega trochę od twoich wymagań, ale jest ogródek. Też nie całkiem taki, jak powinien, ale jest. Co ty na to?

- Żartujesz.

- Nie.

- Proponujesz mi, żebym zamieszkała u ciebie?

- Tak.

- Razem z tobą?

- A co, już ci się odwiedził facet na wózku?

Artur uśmiechnął się jakoś dziwnie, ni to tajemniczo, ni... szyderczo.

- Nie, mój Boże, jasne, że mi się nie odwiedził! – zawołałam z entuzjazmem. – Artur... ja...

Artur ścisnął mocno moją rękę.

- Cicho już bądź, choć na chwilę pyskata kobieto. Zmęczony jestem – powiedział i zamknął oczy.

- Ja bym się nie zastanawiał – podsumował facet z sąsiedniego łóżka i odwrócił się do i prawie natychmiast zaczął chrapać.

* * *

Zostałam z Arturem niemal do połowy nocy. Chwilami przysypiał, lekarz kazał mi go nie męczyć, ale pozwolił zostać. Nie rozmawialiśmy już za wiele, mimo iż było mnóstwo rzeczy, o których chciałam się dowiedzieć. Na przykład, skąd ta propozycja wspólnego zamieszkania? Co nim kierowało? Sama nie umiałam sobie na to pytanie odpowiedzieć, a jego... i tak bym nie spytała. I jakkolwiek najpierw byłam bardzo z tego powodu zachwycona, teraz zaczęłam mieć wątpliwości. Bo a nuż sobie za dużo wyobrażam? A nuż on chciał mi tylko chwilowo pomóc w rozwiązaniu problemu mieszkaniowego? Ale... przecież ja miałam gdzie mieszkać i on o tym wiedział. Choć może niekoniecznie? Podobno moje słowa docierały do niego wyrywkowo...

Zresztą, bez względu na wszystko i tak czułam się szczęśliwa, bo i tak miałam więcej, niż chciałam mieć. Miałam Artura, w jakim bądź charakterze. Wybudził się z tego przerażającego stanu i mnie nie odtrącił. I mieliśmy razem zamieszkać! A to by oznaczało, że będzie ze mną każdego dnia i nieważne na jakich zasadach. Będziemy mogli rozmawiać, bywać to tu to tam, w kinie, kawiarni, teatrze. Do życia na wózku też można w końcu przywyknąć. I do życia z facetem na wózku również... Nie, to nie stanowiło dla mnie najmniejszego problemu.

Kiedy wróciłam do kamienicy byłam tak zmęczona, że wystarczyło mi tylko złożyć swoje obolałe ciało na sofie, by zasnąć. Ale obudziłam się w środku nocy, niewygody dały w końcu znać o sobie. Wstałam z tej nieszczęsnej sofy, wykopałam spod fury rozmaitych przedmiotów elektryczny czajnik i zrobiłam sobie herbaty. Otulona szlafrokiem, z kubkiem w dłoni padłam w ramiona mojego starego „potwora”.

- Jak dobrze, że jesteś – powiedziałam, klepiąc fotel po wyliniałym ramieniu.

Dzięki niemu zawsze i wszędzie czułam się jak w domu. Wolno wypilałam herbatę, odstawiłam kubek i zwinęłam się w kłębek jak kot. Dopiero teraz zasnęłam snem, na który moje ciało w pełni sobie zasłużyło. Bardzo starałam się nie rozważać niczego na przyszłość, co było moją starą, dobrą metodą na spokojny sen - i dzisiejszej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu udało mi się ten efekt uzyskać.

Rano, jeszcze przed dziewiątą pobiegłam do szpitala, ale... Artura znów nie było. Nie było go wcale. Dowiedziałam się od doktora Brzozy, że zabrano go do szpitala wojewódzkiego, celem zrobienia jakichś badań, na które nie miał warunków szpital tutejszy, oraz ustalenia metod rehabilitacji. Miało to potrwać od dwóch do czterech dni, te badania i ustalenia...

Zostałam bez żadnego kontaktu z nim. Miałam co prawda do niego numer na komórkę, ale jeśli nawet nadal był aktualny, nie wydawało mi się wskazane, by zawracać mu teraz głowę. Zresztą, telefon działał w obie strony, gdyby Artur miał potrzebę skontaktowania się ze mną, mógł to zrobić. Ale nie zrobił. A ja starałam się być cierpliwa, tłumacząc sobie

w miarę logicznie, że przecież teraz już nie mam powodów do niepokoju. Że Artur przecież jest, cały i niemal zdrowy, że wszystko co najgorsze już za nami, a to co przed nami, jakie by nie było, i tak będzie lepsze niż mogłabym tego oczekiwać jeszcze wczorajszego ranka. Zwłaszcza, że nie już oczekiwałam niczego, po prostu, zamierzałam brać, co przyniesie los...

Po pracy udałam się do pobliskiego sklepu i przytaskałam z niego tyle kartonów, ile zdołałam unieść. Zająłam się porządkowaniem swoich rzeczy. Dawno już nie miałam czasu na ogarnięcie tego wszystkiego świeżym okiem, a teraz nadarzyła się po prostu nie powtarzalna okazja. Segregowałam więc ciuchy (i wszystko inne) na kategorie: potrzebne, mniej potrzebne, zbędne. Okazało się, że na ostatnia była najliczniejsza. Bez sentymentów zaczęłam więc powoli wynosić kolejne pudełka do śmietnika. I bez przerwy natykałam się po drodze na kogoś, kto oferował mi swoją pomoc.

- O mój Boże, ależ się pani męczy – jako pierwsza spotkałam Oliwię. – Niech no pani zaczeka, zaraz skończę klientkę i uwiniemy się z tym raz-dwa.

Kolejną potencjalną pomocnicą była Renia, potem babka z mieszkania nade mną, że już o Oldze nie wspomnę. Podziękowałam każdej z nich grzecznie i – pazerna w tych dniach na fizyczną robotę jak mało kto – nie skorzystałam z pomocy.

Na koniec, trzeciego dnia, a właściwie wieczoru po wyjeździe Artura nawinęła się Agnieszka. Oczywiście z propozycją pomocy.

- No bo wiesz, ja dzięki tobie nie miałam prawie żadnej roboty przy przeprowadzce i uznaliśmy z Edłordem, że to jest nie fair wobec ciebie.

- Przecież mi pomogliście, przewieźliście mi wszystko – zaoponowałam.

- Fakt, ale widzę, że jeszcze nie skończyłaś się urządzać – Agnieszka ogarnęła wzrokiem część spakowanych pudeł i całą resztę, czyli walające się dookoła pozostałe dobra.

- Nie, dziękuję, Aga, doceniam twoje dobre chęci, ale tu nie ma pracy dla dwóch osób. Zresztą ja i tak nie mam nic innego do roboty.

- A, no właśnie – ożywiła się Agnieszka. – Bo z czym ja tu do ciebie...
Aha, chcesz zobaczyć fajna chałupę?

- To znaczy?

- No wiesz, dom podobno chciałaś kupić?

- Tak, ale to już raczej nieaktualne – odparłam, nie wdając się w szczegóły.

- O, a ja cię już umówiłam – zmartwiła się Agnieszka.

- To odmów, co za problem?

- Wołałabym nie... Wiesz... ta właścicielka to moja przełożona. Nie bardzo mi pasuje tak ją mamić w tę i nazad. Chodź, proszę cię, wskocz w jakiś lepszy ciuch, Edłord czeka na dole, podrzucimy cię.

Spojrzałam na Agnieszkę. Wydawała się być naprawdę przejęta.

- No! Coś tam pogadasz, powiesz że to i owo ci nie odpowiada i tyle.

- Okej – zgodziłam się, bo właściwie tak naprawdę nie miałam nic pilnego do roboty. – Zaczekaj chwile, niech się ogarnę.

- Zaczekam ile będzie trzeba, a ty zrób się jak na bizneswoman przystało, niech szefowa widzi, z kim się zadają prywatnie.

Trochę mnie już to jej zrządzenie zaczynało irytować, ale zaraz sobie uświadomiłam, jak wiele jej zawdzięczam ostatnio i postanowiłam sprostać jej oczekiwaniom. Przy okazji selekcji ciuchów znalazłam kilka ciekawych, aczkolwiek całkiem już zapomnianych przeze mnie, jak to się teraz mawia, stylizacji. Postanowiłam więc jedną z nich teraz wykorzystać. Był ze dwa lata temu taki okres, kiedy lubowałam się w modzie lat sześćdziesiątych i lubiłam się czasem zrobić na Jackie Kennedy. I kiedy po jakichś trzydziestu minutach weszłam do salonu w żółtej, rozkloszowanej sukience w wielki czarne pacie, żółtych szpilkach i żółtą torebką w ręce, Agnieszka zrobiła wielkie oczy.

- No nie... Musisz mnie od czasu do czasu tak ubrać – stwierdziła zaraz potem i obejrzała mnie ze wszystkich stron.

- Chodźmy może – ponagliłam, kładąc na zbyt lekką jak na wiosenny wieczór sukienkę kusy, czarny żakiecik. – Twój Edłord się pewnie niepokoi.

- Co ona ma do niepokojenia – Aga wzruszyła ramionami. – Wiedział przecież, że ma czekać, to czeka.

- Gdzie jest ten dom? - spytałam już w aucie.

- Na Pszenicznej – odparła Aga.

- A ta... Pszeniczna gdzie?

- Na Kopytku – dorzuciła Edford.

- Niedaleko, tak, że wrócisz już sobie sama – uzupełniła poniewczasie Agnieszka.

Zgrzytnęłam cichutko zębami i znów przedziutko przywołałam w pamięci jej zasługi dla mnie.

- Może być – zgodziłam się, raczej bez irytacji w głosie.

Dom, który miałam obejrzeć, był... niestety, bardzo urokliwy. Niezbyt okazały, zbudowany w starym-nowym stylu, czyli równie dobrze mógł być nowy lub stary. Dół, do wysokości mieszkalnego parteru zbudowany był z kamienia, reszta była drewniana. Nie wiadomo, czy cała drewniana, czy tylko pokryta ciemnymi, niemal czarnymi deskami. Do wejścia, a właściwie na ganek, prowadziło kilka kamiennych schodów. Z całkiem niebrzydkiego ogrodu, niestety.

Uroda tegoż domu nie była jedynym jego „mankamentem” drugim była dzielnica, w której był usytuowany. Ostatnimi czasy miałam jakiś dziwny, ale niepodparty sentyment do tego Kopytka...

- Boże mój, spraw, żeby w środku było brzydko, a właścicielka wredna – modliłam się w duchu, gdy już zostałam sama naprzeciw metalowej furtki.

Wolałam się bowiem nie angażować w żaden sposób w to miejsce. Weszłam na ganek i nacisnęłam na dzwonek.

- Proszę wejść – zawołał ktoś w środku.

Weszłam więc i, po raz kolejny w ciągu ostatnich dni doznałam potężnego wstrząsu. Nie, tym razem potężniejszego. Bo tam... w fotelu, w świetle migocących płomieni kominka dostrzegłam... Artura! Siedział sobie, po prostu.

- Wejdz dalej – powiedział i wyciągnął rękę w moja stronę. – Usiądź, bo niezręcznie się czuję, kiedy tak stoisz.

Usiadłam więc w fotelu naprzeciwko niego. Artur wyglądał jeszcze nieco mizernie, ale jego męska uroda nie straciła nic a nic. Miał na sobie niebieska koszula wyposzczoną na jasne dzinsy, w dłoni trzymał małą filizankę, i... wyglądał powalająco!

- No tak, kominek miał być tylko zimą – stwierdził na widok mojej miny – Ale może czasem, w chłodny wiosenny wieczór też można by czasem zapalić?

- To twój... dom? – zapytałam wreszcie.

- Tak, mój. Nie znać w nim niestety kobiecej ręki, więc nie wszystko ci się pewnie w nim spodoba, ale może... nie wszystko ci się n i e spodoba?

- Sam go urządziłeś? – spytałam z podziwem.

Dom, a przynajmniej to, co widziałam, było niezwykle wysmakowane, z jednej strony surowe i proste, z drugiej zaś ciepłe i przytulne. Taki efekt dawało wszechobecne drewno, trochę kamienia i ogromniaste, stylowe meble: wielkie pluszowe fotele, ogromna kanapa i – po drugiej stronie – wielgaśny rzeźbiony kredens. I dywan. Tyle tego było...

- Sam – odpowiedział Artur, podążając za mim wzrokiem. – Ale nie przeceniaj mnie, sam tego nie wymyśliłem, podpatrywałem to tu, to tam, a efekt jest taki, jaki widzisz.

Pomyślałam, że bardzo musiał kochać te swoją Justynę, skoro uwiła dla niej własnoręcznie takie gniazdko. Poczułam uścisk zazdrości w żołądku.

- Ale może przejdę do rzeczy, skoro już mi się udało cię tu zwabić – Artur odłożył filizankę, pochylił się w moją stronę i wyciągnął ku mnie rękę.

Podałam mu swoją. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym... wstał (!!!), obszedł dookoła kanapę, po czym dostrzegłam w jego dłoni bukiet pąsowych, aksamitnych róż.

Wstałam i stanęłam jak wryta. Patrzyłam to na niego, to na kwiatki. On pewnie inaczej odczytał moją reakcję, nie miał bowiem pojęcia o mojej

kwiatowej fobii. Podszedł więc do mnie powoli i jednocześnie, wręczając mi bukiet, powiedział:

- Przemyślałem sobie pewne rzeczy i doszedłem do wniosku, że nie jesteś już taka młoda, żebym mógł sobie pozwolić na tracenie czasu. Twojego, rzecz jasna. Ada, wyjdź za mnie, co?

Efekt tego, co teraz powiedział całkowicie zdominował moją reakcję na kwiatki. Przyjęłam je od niego niemal bezwiednie, i... nic. Żadnej paniki, żadnych mdłości. Ale nie rozważałam teraz tego.

- A pierścionek? – spytałam, dostosowując się do tej jego formy oświadczyn.

- No tak, czekaj, mam tu jakiś – powiedział i zaczął obmacywać kieszenie. – A, jest!

Wręczył mi srebrny pierścionek z czerwonym oczkiem, okolonym białymi cyrkoniami. Bez żadnego ozdobnego pudełeczka.

- Sam wybrałem – pochwalił się. - Wydawało mi się, że wolisz srebro niż złoto.

- Zauważyłeś? – zdumiałam się tym jego, bądź co bądź trafnym odkryciem.

- Cóż chcesz, policyjne oko – przyznał skromnie.

Teraz już przestałam się wygłupiać. Zamknęłam oczy, by nie pozwolić wydostać się wzbierającym pod powiekami łzom. Nic to jednak nie pomogło. Zarzuciłam mu ramiona na szyję i przylgnęłam do niego całym ciałem.

- Tak, Artur! Co prawda nie wierzę w to wszystko, co się teraz wokół mnie dzieje, ale mówię TAK, wyjdę za ciebie!!!

To przecież niemożliwe – pomyślałam. – Nie, ale sen to też u cholery jasnej nie jest. Wiec co? I teraz już rozryczałam się całkiem regularnie.

Artur usiadł w fotelu i posadził mnie sobie na kolanach. Ocierał dłonią moje łzy, a ja na bieżąco dostarczałam mu roboty.

- Ale ci się tego nazbierało przez lata – skomentował. – Podobno dawno nie płakałaś?

- Dawno – chlipnęłam.

- A czy to by ci nie przeszkadzało... to znaczy... w płakaniu, gdybyśmy...

- Co?

- Gdybym chciał się z tobą kochać? – spytał, szepcząc mi do ucha. – Mnie też się różnych zaległości nazybierało...

Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że jestem tak blisko niego, że mam w zasięgi ręki już nie tylko jego ciało, ale jego całego, z duszą włącznie. I w tej jednej sekundzie zapragnęłam do tak bardzo, że byłam w stanie wydobyć siebie tylko przeciągłe westchnienie.

Wówczas jeszcze nie zobaczyłam, jak wygląda jego sypialnia, bo do niej nie dotarliśmy. Zostaliśmy się na tej jego wielkiej kanapie, tak wielkiej, że spędziliśmy na niej bez jakichś specjalnych niewygód całą noc.

- Dlaczego mnie kochasz? – spytał Artur już przy porannej kawie.

- Czemu pytasz?

- Bo... ja też cię kocham. Ale sam nie wiem dlaczego. A ty wiesz?

Słyszac to wyznanie z jego ust omal nie wypuściłam filiżanki z ręki.

- No? Jak to jest? – ponaglił.

- Nie – odparłam. – Tego się ni da chyba wytłumaczyć. Tak cię odbieram i tyle, jestem chyba po prostu na ciebie zaprogramowana. Taka karma.

- A ja już chyba wiem – oznajmił z Nienacka. – Zakochałem się w tobie, bo nie miałem innego wyjścia. Ty mi najzwyczajniej w świecie nie zostawiłaś żadnego wyboru!

* * *

Od czasu, gdy zamieszkałam z Arturem, do galerii docierałam teraz w okolicy południa. Olga sprawiała wrażenie, jakby ją już niewiele rzeczy dziwiło, więc nawet nie pytała o te moje spóźnienia. A może po prostu rozumiała prawa miodowego miesiąca? Albo było jej w to graj, by sobie rządzić bez żadnego nadzoru moją galerią? Nie, nie chodziło o to, że

mogłaby sobie poczynać wbrew jakimś moim ustaleniom, ale z pewnością wołała, żebym nie przysłuchiwała jej legendom na temat oferowanych klientom przedmiotów.

Tak czy inaczej Olga zazwyczaj krzątała się rażno, obsługując klientów z uśmiechem na ustach i emanującym z całej siebie zadowoleniem. I wszystko było w zasadzie normalnie (poza tymi wszystkimi trelami, które miały miejsce w mojej duszy), dopóki jakaś babka nie zapytała o srebrne szczypce do cukru.

- Niestety, nie mamy w tej chwili – zmartwiła się chwilowo Olga.

- A może jednak mamy? – szepnęłam. – Proszę chwileczkę poczekać – zwróciłam się do kobiety.

Przypomniało mi się, że w szufladzie kuchennego stołu, który został na piętrze, babcia trzymała takie właśnie szczypce. Pobiegłam szybko na górę, zabrałam z szuflady szczypce i coś jeszcze w foliowym worku, by przyjrzeć się temu później na spokojnie.

W worku były bursztyny. Te same, z których babcia zamierzała sporządzić nalewkę. Poczulałam, że włosy stają mi dęba na głowie.

- Wychodzę na chwilę – rzuciłam w biegu do Olgi i wypadłam na zewnątrz.

A to już byłoby głupie. Tak głupie, że aż... możliwe – mruczałam pod nosem, pędząc przed siebie.

Zziajana dopadłam do drzwi mojego byłego mieszkania i na zmianę zaczęłam w nie walić i dzwonić dzwonkiem.

- Agnieszka, bądź w domu, proszę cię! – niemal krzyczałam. - Albo chociaż ty Edłordzie!

Nawet nie pomyślałam, że można by uprzednio zadzwonić.

- Matko jedyna, a co to za larum? – wreszcie Aga, nieco zaspana pojawiła się w drzwiach.

- Dzięki Bogu – wyszeptałam.

- Dzięki – przytaknęła bezmyślnie Aga. – Po nocce jestem, co się stało? Odsunęłam ją na bok i wpackowałam się do mieszkania.

- Masz jeszcze tę babciną nalewkę? – spytałam bez wstępów. – Powiedz, że jej nie wyrzuciłaś!

- Wyrzucić alkohol? Ja?! – oburzyła się Agnieszka – A co, boli cię co, czy suszy może? Ale to jest na spirytusie, pamiętasz?

- Pamiętam. Nie deliberuj mi tu teraz, tylko dawaj!

- A masz, masz! Pij! – wetknęła mi flaszkę do ręki. – Tak z gwinta będziesz?

- Nie. Dawaj durszlak, albo sitko.

- No, moja droga, z durszłaka to ty się nie napijesz... - skrzywiła się.

- Gdzie masz ten durszlak do cholery – warknęłam i ruszyłam do kuchni.

Na szczęście Aga nie poczyniła tu żadnych zmian i był tam gdzie zawsze.

- Nie!!! - Wrzasnęła Aga histerycznie i orientując się w moich zamiarach podstawiła pod durszlak ronderek.

- A teraz patrz i podziwiaj – sapnęłam podekscytowana, gmerając paluchami w ziołowo-owocowej mazi. – O!

Podstawiłam jej pod nos pierwsze znalezisko.

- O! Kurw... czątko! – krzyknęła zaraz za mną Aga. – A niech cię! I kto mi teraz uwierzy, że piłam nalewkę na brylantach? Wartych miliony dolarów?

- Ja ci uwierzę – pocieszyłam ją.

- E, tam, ty – Agnieszka machnęła na mnie ręką. – W Teleexpresie mogliby chociaż powiedzieć...

* * *

- Jak na to wpadłaś? – dopytywał rozbawiony Artur.

- To chyba raczej nie było trudne. Wszystko mi się ułożyło jak po sznurku. Bo skoro babcia nie zrobiła tej nalewki na bursztynie, to na czym? I skąd ten zbieg okoliczności, że brylanty Eneasza zniknęły dokładnie po wizycie babci? No a potem jeszcze przypomniała mi się

sama nalewka, choć pewnie gdyby nie Agnieszka nigdy by, po nią nie sięgnęła... Powiedz mi tylko, skąd te pierwsze rabusie wiedziały, że one babcia je wsadziła do butelki?

- To nie babcia je wsadziła do butelki, tylko twój były. Tak je do ciebie przywiózł dla niepoznaki, choć najprawdopodobniej pierwotnie flaszka zawierała jakiś napitek. On ją przez noc osuszył, a kiedy nawinęła się twojej babci pod rękę, staruszka musiała pomyśleć, że już pewnie zaczęła robić tę swoją nalewkę, zwinęła flaszkę i poszła.

- No tak... To bardzo prawdopodobne – westchnęłam. – Szkoda, że je oddałeś, ładne były. I dużo.

- Ty pazerna jesteś na brylanty? Nie wiedziałem – spytał ze zmarszczoną brwią.

- Na ciebie jestem pazerna, w końcu nie wszystko złoto, co się świeci - odparłam z udawaną powagą.

- Chcesz powiedzieć, że ja się nie świecę? Ja???

- No raczej nie.

- Wobec tego zostań tu, a ja zgaszę światło. Wtedy się przekonamy.

Artur zerwał się z kanapy i naprawdę zgasił światło. Po chwili poczułam jego gorące usta na swojej szyi.